



Z. Długosz str. 3

FUNDUSZ ZAKŁADOWY
DZIELONY
WEDŁUG POTRZEB?

K. Markowski str. 5

ZA
NAMI
PRZED
NAMI

str. 7 i 8

PRZEOCZENIA
ZE STRONY NAUKI

B. Gliński str. 11



Rozmowa z prof. J. Peche

ŻYCIE

NR 47

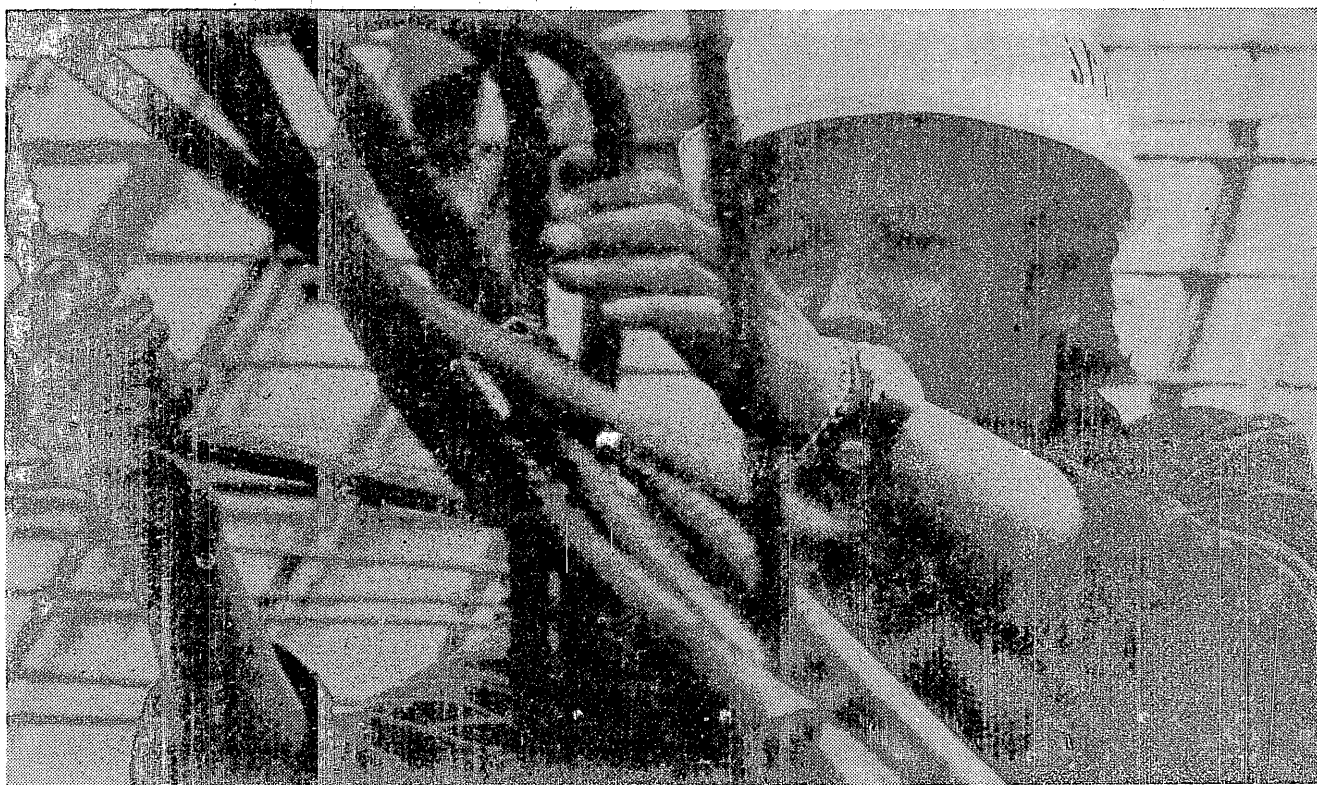
GOSPODARCZE

25 LISTOPADA

ROK XXXIV

CENA 4 ZŁ

w perspektywie lat osiemdziesiątych



Fot. S. ZUBCZEWSKI

CZY MOŻEMY BUDOWAĆ WIECEJ MIESZKAŃ?

TERESA GÓRNICKA

Program mieszkaniowy lat 1981–1985 realizować się będzie w złożonych warunkach gospodarczych i politycznych. m.in. na możliwości inwestycyjne kraju. Żeby był to program wykonalny musi być osadzony w realiach, w jakich w tym okresie będzie funkcjonować cała gospodarka. Płaczliwa dyskusja, która odpowiadaby na pytanie, czy możemy budować więcej mieszkań jest więc bardzo rozległa.

W IEMY wszyscy, że w przedziałowej dyskusji o mieszkaniach mówić się będzie wiele. To wynika z rozmiarów i pilności potrzeb mieszkaniowych. O ważności, pilności, a także rozmiarach tych potrzeb nie ma więc potrzeby nikogo przekonywać. Także i o tym, że niższy niż założony w planie perspektywicznym rozmiar tego budownictwa na lata 1981–1985 może opóźnić zrealizowanie wytkniętego w tym planie celu, jakim jest zapewnienie samodzielnego mieszkania dla każdej rodziny. Temat ten przewija się w czasie zebrań i w obradach konferencji sprawozdawczo-wyborczych. Na XVI. Plenum KC PZPR mówiła o tym Ewa Szałańska, sekretarz Komitetu Wojewódzkiego z Nowego Sącza, stwierdzając, że wielkość zapisane w części Wytycznych dotyczącej budownictwa mieszkaniowego choć znaczne, w konfrontacji z po-

trebami mogą być w odczuciu społecznym uznane za niewystarczające. Ale o tym, ile mieszkań wybuduje się zadecyduje rachunek możliwości. W przyszłym pięcioleciu jak wynika z ustalonych proporcji ogólne nakłady inwestycyjne w bezwzględnych wielkościach będą zbliżone do poziomu obecnego. Na wybudowanie 150 tysięcy nowych i zmodernizowanych 150 tysięcy mieszkań ze starych zasobów, ponieść trzeba nie mniejszy wysiłek, niż ponosi się obecnie. Przypomnijmy, że w 1980 r. nakłady na rozwój całego kompleksu mieszkaniowego traktowanego łącznie z rozbudową bazy materiałowej tego budownictwa, uzbrojeniem terenów, sieplownictwem stanowiąc będą już 30 proc. ogólnych wydatków inwestycyjnych.

Rozważania na temat możliwości przesunąć nakładów na rozwój różnych działów gospodarki są bardzo skomplikowane. Wymagają znajomości

ści wszystkich realiów warunkujących równowagę gospodarki jako całości. Takim przykładem może być energetyka. Nie można uszczuplać środków, które przeznacza się na jej rozwój, wzmacniając tym samym możliwość inwestowania w mieszkania, bo bez wyeliminowania występujących dziś trudności energetycznych nie będzie można zwiększać budownictwa mieszkaniowego.

Istnienie takich ograniczeń w dołowym kształtowaniu planu jest oczywiste i nie trzeba głębokiej wiedzy ekonomicznej, żeby to zrozumieć. O wiele bardziej skomplikowane jest określenie tego wysiłku m. in. w nakładach inwestycyjnych, który pozwoli na stopniowe uwalnianie się od tych ograniczeń. A to już sprowadza krag uczestników dyskusji do wąskiego grona ludzi dysponujących odpowiednią wiedzą i pełną informacją, jeśli nie ma się ona przekształcić jedynie w spekulatywne rozważania wokół teoretycznie istniejących możliwości.

Inaczej przedstawia się jednak sprawa, jeśli te możliwości oceniać będziemy pod kątem wykorzystania tego potencjału, który w budownictwie mieszkaniowym już jest, lub gdy mówimy o spożytkowaniu tych środków, które przeznacza się na jego rozwój w najbliższych latach.

Co nas trzyma

Odpowiedź sobie najpierw na pytanie, co oznacza ten program budowy 1550 tys. i modernizacji 150 tys. mieszkań.

W potocznym rozumieniu celów i sensu modernizacji uznaje się ją za środek mający wpływ jedynie na poprawę warunków mieszkaniowych. W sytuacji, kiedy ilościowe potrzeby są tak ogromne, powstać może wątpliwość, czy tych potrzeb modernizacyjnych nie da się przesunąć na później. Otóż badania stanu technicznego starych zasobów przeprowadzone przy formułowaniu perspektywicznego programu mieszkaniowego w roku 1972 wykazały, że

eksporterzy

DEWIZY Z PIASKU

ANDRZEJ NAŁĘCZ – JAWECKI

Czy można przetapiać piasek na dolary? Można. Robi to Huta Szkła „Ujście” koło Piły produkując i eksportując przeróżne butelki. Co prawda za jedną butelkę otrzymuje się nie dolary, lecz zaledwie kilka centów, ale przy eksporcie idącym w dziesiątki milionów butelek, wpływy dewizowe też są milionowe.

„Trzaska się” w Ujściu około 240 milionów butelek rocznie. Wartościowo jest to ok. 614 mln zł (plan na br.). W tym 60 proc. na eksport.

KRAJOWYMI odbiorcami są Centralne Piwnice Win Importowanych, przemysł piwowarski oraz rozlewnie wód mineralnych (główny odbiorca — Wytwórnia Wód Gazowanych w Grodzisku). Ponadto robi „Ujście” różnego rodzaju „galerie” do wódek, m.in. fasonowe butelki tzw. kątówki, do „Krupnika”, winiaku „Jubileuszowego”.

W 1975 roku zaproponowano hucie produkcję butelek typu „Bobo” dla Zakładów Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Rzeszowie. Butelki te importowano. Robiąc więc 20 mln „Bobo” rocznie oszczędza „Ujście” określoną sumę dewiz.

Jeśli chodzi o butelki do piwa, to robi „Ujście” najprężniejsze ich gatunki, głównie dla browarów „Okocim” i „Żywiec”. Browary te są eksporterami piwa, a więc i butelek — zatem de facto wędruje za granicę znacznie więcej niż 60 proc. butelek rodem z „Ujścia”.

Jest więc Huta „Ujście” przede wszystkim eksporterem. Należąc do Zjednoczonych Hut Szkła Opakowaniowego „Vitropak”, daje ok. 80 proc. eksportu tego kombinatu. Plan eksportu na 1979 rok ustalono dla „Ujścia” na 10,3 mln zł dewizowych. Po dziesięciu miesiącach br. wykonano produkcję eksportową o wartości 10,2 mln zł dew. W hucie twierdzą, że uda się ten plan przekroczyć o ok. 1 mln zł dew.

Zdawać by się mogło, że produkcja jest prosta — wszak to tylko butelki, iż z eksportem nie powinno być większych kłopotów. A jednak... Przedstawiamy najważniejsze problemy tej niezbyt dużej (840 pracowników) firmy przy pryzmat wina produkcji eksportowej.

Tak to się zaczęło...

Firma zaczęła funkcjonować lat temu... 170, dokładnie w 1809 roku. A więc tradycje ma spore, sukcesy na koncie różne. Ale eksportować butelki zaczęła dopiero w ostatnich dwudziestolecu.

Huta „Ujście” zainteresowała się najpierw firmą IBO w latach 1962–1963. Zaczęło się od dostaw kilkuset tysięcy butelek, a więc niecałego pociągu. Bardzo szybko zamówienia wzrosły do milionów i dziesiątek mi-

lionów butelek. Rekord dostaw do IBO — 90 mln butelek.

IBO jest w zasadzie hurtownikiem w handlu pustymi butelkami, pośrednikiem między ich producentami a producentami różnych trunków z terenu Francji, Holandii i Belgii. Do Francji — m.in. dla „Stelli Artois” — wysyła się butelki do win. Do Belgii — butelki 0,25 i 0,33 l do piwa fasonu „Europa”.

Mniej więcej w tym samym czasie rozpoczął się eksport do RFN, który obecnie prowadzi spółka „Limnax”. Sprzedaje się na tym rynku butelki do piwa, wód mineralnych i wina. Samej „Europy” kupują w RFN około 30 mln szt.

Mniejszym odbiorcą jest Dania — rocznie 2–3 mln butelek. Kupują je różni pośrednicy a nawet firmy rozlewające napoje i trunki. W polskich butelkach sprzedaje się tu m.in. soki owocowe „coro” i „borden”. Od br. rozpoczął się eksport do Jugosławii — około 2 mln butelek.

W br. w sumie wyjedzie z „Ujścia” za granicę około 100 mln butelek. Nad efektywnością tego eksportu czuwa „branżowa” Centrala Handlu Zagranicznego „Minex”.

Butelki są towarami tanimi, a zarazem bardzo objętościowymi. Bardzo więc istotnym czynnikiem z punktu widzenia technicznego i efektywnościowego — jest transport. Musi być on tani, by cały interes się opłacał.

Byłem dosłownie zaskoczony dowiadując się, że do 80 proc. dostaw do największego odbiorcy, czyli IBO odbywa się drogą wodną, na barkach. Huta mieści się nad samym brzegiem Noteci i ma własne nabrzeże z dźwigiem. Butelki eksportuje się w paletach (4 tys. półlitrówek w paletce). Na jedną barkę można załadować 350 tysięcy butelek 0,7 litra lub około miliona butelek 0,25 litrowych. A więc jedna barka zastępuje 19–15 wagonów.

Ten transport wodny organizuje Żegluga Bydgoska. Płyną barki Notecią do Odrzy, następnie kanałami przez NRD i RFN. Przewoźnik w drodze powrotnej przewozi też różne towary i zarabia dewizy. Liczy się to,

DOKONCZENIE NA STR. 4

DOKONCZENIE NA STR. 2

bowiem dewizowy „użytek” z tych wózek butelek jest dodatkową pomocą — koszty jednostkowe tym samym spadają.

Podróż butelek barką trwa około dwóch tygodni w jedną stronę. Rocznie w przewożeniu butelek zaangażowanych jest około sto barek. Mimo taniości tego transportu jawią się też komplikacje — zamiar w przypadku zbyt dużego lub zbyt niskiego poziomu wody, jakimś ustaje, gdy rzeka skłania łód. Zatem w zimie wysłuka tą drogą ustaje.

Innym odbiorcom wysłala się butelki koleją lub samochodami. A z wagonami, jak wszyscy wiemy, nie jest najlepiej. Dzieciatego listopada przegotowano ostatnią partię dla Jugosławii, ale wysłali jej nie można właśnie z powodu kłopotów PKP.

— Od wielu lat staraliśmy się podjąć eksport butelek do Austrii — stwierdza dyr. handlowy, Władysław Nowak. — Z różnych względów to nie wychodziło. W br. nastąpił przełom. Spółka „Interminex” zamawia na 1980 rok ok. 30 mln butelek, głównie do wód mineralnych. Kontrakt jest bardzo korzystny i eksport w tym kierunku ma duże perspektywy na przyszłość. Ale tak na marginesie: Austriacy wielokrotnie się pytali, czy damy sobie radę z przesiadaniem tych butelek — znają nasze kłopoty transportowe.

Wspominamy w tym miejscu, że jeśli dawniej nie zależało odbiorcom na znaku firmowym „Ujście”, to obecnie chcą butelki tylko z tym znakiem. Mają one ustaloną markę u tradycyjnych odbiorców (reklamacje są sporadyczne). Ta wieloletnia współpraca nie opiera się na żadnych długoterminowych umowach lecz na kontraktach odnawianych co roku oraz na... wzajemnym zaufaniu.

Na rynkach zachodnich popyt na butelki „Ujście” rośnie (a może dotyczy to tylko „Ujście”). Jest on jednak uzależniony od pogody. W lata deszczowe spada wraz ze spadkiem popytu na napoje i soki pitne. Ale mimo to, zamówienia dla „Ujście” wyraźnie przekraczają możliwości tej firmy. W br. mogliby sprzedać butelki znacznie więcej. Na 1980 rok nie może „Ujście” spełnić obrotów tradycyjnych odbiorców, nie ukrywają oni, iż mają żal do dostawcy.

Można więc byłoby wyprowadzić stąd wniosek podstawowy: skoro są zamówienia i zbyt to należałoby rozwinąć produkcję na eksport.

Proste, ale...

Zasadniczą zaletą eksportowania butelek jest to, że do wytworzenia tych wyrobów potrzebne są wyłącznie łatwo dostępne surowce krajowe. A więc nie mamy tu po stronie „wsadu” wydatków dewizowych na surowce. Komponentami do produkcji szkła są: piasek, mączka wapienna, siliuszka szklana, soda, sól, barwniki.

Szkopol w tym, że potrzeba tych surowców olbrzymie ilości. Zużywa się na dobę 180 ton piasku. Na szczęście wydobywa się go w pobliżu Huty i nie ma problemu z jego dostawą.

DEWIZY Z PIASKU

niem. Jednakże trzeba dowozić mączkę wapienną (45 ton na dobę), sodę (60 ton), siliuszkę (60—70 ton), itd. Zbliża się zima — tylko zapas piasku jest spory, starczy go do kwietnia.

— Sode dostajemy z Zakładów Sodowych z Janikowa koło Inowrocława — mówi mi dyrektor Władysław Nowak — a więc z niezbyt daleka. Chociaż mamy stan alarmowy z dostawą sody (7 października był postój), której zapas starczy na 2—3 dni. Dostawa mogłaby chyba dostać, „na magazyn, ale z kolei my nie możemy robić zapasu. Soda nie może leżeć na powietrzu, a dysponujemy silosem o pojemności tylko 220 ton, a więc na jakieś trzy dni. Z Jeleniej Góry dostajemy tupek i baryt. Barytu mamy tylko na 3 dni. Radzimy sobie w różny sposób — butelki wozą się w rejon Jeleniej Góry samochodami, które w drodze powrotnej zabierają surowce.

— To, że produkujemy dobre wózek i do tego je eksportujemy — oświadcza mi kierownik działu jakości, mgr Zygmunt Kaja — uważa, że trzeba za swoisty fenomen. Przykładem jest zestawienie, którą wybudowano w 1952 roku, przy założeniu, że huta będzie produkować nie 240, ale 100 mln butelek. Jest za mała i do tego przestarzała. Surowce do wytopu szkła trzeba mieszać w ściśle określonych proporcjach, a więc ważąc. Do niedawna sypało się różne składniki na zwykłą wagę, — gdy synpelo się za dużo to tylko od uczuciowości robotników zależało czy odrzucili nadwyżkę topaty, czy puścili do wanny za dużo. Dopiero ostatnio udało się zdobyć cztery lubelskie wagi dozujące — potrzeba ich znacznie więcej.

Drugim słabym punktem w gospodarce materiałowej jest, poza zestawieniem, szczupłość magazynów. Aby uniezależnić się od kaprysów pogody, obiektywnych kłopotów — PKP czy PKS, a także samych dostawców — a tym samym doskonałym rytmie produkcji w hucie — należy sukcesywnie rozbudować magazyny. Mówiło się o tym sporo na ostatnich zebraniach załogi.

Chyba jeszcze ważniejszą sprawą jest konieczność rozbudowy magazynów na gotowe wózek. Samym butelkom kurz, deszcz czy śnieg nie zaszkodzi. Ale niszczy pod gołym niebem opakowania. Siedzącą się na nie

deficytowe materiały: tektura i folia polietylenowa. Pierwszy chroni butelki (w palecie) przed obiciem, drugi spełnia funkcję usztywniającą paletę (mby worek) oraz chroni butelki przed zabrudzeniem.

— Jeśli robi się w folii dziurka — tłumaczy mi dyrektor ekonomiczny, mgr Roman Bialek — to wlewająca się woda zamoczy taśmę tekturową. Całą paletę trzeba przepakować. Zniszczona tektura kosztuje 150 zł, robocizna — 60 zł, worek foliowy — 80 zł, a więc razem prawie 300 zł. Rocznie z tego tytułu tracimy około miliona złotych.

— Magazyny wyrobów gotowych, czyli palet z butelkami — dodaje kierownik działu ekonomicznego, Eugeniusz Narożński — mogą obecnie pomieścić tylko 10 mln butelek. Gdy ustawimy palety na wszystkich drogach dojazdowych, nad rzeką i kolo bocznicy kolejowej, to w sumie możemy „zmagazynować” maksymalnie 15 mln butelek. A przecież często, zwłaszcza w zimie, mamy trudności z wywiezieniem butelek. Skoro nie ma gdzie ich składować to czy zatrzymać produkcję?

Rozpoczęto budowę wiat magazynowych, typowych, dostarczanych przez „Zremb”. W br. postawiono ich dwie o „pojemności” 3—4 mln butelek. W przyszłym roku wybudują w „Ujściu” dwie następne. Koszt jednej — ok. 1,2 mln złotych.

Odnosimy przy okazji, kolejny nonsens kooperacyjny. Otóż „Ujście” potrzebuje rocznie ok. 1300 ton tektury, a więc ok. 200 wagonów. Dowożona jest ona z Bystrzycy Kłodzkiej, a także z Chojnowa (woj. legnickie). A tymczasem tektura robia znakomicie bliżej położone zakłady papiernicze w Bydgoszczy i Świecie. Leżbyło tu krzyżujących się przewozów i niepotrzebne blokowania wagonów? Ile to kosztuje?

W ostatnich miesiącach dostawcy tektury przysyłają taśmę nie taką, jakich żądałaby za granicą kontrahenci. W IV kwartale ma „Ujście” wysłać do RFN jeszcze ok. 5 mln butelek „Europa”. Ale odbiorcy zgodzili się na stosowanie niskich taśm na tylko 450 tys. sztuk. Co z resztą?

Oprócz kłopotów organizacyjnych — technicznych zaczęły dawać o sobie znać również kłopoty kadrowe. Zaczyna brakować chętnych do ciężkiej

pracy w hucie — niedobór: 40 osób. Nie ma jak ich zdobyć w małym Ujściu, ani też w dynamicznie rozwijającej się Pile (13 km).

— Gdyby nam się udało przewozić cięższe — stwierdza dyrektor Władysław Nowak — tylko te wszystkie trudności, to moglibyśmy jeszcze w br. zwiększyć eksport o około 5 mln butelek.

Standard rośnie

Huta „Ujście” modernizowana była w 1952 roku. Zainstalowane urządzenia były wtedy względnie nowoczesne. Ale... Po pierwsze — zostały wyeksploatowane. Po drugie — zastarzały się moralnie. Obecnie stosuje się automaty 2—3 razy wydajniejsze, dokładniejsze. Zmienił się przez te lata i system, i reżim technologiczny.

Butelki są niby wyrobem prostym, wszyscy je umiają od lat produkować. Ale jednak i względnie butelek rosną wymagania. Muszą być trwałe (choćby do wody „Mazowszanki”) estetyczniejsze i dokładniejsze wielomiarowo — teraz już automatycznie się je myje, napełnia plynami, kapskuje. Każde partie muszą być jednolite nawet pod względem odcienia koloru.

A więc pisząc o eksporcie musimy uwzględnić dwa aspekty. Pierwszy: jak zwiększyć tenże eksport? Drugi: co zrobić by okrzepnąć na dotychczasowych zyskach? Odbiorcy zachodni żądają ścisłego spełniania europejskich norm technicznych. Firmy zachodniemieckie obwarowały kontrakty warunkiem atestacji przez jeden z branżowych instytutów z Berlina Zachodniego. Dopiero po zakupieniu nowoczesnych urządzeń pomiarowych do laboratorium jakościowego w „Ujściu” zgodzono się na odstąpienie od tego warunku.

Butelki mogą mieć przeróżne wady „naturalne”: pęcherzyki, powietrza w szkło, kamyczki, rysy i pęknięcia, resztki kapsli, które trafiały tam wraz ze siliuszką. Trzeba więc sortować i odrzucać złe butelki. I mówić dylemat na cztery fakery.

Ręczne sortowanie, które ma miejsce w „Ujściu” — stwierdza mgr Zygmunt Kaja — uraga technice XX wieku. Pracownicy stojące przy taśmie muszą podnosić butelki i przeglądać je pod światło. Całe tony dziennie. A ponadto jakość tego sortowania budzi spore zastrzeżenia, bowiem trzeba byłoby nadzurdziej uprost koncentracji, by na oko wychwytywać wszelkie braki.

Zdają sobie z tego sprawę odbiorcy i coraz więcej firm domaga się sortowania automatycznego. To znaczy nie będą kupować butelek sortowanych ręcznie. Zważymy, że z taśm produkcyjnej — przy ręcznym sortowaniu — około 17—20 proc. butelek wyrzuca się jako braki na siliuszkę. Wracając do wanny do ponownego przetopienia.

Tak więc, aby się utrzymać w eksporcie trzeba będzie zamontować automatyczne sortowniki. Dodatkowy element in plus: wyrzekać te automaty 35 pracowników (i etatów) z ciężkiej

pracy. Potrzeba jest ewidentna, ale... koszty też się liczą.

Do trzech linii produkcyjnych zakupiono już we Francji i RFN automaty do sortowania. Wszystkich linii jest 12. Czwartą sortownicą, prototypową wykonano w zakładach branży szklarskiej („Vitrocermasz”). Jest od 1,5 miesiąca na próbach i właściciel żąda egzaminu. I są tu dwa wyjścia: montować sukcesywnie sortowniki krajowe, co ciągnęłoby się przez trzy lata. Drugie: kupić znów za ciężkie dewizy i szybko je zamontować.

Dochodzimy tu do całego pakietu dylematów. Jeśli surowce do produkcji butelek nie są dewizochłonne, to jednak większość urządzeń wymaga zaangażowania środków na import. I nie chodzi tu tylko o sortowniki.

Znajdujemy się w hucie kilka wariantów, w których topi się szkło. Do każdej z nich „podłączone” są 2—3 automaty do formowania butelek. Część z nich jest wydajna i względnie nowoczesna ale kilka to staruszki. Te ostatnie przydałoby się wymienić. Koszt jednego automatu — około 1,5 mld dolarów. Czy więc kupować?

— Przy wariant V zastępujemy stary automat nowym — mówi mi dyrektor naczelny, mgr inż. Zenon Koczan. — Kupujemy go w Szwecji jest bardzo wydajny, ma elektroniczne sterowanie. Stary automat produkował 15 mln butelek, nowy — 25 mln butelek do piwa „Europa”. Ale zdajemy sobie sprawę z tego, jak dużo butelek trzeba będzie wyeksportować, by się zwrócił ten wydatek dewizowy.

Wanny trzeba co pewien czas przebudowywać, bowiem zużywają się w nich materiały ogniotrwałe. Remont znów wymaga poważnych wydatków dewizowych, bowiem w kraju nie produkujemy się takich materiałów ogniotrwałych. A więc przy całym tym eksporcie butelek występuje jednak „wsad” dewizowy — tyle że nie w surowce ale w urządzenia.

Opracowaliśmy w zakładzie — stwierdza dyrektor Zenon Koczan — dwie koncepcje rozwoju. Pierwsza z nich ma na celu zachowanie tego, co osiągnęliśmy i utrzymanie się w granicach 100 mln butelek na eksport. Polega to na prowadzeniu, w ramach remontów, usprawnień na małą skalę. Poprawi to trochę wydajność, jakość, warunki pracy. Druga koncepcja — skokowa — wiąże się z nakładami inwestycyjnymi i to sporym — rzędu 800 mln zł. W ramach tego zadania usunęlibyśmy dwie zasadnicze bariery limitujące ilość produkcji: budowa nowej i dużej zestawialni surowców oraz przebudowa linii energetycznej dostarczającej prąd do Huty. Ponadto uregulowalibyśmy naszą gospodarkę wodno-ściekową, unowocześnili urządzenia produkcyjne. Realizacja tego przedsięwzięcia pozwoliłaby na zwiększenie eksportu ze 100 na 150 milionów butelek.

Mimo że cały czas rozmawialiśmy o eksporcie, zauważyłem, iż moi roz-

mówcy niezbyst się nim entuzjazmowali. Tłumaczyli mi, że nie ma teraz bezpośrednich bodźców skłaniających do rozwoju eksportu. Zniknął priorytet dla eksportu w zakresie zapotrzebowania surowcowego, nie stosuje się premii eksportowych, nie ma już zakładowego funduszu dewizowego naliczanego od przyrostu eksportu.

Eksport butelek wzrósł z 7 mln zł dew. w 1972 roku do 11,3 mln zł dew. w 1979 roku. Odrobiło się to poprzez intensyfikację produkcji. Dalszy wzrost, twierdzą, nie jest możliwy bez rozbudowy lub choćby przebudowy huty.

— Zakład musi być wcześniej czy później zmodernizowany — oświadcza dyrektor Zenon Koczan — bowiem inaczej zostaniemy w tyle z technologią i techniką. Jest to warunkiem utrzymania się na rynkach zagranicznych. A zresztą i krajowi odbiorcy coraz ostrzej domagają się postępu w produkcji butelek. Dość wyraźnie unowocześniły swoje zakłady krajowi wytwórcy napojów.

W skali branży rozwiązać trzeba: czy eksport butelek, skoro już decydujemy się na to, rozwijać ma własnie „Ujście”? A może „Jarosław”, z którego jest bliżej np. do Austrii. A ponadto wysiłki wagonowe z Jarosławia ominęłyby przeciążony śląski okręg PKP.

W dziedzinie eksportu należy wychylać się też poza interes branży czy resortu. A może jednak pokusić się w pierwszym rzędzie o rozwój eksportu pełnych butelek? Browary rozbudowują się i są chętni na kupno polskiego piwa. A zdarzyło się już, iż nasze browary nie mogły wykonać planu eksportu piwa z powodu braku... butelek. Te zaś w tym okresie eksportowano puste. Dochodzi do takich paradoksów ponieważ każda centrala dla przede wszystkim o własny eksport, każde resorty ma swoje interesy. Skoro lewianie poczytna przyniesie może zwiększone jeszcze korzyści.

Prezentowana Huta ma sporo atutów za owym skokowym zwiększeniem produkcji, a więc i eksportu. Ma ustaloną renomę u odbiorców zagranicznych, ma zapewniony zbyt na swoje wózek, a nawet chęć od niej więcej. Są to ważne czynniki, na które firma pracowała latami i poniosła określone wydatki. Warto więc je nadal wykorzystywać i „iść za ciosem”, skoro obecnie zamówienia przekraczają możliwości „Ujście”.

Ale rzecz nie jest prosta: wydatki na rozbudowę byłyby duże i sytuacja w transporcie się komplikuje. Wreszcie może nie starczyć rąk do pracy w tym rejonie — koło Pily wznoszone są olbrzymie zakłady „Chemtex”. Być może branża uważa, że skierowanie środków do innych zakładów „Vitrocera” pozwoli na zwiększenie intensyfikację produkcji, na uzyskanie wyższej efektywności eksportu. Tak więc cała sprawa powinna być skrupulatnie rozważona w szerszej skali.

ANDRZEJ NAŁĘCZ-JAWECKI

w ubiegłym tygodniu

w kraju

● RADA PAŃSTWA na posiedzeniu 15 bm. dokonała oceny efektywności działalności koordynacyjnej rad narodowych i terenowych organów administracji państwowej w stosunku do jednostek nie podporządkowanych. Stwierdzono m. in., że istnieją dalsze możliwości i potrzeby doskonalenia istniejącego systemu koordynacji. Konieczne są dalsze inicjatywy zmierzające do zwiększania spójności planów prac rad narodowych, ich komisji i organów administracji, rozwijania praktyki konsultowania z komisjami i wydziałami państwowej administracji, przedsięwzięć w tej dziedzinie podejmowanych przez wojewodów i naczelników, pogłębiania roli organów samorządu społecznego. Istnieje też potrzeba konsekwentniejszego egzekwowania od jednostek nie podporządkowanych uzgodnień i ustaleń zawartych w uchwałach rad narodowych.

Rada Państwa ratyfikowała: układ między PRL a Japonią o handlu i żegludze; konwencję o przekazywaniu i wykorzystywaniu danych zdalnego badania Ziemi i kosmosu; konwencję o przekazywaniu osób skazanych na karę pozbawienia wolności w celu odbycia kary w państwie, którego są obywatelami; międzynarodową konwencję o bezpieczeństwie kontenerów (KBK); poprawki do konwencji o międzynarodowej morskiej organizacji doradczej; konwencja nr 113 Międzynarodowej Organizacji Pracy dotycząca badania lekarskiego rybaków.

● BIURO POLITYCZNE KC PZPR w dniu 20 bm. rozpatrzyło informację dotyczącą stanu lotnictwa cywilnego i perspektyw jego rozwoju. Postanowiono, że w nadchodzących latach należy zapewnić dalszy rozwój lotnictwa cywilnego. Akceptowano program wieloletnich zamierzeń w tej dziedzinie, przewidujący wyposażenie w samoloty i śmigłowce produkcji polskiej i radzieckiej, modernizację i rozbudowę lotnisk. Jednocześnie zalecono opracowanie nowych zasad organizacyjnych oraz systemu ekonomiczno-finansowego, dostosowanych do potrzeb rozwijającego się lotnictwa cywilnego.

W kolejnym punkcie obrad dokonano oceny realizacji zasad polityki kadrowej w urzędach stopnia wojewódzkiego na przykładzie województwa kieleckiego i rzeszowskiego.

Stwierdzono że w okresie po reformie administracji terenowej nastąpił istotny postęp w doborze, rozmieszczeniu i doskonaleniu kwalifikacji kadr. Wzrosły poziom i jakość pracy urzędników wojewódzkich. Znajduje to wyraz w lepszym spełnianiu funkcji zarządzającego-wykonawczych i coraz sprawniejszej obsłudze obywateli. Urzędy wojewódzkie udzielają także skuteczniejszej pomocy jednostkom stopnia podstawowego.

● I SEKRETARZ KC PZPR Edward Gierk w swym przemówieniu na spotkaniu z aktywem robotniczym województwa szczecińskiego, w odpowiedzi na pytanie, czy kryzys w światowym przemyśle okretowym nie odbije się negatywnie na dalszym rozwoju naszych polskich stoczni — odpowiedział:

„Myślę, że nie. Przede wszystkim dlatego, że mamy zapewniony stały zbyt produkowanych przez nas statków. Podstawowym odbiorcą jest bowiem Związek Radziecki, który kupuje około połowy eksportowanych przez nasz kraj statków. I chcę to z całą mocą podkreślić — jest to eksport opłacalny, eksport, który przyczynia się do rozwoju naszego przemysłu okretowego, zapewnia mu stały i wysoki portfel zamówień. Myślę, że powinniśmy nadal, tak jak do tej pory, dokładać starań, by wyroby naszych stoczni cechowała wysoka jakość i nowoczesność, bo tylko wtedy zapewnimy sobie nadal trwały postęp w technice, tylko wtedy będziemy mieli dostęp do rynku radzieckiego. A jest to rynek wymagający. O jego zdobyciu zabiegają dziś znane światowe firmy okretowe. Dla Polski jest to rynek najwęższy. I to nie tylko w odniesieniu do przemysłu okretowego. Związek Radziecki zaopatruje przecież nasz kraj w olbrzymie ilości paliw, surowców i materiałów, bez których nie moglibyśmy się rozwijać. Jest to szczególnie ważne dziś, gdy paliwa i surowce są na świecie coraz droższe i coraz trudniej je kupić. Tak więc odpowiadając na zadane przez Was pytanie, odpowiadamy: z całą mocą: przemysł stoczniowy w Polsce ma perspektywę, będzie się rozwijał, rzecz w tym, by pomagać temu rozwojowi, by tworzyć warunki dla osłaniania jeszcze wyższej jakości i jeszcze wyższej atrakcyjności naszej produkcji na rynkach światowych.”

● LUDZIE I MASZYNY. Stosownie do styczniowej uchwały Biura Politycznego KC PZPR w sprawie dalszej poprawy warunków pracy, Główny Inspektorat Pracy PRZC

we współdziałaniu z zainteresowanymi resortami przeprowadził przegląd 160 tys. maszyn i urządzeń — krajowych i importowanych — pod kątem wymagań bhp i zasad ergonomii. Przegląd wykazał znaczną jeszcze liczbę przypadków instalowania i doposażania do eksploatacji maszyn i urządzeń nie spełniających parametrów, zwłaszcza w zakresie dopuszczalnego natężenia hałasu, drgań wiracyjnych, hermetyczności procesów chemicznych itp.

Ocena wyników przeglądu, a także sprawy wdrożenia wynikających z niego wniosków były przedmiotem narady, zorganizowanej przez Wydział Przemysłu Lekkiego, Handlu i Spożycia KC PZPR, z udziałem wiceministrów resortów gospodarczych, przedstawicieli wydziałów ekonomicznych KW PZPR, inspekcji pracy, stowarzyszeń naukowo-technicznych, instytutów naukowo-badawczych.

● CZWARTKI EKONOMICZNE. Podjęcie jak przed poprzednim zjazdem partii, począwszy od 22 bm. organizowane będą w Polskim Towarzystwie Ekonomicznym tzw. czwartki ekonomiczne. Stanowią one będą forum dyskusji na temat wybranych węższych zagadnień rozwoju społeczno-gospodarczego lat osiemdziesiątych. Wezmą w nich udział wybitni ekonomiści, naukowcy i praktycy. Imprezie tej towarzyszyć będą dyskusje w przyzakładowych kołach i na konferencjach wojewódzkich PTE, które posłużą do sformułowania na konferencji ogólnopolskiej syntetycznych ocen i propozycji środowiska ekonomistów.

● TOWARZYSTWO ROZWOJU RODZINY — taką nazwę przyjęło na swym krajowym zjeździe dotychczasowe Towarzystwo Planowania Rodziny. Przewodniczącym Zarządu Głównego TRR został prof. Bolesław Górnicki.

● W MINISTERSTWIE BUDOWNICTWA I PRZEMYSŁU MATERIAŁÓW BUDOWLANICH powołano nowych wiceministrów: Włodzimierza Cymbałę (lat 45, ostatnio doradca wiceprezesa Rady Ministrów), Zdzisława Fluka (lat 45, ostatnio wicejowoda katowicki), Aleksandra Szerwetkę (lat 52, ostatnio dyrektor Zespołu Planowania Terenowego w Komisji Planowania przy RM). Odwołano wiceministrów: Henryka Vogta (w związku z przejściem na emeryturę) oraz Józefa Żelazkiewicza.

za granicą

● Rada Rewolucji Irańskiej skierowała do Kurta Waldheima list, w którym domaga się uznania byłego szacha za przestępcę wojennego, proponuje powołanie międzynarodowej komisji do zbadania jego zbrodni, a od USA żąda zwrotu Iranowi całej własności Rezy Pahlavi, zdeponowanej w amerykańskich bankach i koncernach przemysłowych.

Prezydent Carter wstrzymał import irańskiej ropy i zamroził aktywa irańskie na kontach banków USA. Ajatollah Chomeini polecił zwolnić kilku zakładników z okupowanej ambasady Stanów Zjednoczonych w Teheranie.

Nastąpił przełom w toczącej się w Londynie konferencji na temat przyszłości Rodexi. Ugodzono, że w czasie 11 tygodni od zakończenia konferencji do nowych wyborów powszechnych Rodexi przywrócony zostanie status kolonii brytyjskiej.

● Plik Alberto Natusch Busch, który dokonał przed kilku tygodniami zamachu stanu w Bolivi, podał się do dymisji pod presją partii politycznych i związków zawodowych. Parlament Bolivi wybrał tymczasowym prezydentem tego kraju panią Lidie Gueiler, dotychczasową przewodniczącą Izby Reprezentantów.

Minister spraw zagranicznych Emil Wojtaszek złożył wizytę w Hiszpanii.

W Genewie obradowała ogólnoeuropejska konferencja państw-sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE w sprawie współpracy w dziedzinie ochrony środowiska.

Rumuński tankowiec „Independencia” o nośności 90 tys. ton zderzył się w cieśninie Bosfor z greckim statkiem „Evraniis”. Większość ropy naftowej wypłynęła do morza.

W czasie konferencji żywnościowej FAO, dyrektor generalny tej organizacji Edouard Saouma powiedział, że obecny system gospodarki światła przypomina dżunglę, w której śladem wykorzystują swą przewagę nad słabszymi. Import zbóż krajów rozwijających się wzrósł o 50 mln ton w połowie lat siedemdziesiątych do 115 mln ton w roku 1990, a tempo jego wzrostu w obecnej dekadzie było dwukrotnie większe niż w ubiegłej.

W trakcie konferencji przemawiał m.in. papież Jan Paweł II.

Były gubernator Kalifornii, Ronald Reagan formalnie zgłosił swą kandydaturę na prezydenta USA.

Z wizytą w Moskwie przebywał przewodniczący OWP, Jaser Arafat. W artykule wstępnym pt. „Fundament gospodarki narodowej”, poświęconym aktualnej sytuacji w kompleksie paliwowo-energetycznym, dziennik „Prawda” stwierdza, że w ostatnich piętnastu latach wydobycie ropy w ZSRR wzrosło 2,9 raza, gazu ziemnego — 4,4 raza, a węgla — 1,4 raza. Zgodnie z decyzjami XXV Zjazdu KPZR szczególnie szybko rośnie potencjał paliwowo-energetyczny wschodnich regionów kraju, bogatych w surowce mineralne i zasoby wodne. Szybko zagospodarowuje się złoża ropy i gazu w Syberii Zachodniej, pokłady węgla w zagłębiach Ekibastuskim, Kanskim-Aczynskim, Nerlungrinskim. Dziełają się pięciolatka stała się nowym etapem rozwoju energetyki atomowej, zwłaszcza w europejskiej części kraju gdzie koncentrują się wielkie miasta i zakłady przemysłowe, a zasoby energetyczne są niewystarczające.

Osiągnięcia na tym niezwykle ważnym odcinku rozwoju gospodarczego są bezsporne. Jednak potrzeby gospodarki narodowej nadal rosną. Oto dlaczego partia traktuje dalszy rozwój kompleksu paliwowo-energetycznego jako jedno z zadań programowych — pisze „Prawda”. Obecna sytuacja we wchodzących w jego skład branżach nie może zadowalać — stwierdza dziennik. — Ministerstwa przemysłu węglowego i naftowego dopuszczają się poważnych błędów w planowaniu wielkości produkcji i zarządzaniu nią, w wykorzystywaniu nakładów inwestycyjnych. Z zadaniami planu nie dają sobie rady górnicy Kuzbasu i Karagandy, naftowcy Tiumentia.

Nie jest to tylko wina pracowników branż wydobywczych. Za uzbrojenie techniczne ich stanowisk pracy odpowiadają, jak wiadomo, ministerstwa przemysłu budowy maszyn energetycznych, ciężkich i transportowych, przemysłu elektrotechnicznego i niektóre inne resorty. W ostatnich latach dostarczyły one wiele nowoczesnych agregatów i maszyn, ale popyt na nie nie został w pełni zaspokojony. I tak, od wielu lat krytykuje się przedsiębiorstwa podległe Ministerstwu Hutnictwa Żelaza ZSRR, które produkują rury niskiej jakości, a sytuacja nie zmienia się na lepsze. Ministerstwo Przemysłu Elektrotechnicznego nie zwiększa produkcji elektrowiertów, niezbędnych dla naftowców i gazowników. Zakłady wydobywcze otrzymują za mało

środków technicznych przystosowanych do pracy na Dalekiej Północy. Z powodu braków w wyposażeniu wolno przebiega modernizacja istniejących elektrowni. Szybsze uzupełnienie arsenału technicznego kompleksu paliwowo-energetycznego — to bojowe zadanie, od którego pomyślnego wykonania w dużym stopniu zależy dalszy postęp gospodarki narodowej — stwierdza „Prawda”.

Z raportu opracowanego przez komitet ds. rolnictwa OECD wynika, że w latach 79—80 należy spodziewać się zmniejszenia zbiorów pszenicy i innych zbóż o 4—5 proc. Prawdopodobnie popyt przewyższać będzie podaż, przez co ceny zbóż wzrosną na bardzo wysokim poziomie. Nie bez znaczenia dla cen zbóż — stwierdza raport — będzie też podwyżka cen ropy naftowej.

Zbiory pszenicy na całym świecie szacuje się na około 405 mln ton, a więc o 37 mln ton (9 proc.) mniej niż w ubiegłym roku, kiedy to zebrano ilości rekordowe. Największy spadek wyściąpi przypuszczalnie w ZSRR. Natomiast w USA, gdzie w tym roku była wyjątkowo korzystna pogoda, zebrano 9 mln ton więcej niż w roku ubiegłym. Zwiększyły się też zbiory w Chinach i Indiach. Jeśli chodzi o produkcję innych zbóż — żyta, owsa, jęczmienia, kukurydzy i sorgo — przewiduje się spadek o 20 mln ton (w ubiegłym roku zebrano 745 mln ton). Poprawa w tym zakresie nastąpi jednak w Stanach Zjednoczonych, Argentynie, Brazylii, Meksyku i Chinach.

Zbiory ryżu zmniejszą się — według przewidywań — o 2 proc. w stali światowej, głównie z powodu zbrania opadów monsunowych w Indiach. Największym producentem ryżu na świecie pozostaną Chiny, których produkcja również w tym roku wzrośnie.

● Sześć rządów krajowego Badenii-Wirtembergii, Lothar Spaeth, przebywający z wizytą w Chinach, został przyjęty przez premiera Hua Kuofenga.

W Etiopii przebywała z oficjalną wizytą delegacja partyjno-państwowa NRD na czele z Erichem Honeckerem. Podczas wizyty odbyła się ceremonia położenia kamienia węgielnego pod pierwszy na kontynencie afrykańskim pomnik Karola Marksa. Kolejnym etapem podróży delegacji NRD był Emen Poludniowy.

Do Pekinu przybyła delegacja KC Związku Komunistów Jugosławii na czele z Miłką Planinc, członkinią Prezydium KC ZKJ i przewodniczącą partii chorwackiej.

Mało kto dziś o tym pamięta, ale dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Odzieżowego, Roman Karbowski akurat bardzo dobrze: był wtedy naczelnym „Bytomia” i miał na składzie w... świetlicy kopalni węgla 180 tys. męskich ubrań, na które w żaden sposób nie mógł znaleźć nabywców. Około roku 1970 przykład ten służył na przeróżnych naradach, odprawach i kursach do ilustracji tezy, że przemysł wytwarza buble, których społeczeństwo nie potrzebuje.

POTRZEBY I RACHUNKI

ZOFIA DŁUGOSZ

PRZYKŁAD był strajny, a teza tylko w części prawdziwa. Ówczesne produkty przemysłu odzieżowego istnieć musiały, bo zaowocowałyby one wyższymi dochodami dla pozostałych, były jeszcze dobre, tylko — nie mieli ich za co kupować. Stało się to jasne w roku 1971, kiedy to pierwsze podwyżki płac dośrodkowały się do magazynów z zapasów odzieży. Wtedy też po stronie popytu zaczęły się naraz dwa procesy: stałe zwiększanie się potrzeb ilościowych i coraz powszechniejszy wzrost wymagań co do szeroko pojmowanej jakości przyodziewku. Zeby podołać mogła dotrzymać im kroku, trzeba było produkować odzież mocno rozwiniętą i unowocześnić.

Budowanie od dachu

Potrzeba taka zarysowała się z całą mocą nie tylko przed przemysłem odzieżowym, ale całym przemysłem lekkim. Przedziałnie, tkalnie, farbowne, rozszarpane i luźniej niż fabryki odzieżowe mogły się liczyć, która starsza, bardziej zacofana technicznie i w gorszych warunkach. Ale budowa przedziałni, czy tkalni trwała — 6-8 lat, gdy tymczasem zdecydowanie zwiększona podaż wyrobów przemysłu lekkiego była absolutnie niezbędna już w latach 1971, 1972, 1973. W naszej strukturze konsumpcji zajmują one drugie — po żywności — miejsce, toteż przemysłowi lekkim przepadła kluczowa rola w realizacji przyjętej na VI Zjeździe partii strategii pobudzania rozwoju społeczno-gospodarczego — wydatnym wzrostem konsumpcji.

Pod naciskiem tych potrzeb i okoliczności powstała w tym przemysle koncepcja polityki inwestycyjnej na lata 1971-75, polegająca na koncentracji nakładów w przemysłach wyrobów finalnych — dziewiarskim, obuwniczym, odzieżowym — gdzie można było najszybciej przeobrazić w efekty. „Odzieżówka” była tu najlepszym przykładem: wystarczy wybudować prostą halę, ustawić w niej nowoczesne maszyny zakupione na Zachodzie bez kłopotów i mitręgi, posadzić przy nich kobiety i — leci produkcja! Kwalifikacje też są, problem, każda kobieta potrafi szyc, a chętnych do tego szycia pełno, wszak z tylu miejscowości rozlegają się wołania o zakład odzieżowy, a gospodarze gotowi są nawet przyłożyć do jego budowy funduszem aktywizacji miast, który mieli wtedy do dyspozycji.

Potrzebne do wytwarzania zwiększonej ilości gotowych wyrobów półprodukty zamierzano kupować w krajach Trzeciego Świata.

Dzisiaj, kiedy wiadomo już, że nie nie udało się tak prosto, a sporo kalkulacji zawiodło — ponieważ nazywają to „budowanie od dachu” — typowym polskim efekciarstwem, inni przebiegają, że o wyborze kierunków inwestowania zdecydowała w dużej mierze zasada pobierania podatku obrotowego wyłącznie od produkcji wyrobów finalnych... Formulowane ex post oceny są jednak krzywdzące. Skoro produkty z nowych inwestycji były niezbędne potrzebne do zrównoważenia kolejnych rocznych bilansów dochodów i wydatków ludności, obrona przez przemysł koncepcji inwestowania była logiczną i odpowiedzialną polityką wzrostu płac i świadczeń społecznych. Na budowanie od fundamentów nie starczyło czasu.

Już jednak w połowie realizacji pięcioletki 1971-75 stało się jasne (i zostało odnotowane w „Życiu Gospodarczym”), że wybór ten będzie nas sporo kosztował i spowoduje wiele perturbacji. Import półproduktów z krajów Trzeciego Świata napotykał coraz większe trudności, wzięły się one bowiem same z produkcji wyrobów gotowych, ograniczając tym samym eksport surowców, których ceny w rezultacie mocno wzrosły. Im więcej zaś trzeba było płacić za surowce importowane, tym twardsza stawała się konieczność zwiększania eksportu wyrobów gotowych. Tym twardsza, że równocześnie należało też spłacać zakupione za dewizy wyposażenie nowych i modernizowanych zakładów.

Druga pięcioletka inwestycyjna w przemysle lekkim miała być okresem „podciągania tyłów”, czyli koncentrowania nakładów na rozbudowę, a przede wszystkim modernizację zaplecza surowcowego. Był to już jednak czas ogromnego pociągnięcia frontu inwestycyjnego: w tych warunkach realizacja zadań wymagających z natury wielu lat, przegajających się jeszcze przykłady pokazywałyśmy w „Życiu Gospodarczym”.

czym?”. Do nadmiernego rozproszenia inwestycji przyczynili się też co nieco inwestorzy z przemysłu lekkiego: wykaz podejmowanych w nim zadań nie był zbyt pozwalający się zorientować, czy istotnie są one podporządkowane przewodniej idei modernizacji zaplecza, budził natomiast zdziwienie, po co budujemy np. nowe zakłady obuwnicze, skoro już istniejące giganty borykają się mocno zarówno z brakiem ludzi, jak i surowca do produkcji.

Tymczasem penturbacje surowcowo-materiałowe coraz bardziej ciążyły na warunkach i wynikach pracy nowych, bądź zmodernizowanych zakładów, wytwarzających wyroby gotowe.

Samotnym trudniej

W pięcioletce 1966-1970 na inwestycje w przemysle odzieżowym przeznaczono 900 mln złotych, w kolejnej 1971-75 — 5,8 miliarda. Trudno było mieć wątpliwości, że nastąpiła nowa era dla przemysłu produkującego na potrzeby rynku.

Uważa się na ogół, że pokonywanie opóźnień w rozwoju jednym wielkim skokiem daje wielką szansę: pozwala pominąć pośrednie etapy i znaleźć się od razu w rzędzie przodujących w świecie producentów, wyposażonych w najnowocześniejszy park maszynowy. Współczesne doświadczenia, nie tylko nasze, dość ostro ten pogląd weryfikują, stawiając pytanie, czy istotnie można tak pośrodkowe etapy pomijać bezkarnie, czy warto wnieść się samotnie ponad przeciętny poziom infrastruktury gospodarczej, organizacji zaplecza surowcowego, umiejętności i kultury pracy. Na początku lat siedemdziesiątych nasi odzieżowcy nie tylko jednak nie mieli wątpliwości, że trzeba sięgnąć po urządzenia najnowsze, ale nie mieli też praktycznie innego wyboru — na obszarze RWPG tylko Węgry i NRD produkują pewne typy maszyn do szycia odzieży lekkiej. Pozostałe elementy wyposażenia trzeba było kupować w wyspecjalizowanych firmach zachodnich, a te oferowały maszyny i urządzenia nowoczesne, o rozbudowanym zakresie czynności służących — najogólniej mówiąc — podnoszeniu jakościowego poziomu wyrobów. Rzecz jasna, każdy element wyposażenia, rozszerzający zakres czynności maszyny, wydatnie podnosi jej cenę. W latach siedemdziesiątych ceny maszyn wzrosły 2-3-krotnie — zależnie od rodzaju urządzeń.

Nowoczesne, bardziej rozbudowane urządzenia wymagały większej przestrzeni. W fabrykach-weteranach na jednego zatrudnionego przypadało ok. 5 m kw. powierzchni, w zakładach nowych — 9-11 m; w tych ostatnich nieporównanie lepsze jest również zaplecze socjalne — wzrosła więc znacznie kubatura nowych obiektów, a w ciągu mijającego 9-lecia ceny materiałów budowlanych trzykrotnie były już podnoszone. Jeśli dodać jeszcze, że każdy nowy obiekt produkcyjny otrzymuje tzw. inwestycje towarzyszące (inna

rzecz, że nie zawsze w terminie realizowanej), w tym co najmniej jeden budynek mieszkalny — będziemy mieli prawie komplet czynników, sprawających, że koszt budowy zakładów o tej samej liczbie zatrudnionych i podobnej wydajności obliczanej w cenach konfekcjonowania kształtował się następująco: budowanego w okresie 1966-70 „Zamościa I” — 60 mln złotych, oddanego do eksploatacji w roku 1972 zakładu w Krasnymstawie 90 mln zł, a w następnym roku w Lublinie — już ok. 120 mln złotych. Inne, zbliżone zatrudnieniem i wydajnością pracy fabryki — „Modus” w Bydgoszczy i zakład w Ślubicach, z których pierwszy rozpoczął produkcję żywności w roku 1958, drugi w 1978, kosztowały — 50 i 550 mln złotych. Porównania takie można by ciągnąć długo, a wszystkie odzwierciedlają tę samą tendencję.

Ostro pnący się w górę koszt budowy i wyposażenia zakładów należałoby równoważyć wysiłkiem wysokiej wydajności z parku maszynowego będącego wszak coraz większym cudem światowej techniki. Ale w przemysle odzieżowym zastąpienie wyeksploatowanych urządzeń całkiem nowymi, z natury rzeczy nie przynosi rewolucyjnego przewrotu w poziomie wydajności pracy. Pozostaje ona wciąż ręczno-maszynowa, decydująca rolę spełnia w niej człowiek, tyle że coraz lepiej „oprzędkowany”, co owocuje 30-50-procentowym wzrostem wydajności. Czy człowiek, który za gorsze warunki pracy w starych zakładach płacił własnym zdrowiem, docenia ich poprawę i reaguje większą chęcią do pracy, większym przywiązaniem do fabryki?

Starsze kobiety, bo o kobiety głównie tu chodzi, reagują, owszem bardzo wdzięcznie, ale mają pewne trudności z przełamaniem dawnych nawyków pracy i przystosowaniem się do wprowadzonych zmian, o co trudno mieć do nich pretensję. Natomiast młode dziewczęta, rozpoczynające pracę w przemysle odzieżowym, nawet nie dostrzegają poprawy, bo przecież nie wiedzą, jak było przedtem. Póki nie założą rodziny i własnego gospodarstwa domowego nie mają specjalnej motywacji ekonomicznej do pracy, a szycie różnych elementów odzieży jest dla nich zajęciem monotonnym, nużącym psychicznie. Zakłady mają duże kłopoty z pozyskaniem nowych ludzi do pracy i na ogół są stale „pod planem” zatrudnienia.

Jeśli zaś chodzi o różne dodatkowe elementy wyposażenia — czujniki, urządzenia kontrolno-pomiarowe i inne subtelności techniczne, za które trzeba było słowo zapłacić w cenie maszyn — to teraz są one bardzo często po prostu nie wykorzystywane ze względu na oszczędzanie energii. A poza tym... Przykład z innego przemysłu wiecznie oddaje przykład tych „subtelności”: szwajcarskie urządzenie do pomiaru jakości przedzi, reagujące stukiem na każde zgrubienie, czy inną wadę strzela na ogół jak karabin maszynowy. Ale przedzi to materiał mocno deficytowy; czy z powodu tego obstrukcja można ją odrzucić?

Wreszcie — najistotniejszy czynnik oddziałujący ujemnie na wydajność pracy, i na jakość produkcji, to niesłychane kłopoty z zaopatrzeniem surowcowo-materiałowym. Ubrania męskie składają się z 28 elementów, a każdy z nich — od nici do

guzików — trzeba zdobywać w siódmych potęgach. Równie wiele energii pochłania zdobycie opakowań, ekspedycja gotowych wyrobów...

W podobnie wyposażonych technicznie zakładach amerykańskich jedną parę spodni — teksasów szyje się 10-15 minut, u nas — uszycie jednej nogawki zabiera godzinę. Amerykański przykład to wskazówka, jak można szybko amortyzować rosnący koszt modernizacji parku maszynowego, nakładów pracy żywej itp. Nasz dowodzi, że drogą do tych szczytów wydajności bardzo trudno iść samotnie, zwłaszcza jeśli warunki otoczenia co chwilę spychają w dół.

Albo plan, albo rynek?

Ciągle rozdarcie między tym, czego od przemysłu oczekują nabywcy jego wyrobów, a tym co się opłaca wytwarzać jest jednym z czynników sprawających, że wysiłki producentów rzadko zyskują aprobatę społeczną.

A przecież uproszczone byłoby twierdzenie, że nabywcy oczekują tylko wyrobów najprostszych, standardowych i tanich. Te, jako nieodłączne, muszą mieć, oczywiście, pierwszeństwo, ale jesteśmy społeczeństwem przywiązującym dużą wagę do stroju, chętnie podążamy za modą, toteż na zaspokajaniu autorytarnych potrzeb społecznych można też zarabiać, co nie tylko pomaga wykonywać plany i wskaźniki, ale również uzyskiwać zwrot nakładów poniesionych na rozwój przemysłu. Socjalistyczny przedsiębiorca nie może być przecież zwolniony z tego obowiązku, jeśli bowiem nakłady, które otrzymał, nie wrócą w miarę szybko do społeczeństwa, z czego będziemy zaspokajali inne, stałe rosnące potrzeby? Jak jednak godzić wytwarzanie wyrobów odpowiadających zamówieniom nabywców z uzyskiwaniem dobrych wyników ekonomicznych, skoro wskutek niewłaściwej relacji cen artykuły cieszące się największym popytem na rynku są nieopłacalne w produkcji?

Przemysł odzieżowy jest tu w szczególnie trudnej sytuacji, jego wkład w podnoszenie jakościowych i estetycznych walorów wyrobu polega bowiem tylko na dobrym kroju, starannym uszyciu i ewentualnym zastosowaniu różnych upiększeń i dodatków. Tymczasem dobry wyrób wymaga jeszcze szczęśliwego skrojania tych cech z tkaniną, a wszystkie razem z ceną, którą gotów jest zapłacić nabywca. Przykładem dobrego skrojania tych elementów są prochowce damskie i męskie, które też bez trudu podbiły rynek i aby ich tylko było pod dostatkiem.

Samo upiększanie wyrobów — mocno wreszcie wątpliwe, z powodu braku odpowiednich guzików, zamków błyskawicznych, nici, itp. — za którego w pewnym momencie ostro wzięli się przemysł dla podopiecznych wyników ekonomicznych (w niektórych latach udzielił tzw. wartości wzorczych sięgał 60 proc. wartości produkcji) mocno go tylko naraziło na spokucenie kupujących. Z pewnością zyskałby natomiast jej umianę, gdyby np. teraz zarzucał rynek ubrania, kostiumy, sukienki, spodnie, kamizelki z welwetu. Ale welwet — jak na lekarstwo, dla przemysłu bawełnianego bowiem ten najmłodniejszy obecnie materiał to fatalny interes. Jak obliczył sam minister Mach, gdyby wszyscy pro-

ducenci tkanin bawełnianych przedstawili się na welwet, to roczny plan wartości produkcji wykonaliby w 30 proc. Przemysł wciąż jeszcze podrapuje natomiast swoje finanse stosowaniem do wszystkiego surowców syntetycznych, które na rynku przyjmowane są z coraz większymi oporami. Zmiana relacji cenowych niewątpliwie pozwoliłaby nam bardziej odczuć, że przemysł lekki dysponuje obecnie prawie każdą znaną na świecie techniką i technologią wytwarzania, co w końcu sporo nas kosztowało. Jeśli nie stać nas na kupowanie większej ilości surowców naturalnych i musimy je zastępować syntetykami, nie robimy z tego przynajmniej cnoty ekonomicznej.

Co dalej?

W latach 1971-77 silny zastrzyk nakładów inwestycyjnych profitował w przemyśle odzieżowym ok. 15-proc. średniorocznym tempem wzrostu doświadczeń na rynku wewnętrznym. W pierwszej 5-late zwiększyły się one z 11 do 19,9 mld zł (w cenach porównywalnych z 1971 r.). Dobrym tego okresu był również prawie trzykrotny wzrost eksportu — z niecałych 600 mln zł dewizowych do 2,5 mld. Produkcja w cenach zbytu zwiększyła się o ponad 84 proc., zatrudnienie zaś tylko o 14 proc. Wzrost produkcji był więc w 80 proc. zasługą zwiększania wydajności pracy, którego średnioroczne tempo kształtowało się na poziomie ponad 11 proc. W 1976 roku wskaźniki te były jeszcze korzystniejsze, natomiast w 1977 — przemysł po raz pierwszy nie wykonał planu: wzrost produkcji wyniósł już tylko 10,6 proc., doświadczeń na rynku wewnętrznym — 5,4 proc.

Powodem były m. in. ograniczenia w zatrudnieniu oraz rezygnacja z nadmiernej twórczości nowatorskiej, a większe podporządkowanie się potrzebom rynku określonym w trzech listach asortymentowych, które obejmują aż 95 proc. dostaw rynkowych z zakładów Zjednoczenia. Jest charakterystyczne, że na wykonanie planu dostaw na rynek rzutowały też ujemnie: moda na wyroby z tkanin tańszych, jak welwet, teksas, flanela, a z drugiej strony — ograniczenie przydziału wysokoprocentowych tkanin wełnianych i futer.

— Gdybyśmy byli rozliczani mierzniem zaspokajania potrzeb społecznych — komentuje te dane dyr. Pański, handlowy szef Zjednoczenia — może wypadlibyśmy nawet lepiej. Ale, że niezależnie od zaspokajania potrzeb, mamy wykonać plan dostaw w cenach zbytu, trzeba się było tego tłumaczyć.

Niepokojące jest nie tyle niewykonanie planu dostaw umiarkowanych we wskaźnikach wartościowych (choć ma ono istotne znaczenie dla równowagi rynkowej), ile — inne spadkowe trendy, które obserwujemy ostatnio w zakładach Zjednoczenia. Od 1977 stało się małe już tempo wzrostu wydajności pracy: w 1978 wydajność wzrosła o 5,3 proc., w 1979 — o 5,1, a w roku 1980 ma się zwiększyć, według założeń — o 3,2 proc.

Jest to tym bardziej niepokojące, że nie zmniejsza się zapotrzebowanie wewnętrzne na wyroby odzieżowe, a jednocześnie ich wytwórców czeka coraz wyższe zadania eksportowe: w roku bieżącym produkcja na eksport angażowała już blisko połowę ich potencjału produkcyjnego.

Malejące tempo wzrostu wydajności przypisuje się w Zjednoczeniu wyzerpaniu wewnętrznych rezerw — przede wszystkim możliwości poprawy organizacji produkcji. Zewnętrzne warunki organizacji raczej się zaś pogarszają (zaopatrzenie, zasilanie w energię i transport). W roku 1978 niezbyt imponujący już przyrost wydajności pracy osiągnięto właśnie dzięki wprowadzeniu nowoczesnej organizacji w zespołach produkcyjnych, m. in. mechanizacji transportu między stanowiskami pracy. Ten bezinwestycyjny sposób podnoszenia wydajności rozszerza się na coraz nowe zespoły i zakłady i w przyszłym roku już tylko znikoma część fabryk będzie pracowała w mniej nowoczesnych formach organizacji.

Mimo to, tempo wzrostu wydajności z pierwszej połowy dekady jest już nieosiągalne. Tymczasem budowa nowych obiektów, które mają powiększyć potencjał produkcyjny Zjednoczenia, przyciąga się ponad wszelką miarę. Cykl inwestycyjny określany na 17 miesięcy trwa 40, a w niektórych przypadkach nawet dłużej. Są to zaś obiekty, w których trudno ulokować szczególnie ważne i pilne zamówienia ze strony rynku — np. na bluzki damskie w Koninie (przemysł odzieżowy dostarcza 18 mln koszul męskich i tylko 1 mln bluzek), na odzież chłopięcą w Białej Podlaskiej, odzież sportową w Miragowie, na suknie w rozbudowanym „Daminie” — zakładzie bardzo renomowanym, którego wyroby cieszą się u klientów wielkim wzięciem. Opóźnienia w ich realizacji nie tylko uszczuplają podaż towarów na rynek wewnętrzny i na eksport, ale muszą wywoływać głębokie zaniepokojenie z innego jeszcze powodu. Bo jeżeli zakłady budowane w miarę szybko w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych z trudem zwracały i zwracają wyłożone na nie środki, to jak wypadnie rachunek opłacalności tych obiektów, które rozpoczęły produkcję z blisko dwuletnim opóźnieniem w stosunku do założeń?

„Bieg z zadyśką”, „Z.G.” nr 29 z 30.IX.1979 r.
A. Chmielewski — „Czas liczony anłan”, „Z.G.” nr 12 z 1978 r.
„Wielkie pieniądze już były?” — rozmowa z ministrem przemysłu lekkiego, Stanisławem Machem, „Z.G.” nr 23 z 10.VI.1979 r.

listy

Męska sprawa

Od wielu tygodni nie można było kupić w sklepach białych, bawełnianych kałesonów w kształcie kapielowych ślipse — pisaliśmy w rubryce „W interesie konsumenta” („Z.G.” nr 42/1979). Producenci tłumaczyli się brakiem surowca oraz zdolności produkcyjnych. Budził jednak zastanowienie fakt, że w warszawskim „Juniorze” ukazały się „kałesony męskie z krótką nogawką” z legnickich Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego „Hanka”. Cena jest o kilkadziesiąt złotych wyższa od ceny kałesonów „ślipskowych”. Nie tylko cena skłania do zadumy — nowy wyrób o kształcie przypominającym „bermudy” zawiera z pewnością dwa razy więcej surowca. Postawiliśmy pytanie, czy wobec niedoborów importowanej bawełny nie można by zamiast mniejszej ilości kałesonów „z nogawkami” wytworzyć z tego samego surowca dwa razy więcej kałesonów „beznogawkowych”. Wysuwaliśmy sugestie, że znaczna liczba mężczyzn w naszym kraju zaakceptowała już kałesony typu „ślipki”, boczając się na wzory tradycyjne. Takie postawienie sprawy zbliżowało jednak konserwatystów.

Ob. L.M. z Ustrzyk Dolnych pisze:

Autor notatki domaga się wyjaśnień od dyrektora ZPD „Hanka”, od dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Dziewiarskiego, od Centrali Państwowego Handlu i Wewnętrznej, dlaczego zgodzili się na wygaszenie produkcji tradycyjnych białych kałesonów krótkich i dlaczego zamówili te „materiałochłonne i dewizożerzące kałesony”.

Nasuwają się pytania, jakim prawem autor żąda takich wyjaśnień w moim imieniu jako konsumenta. Mnie np. nie odpowiadają kałesony typu „ślipki”. Gdyby np. żądano, aby oprócz kałesonów z długą nogawką były również krótkie, to byłoby to normalne i uzasadnione. Propagowanie takiej oszczędności, „by z takiej samej ilości surowca importowanego — którego naprawdę brakuje — wytworzyć dwa razy więcej krótkich gaci” zakrawa na to, że straciliśmy zdrowy rozsądek.

Ob. Karol Skolik z Kędzierzyna — Koźla dodaje:

Autor rości sobie pretensje do reprezentowania milionów rodaków w walce o ślipy, zapominając, że są w Polsce mężczyźni, którzy nie noszą i nie uznają ślipse, a właśnie owe wykopane kałesony krótkie, o które to inni publicyści w imieniu innych konsumentów w kraju również toczyli boje od kilku lat (miedzy innymi w katowickiej „Panoramie”). I teraz, kiedy doczekaliśmy się ich produkcji, to naraz „Życie Gospodarcze” podnosi zarzuty o rzekomej nieoszczędności. Nie tędy droga, skoro musimy te kałesony krótkie kupować w NRD i Czechosłowacji, gdzie handel i producenci dbają o konsumenta wszechstronnie, a nie jednostronnie.

Nawiasem mówiąc, na terenie województwa opolskiego, przynajmniej w samym Opolu i w Kędzierzynie-Koźlu, do tej pory wykonywanych przez was, a poszukiwanych przez mnie kałesonów nie znalazłem, proszę zatem uprzejmie o podanie adresu placówek handlowych, gdzie można je nabyć. To nie tylko względy wygody, ale i w pewnym stopniu higieny osobistej...

Co do ceny trudno coś powiedzieć, skoro autor jej nie podaje, można mieć pretensję, jeśli rzeczywiście jest słona — chociaż komu jak komu, ale czytelnikom „Życia Gospodarczego” wiadomo, że ceny różnych surowców na rynkach światowych, a tym samym i bawełny oraz wyrobów z niej, poszły w górę, nie tylko zresztą na skutek „inflacji” i „kryzysu paliwowo-energetycznego”.

Proszę również w moim imieniu tym wszystkim dyrektorom zjednoczeń, przemysłu, handlu i dystrybucji serdecznie i publicznie podziękować, że dbają o różne gusty i potrzeby konsumentów w naszym kraju.

Ponadto informuję red. A.N.-J., autora notatki, że na naszym terenie właśnie można nabywać jedynie owe przez niego tak upragnione ślipy bawełniane, to znaczy, że znowu jakaś dystrybucja spłatała figla.

CZY MOŻEMY BUDOWAĆ WIĘCEJ MIESZKAŃ?

DOKONCZENIE ZE STR. 1

bez podjęcia energicznych wysiłków modernizacyjnych 39 proc. mieszkań ze starej zabudowy w roku 1990 nadawać się będzie już tylko do rozbioru. W tej sytuacji nie może być dylematu: modernizować teraz czy odczekać do późniejszego, mimo że w wycinkowym rachunku modernizacja nie daje tak efektywnego przyrostu. Na ten cel wygospodarować trzeba w dodatku pewną pulę mieszkań, do których przenosić się będzie lokatorów modernizowanych budynków. Ale jest to ten wkład, który ponieść musimy.

Skończył się cały wiek — 1985 — ma być wybudowanych 1550 tys. nowych mieszkań, to znaczy średnio rocznie przybywać ich powinno 310 tys. Liczba ta określa rozmiar budownictwa na poziomie, który osiągnęliśmy, a nawet — przyjmując do porównania tegoroczny plan — już przekroczyliśmy. Prawdą jest, że ten plan realizuje się metodami awaryjnymi, włączając do budowy domów również zakłady pracy, przedsiębiorstwa remontowe, organizacje społeczne itp. Ze wykonuje się go niekompleksowo, zbyt często pozostawiając na później budowę obiektów stanowiących podstawowe wyposażenie osiedli mieszkaniowych. Szybko wspinaliśmy się po stopniach dzielących wskaźnik 5,9 mieszkań budowanych na każde 1000 mieszkańców w roku 1970, do 9,6 których wybudowania zakłada się w tym roku. Przyspieszaliśmy tempo tego budownictwa, choć nie zawsze były spełnione po temu wszystkie warunki. Było ono jednak niezbędne, bo trudno sobie nawet wyobrazić nasz obecny status mieszkaniowy bez tego przyspieszenia, przy ogromnym napięciu niezapokojonych potrzeb u progu lat siedemdziesiątych i najwyższymi w okresie powojennym tempie ich przerosu. Liczba ok. 3 mln nowo zawartych w bieżącym dziesięcioleciu małżeństw mówi sama za siebie.

Do zwiększających się zadań stawianych przed budownictwem mieszkaniowym na placach budowy, permanentnie czegoś brakowało. Nie było przygotowanych terenów, były luki w zaopatrzeniu materiałowym, brakowało rzemieślników. W tej sytuacji trzeba było stosować w praktyce różnego typu doraźne rozwiązania organizacyjne, techniczne, placowe. Stopniowo awaryjne metody pracy zdominowały całe budownictwo. Powiedźmy otwarcie, mamy dziś w budownictwie chorą organizację, w której nie da się wyegzekwować ani wymagań jakościowych, ani rozliczeń z materiałami, ani zapewnić zwykłej dyscypliny pracy. Nie sposób zapanować nad ogromną fluktuacją kadr. Rażąca demoralizacja części wykonawców spłata się z niesłychanymi napięciami psychicznymi tych, którzy rzetelnie traktują swoje obowiązki. To nie są odkrywcze stwierdzenia. Mówi dziś o tym każdy kierownik budowy, i są one widoczne gołym okiem.

Mniejsza o to, w jakim stopniu odpowiedzialność za obecny stan rzeczy przypisać należałoby samemu budownictwu, a w jakim stopniu zażyły na tym warunki, w których ono funkcjonuje. Nie o rozrachunki wszak chodzi, ale o ustalenie ile mieszkań można by wybudować, gdyby usunąć to wszystko co jest dziś na placu budowy nieformalne, to co powoduje awaryjność działania, i doraźny styl pracy. Wiadomo, że w tych warunkach buduje się drożej, a drożej to znaczy że z tych samych środków można wybudować mniej. Taka logika podyktowała decyzję o wprowadzeniu nowego systemu ekonomiczno-finansowego. Dotychczasowy prymitywny system miał bowiem swój niewątpliwie udział w tworzeniu i utrwalaniu tych wszystkich anomalii. Ale nie oszukujmy się, licząc na to, że nowy system rozwiąże wszystkie problemy. Od początku było zresztą wiadomo, że bez przygotowania materialnego i organizacyjnego zaplecza tych zmian, nawet najlepiej pomyślane mechanizmy systemowe nie zmienią rzeczywistości.

Słabe punkty

O jakie przygotowania w tej bazie materialnej chodzi?

Wydaliśmy na rozwój kompleksu mieszkaniowego w ubiegłym dziesięcioleciu więcej niż kiedykolwiek. Kwota 130 mld zł przeznaczona na ten cel dokumentuje rzeczywisty awans mieszkania w wysiłku inwestycyjnym kraju. W tworzeniu bazy materialnej tego budownictwa powstały jednak liczne dysproporcje. Jest potężna baza prefabrykacji, i z wydolnością montażową budownictwa nie ma w zasadzie kłopotów. Wszyscy są również zgodni co do tego, że można z niej wycisnąć znacznie więcej, niż daje ona obecnie.

Sądze, że zbyt wiele mówimy o nieefektywnej koncepcji technologicznej budownictwa wielkopłytowego, a zbyt mało o tym, jak tę już zrealizowaną koncepcję lepiej wykorzystać. Bo niezależnie od tego jakbyśmy ją oceniali, jest to już fakt dokonany. A przecież z tej wielkiej płyty inni budują sprawniej, nieporównanie lepsze mieszkania. Przeko-

nać się można o tym choćby w Czechosłowacji czy NRD.

W szacowaniu wielkości rezerw przy ostrożnym ich liczeniu ocenia się je na ok. 30 proc. To jest ten najsilniejszy, najbardziej wysunięty do przodu punkt w rachunku naszych możliwości, od którego jednak odjąć trzeba parę składników.

Najpoważniejszym, najbardziej ważącym na tym wyniku jest chyba to wszystko co mieści się w pojęciu komunalnego zaplecza budownictwa mieszkaniowego. W ostatnich latach połowę mieszkań buduje się równoległe z prowadzeniem robót ubrojenia terenu. W dużych aglomeracjach, gdzie deficyt terenów jest największy procent ten dochodzi i do 90. A jak wiemy wcale nieodrodniość się przypadki, kiedy gotowe budynki nie mogą być przekazane lokatorom z powodu opóźnień w uruchamianiu podstawowych obiektów komunalnych lub sieci magistralnych łączących osiedla ze źródłami zasilania.

Z roku na rok inwestycje komunalne planuje się na styku z potrzebami wynikającymi z rozwoju budownictwa mieszkaniowego, dofinansowując je w miarę potrzeby z rezerwy inwestycyjnej. Nie ma mowy jednak o jakimś wyprzedzeniu w przygotowaniu terenów, tym bardziej, że w ostatnich latach nakłady te nie są wykorzystywane. W tym roku np. 1 września miały być zgodnie z planem przekazane do eksploatacji inwestycje komunalne o łącznej wartości kosztorysowej 17,9 mld zł. Zakończono budowę obiektów o wartości 6,2 mld zł. Te opóźnienia wywołują łańcuskowe skutki w całym procesie budowy mieszkań. Utrudniają wcześniejsze przygotowanie placu budowy, dezorganizują prace montażowe, nie mówiąc już o komplikacjach przy przekazywaniu obiektów. Na przezwyciężenie tej słabości nie można wymyślić żadnych rewelacyjnych recept — poza najprostszą — zwiększeniem nakładów na gospodarkę komunalną, a przede wszystkim zapewnieniem potencjału wykonawczego dla tych inwestycji.

Biorąc jednak pod uwagę to, że najbliższe lata to okres ograniczenia rozmiarów inwestowania w skali ogólnej, przeorientowania polityki inwestycyjnej na modernizację, zmniejszania liczby nowo rozpoczynanych obiektów produkcyjnych, można liczyć na spadek napięć w budownictwie i możliwość przesunięcia jego potencjału na inwestycje

komunalne. Być może wymaga to zmian w układzie organizacji budownictwa, pozwalających na egzekwowanie dyscypliny wykonania zadań w obrębie gospodarki komunalnej.

Drugim po gospodarce komunalnej słabym punktem w tym rachunku możliwości jest stan rozwoju bazy materialowej budownictwa mieszkaniowego. Z podstawowymi materiałami, które są potrzebne do zmontowania budynku w zasadzie kłopotów być nie powinno. Jeśli obecnie występują jakieś trudności w zaopatrzeniu wykonawców w te materiały, to z wyjątkiem stali spowodowane są niewydolnością transportową, albo wyłączeniami energetycznymi.

Istnieją natomiast trudności w pokryciu potrzeb materiałowych budownictwa do robót wykończeniowych. Wynika to bądź z rzeczywistego niezrównoważenia popytu z podażą — bądź też z niekompletności rozwoju bazy wytwórczej przemysłu mieszkaniowego. Zbudowaliśmy np. fabryki wykładzin podłogowych, które miały zlikwidować deficyt materiałów podłogowych.

Wykładziny przyjęte na początku z entuzjazmem zostały skompromitowane, ponieważ nie mogły być układane na mokrym podłożu. Można zaopieć temu stosując masę anhydrydową do przygotowania podłoża, ale uruchomienie produkcji tych mas jest ciągle w sferze koncepcji. Podobnie uruchomiliśmy w Hucie Silesia produkcję stalowych grzejników centralnego ogrzewania. Grzejniki te instalowane bez dodatkowego wyposażenia korodują bardzo szybko. Wymienia się je więc, a przy takim zwiększonym zapotrzebowaniu powstają luki w bilansie. Są kłopoty z rzemieślnikami do robót wykończeniowych, ponieważ właśnie w wykonawstwie robót wykończeniowych technika uległa na martwym punkcie. Np. w robotach instalacji elektrycznej zatrudnia się całą armię ludzi wykonyjących brudną do przewodów elektrycznych, ponieważ nie uruchomiona została dotychczas produkcja różnych detali które pozwoliłyby na uproszczenie tych robót. Są braki, które w określonych warunkach nabierają dramatycznych wprost rozmiarów. Tak było w tym roku z zaworami do sieci wodociągowej i ciepłowniczej. Jesienią kiedy rozpoczął się prawdziwy szturm na budowach, zabrakło zaworów do instalacji wodociągowej i ciepłowniczych, a producent deklarował ich dostawę dopiero po roku 1980.

O tym, że jest za mało materiałów do wykańczania mieszkań decydują

nie tylko luki w podażu. Jednocześnie bowiem gołym okiem dostrzec można rażące przejawy ich marnotrawienia. Marnotrawimy deficytowe często surowce, produkując materiały niskiej jakości, a niedbalstwo w wykonywaniu robót powoduje, że trzeba je wymienić jeśli nie w trakcie odbioru budynku, to w okresie gwarancyjnym. Rzadko zdarza się, aby materiał raz użyty można było w czasie tych poprawek odzyskać.

Tu dochodzimy do najbardziej drażliwego tematu jakim jest to wszystko co rozumie się dziś przez jakość wykonania produktu budowlanego. Wokół tak rozumianej jakości nagromadziło się tak wiele negatywnych doświadczeń i gorzkich opinii, że spisanie obserwacji społecznych na temat marnotrawstwa materiałów, braku dyscypliny, zwykłego partactwa, widocznego w nowych mieszkaniach zajęłoby całe tomy. Fakt, że odpowiedzialność za ten stan rzeczy ponosi nie tylko budownictwo nie ułatwia, a utrudnia rozwiązanie tego niezwykle poważnego problemu.

Były podejmowane bardzo szczegółowe badania przyczyn rozluźnienia dyscypliny jakościowej w budownictwie. Opracowany został również konkretny program przedsięwzięć zobowiązujący resorty pracujące na rzecz budownictwa do poprawy wyrobów, a wykonawców do przestrzegania obowiązujących norm technicznych robót. Trudno mówić o rezultatach tych przedsięwzięć skoro nawet w wytypowanych przez Międzyresortowe Biuro Budownictwa i PMB budynkach, które miały być jakościowym wzorcem, z trudem udaje się tylko w niektórych uzyskać jakość zgodną z założeniami norm technicznych.

Gdyby dziś każdego z winnych tej złej jakości zapytać dlaczego tak się dzieje, moglibyśmy zrobić swoisty rejestr przestępstw bez winy, świadomości zła, ale bezradności. W budownictwie nikt nie neguje, że prefabrykaty dostarczane na budowę, a produkowane w nowoczesnych zakładach wytwarzających mają wady. Wytwórnie nie mają jednak możliwości wymiany formy, ich należytą konserwację itp. Przemysł chemiczny ma kłopoty z surowcami i produkuje niskiej jakości kit szklarski, nie może uruchomić produkcji całego osprzętu do instalacji elektrotechnicznych itd. Przemysł stolarki budowlanej otrzymuje z przemysłu drzewnego tarcice nieodpowiedniej klasy, a przemysł drzewny ma trud-

ności z mocami wykonawczymi, transportem, suszarniami i nie może wywiązać się z ciążących na nim zobowiązań. Wykonawstwu brakuje potencjału zwłaszcza do robót wykończeniowych, ma kłopoty z zaopatrzeniem, nie staje mu więc czasu na czekanie się z robotami wykończeniowymi.

Marnotrawstwo materiałów, które topimy w złej jakości, ma jeszcze jeden dotkliwy skutek. O rzemieślnika budowlanego na rynku pracy jest coraz trudniej. Resort budownictwa wychodzi ze skóry, żeby wyszkolić ich jak najwięcej. Pod względem liczby szkoleń zajmuje już drugie miejsce po Ministerstwie Oświaty i Wychowania. Rzemieślników tych nigdy nie nadąży się szkolić, w sytuacji, w której siłami budownictwa trzeba wiele razy poprawiać to, co źle było zrobione na początku, a siłami spółdzielczych jednostek remontowych, to, co wyszło na jaw w okresie eksploatacji.

Ile to nas w sumie kosztuje? W budownictwie nie rejestruje się nawet wydatków na roboty poprawkowe. Wlicza się je po prostu do kosztów nowo budowanych kolejnych obiektów. Charakterystyczne jest przy tym, że wykonawcy łagodnie traktują również swoich niesolidnych dostawców. W roku 1978 łączna kwota kar, którą wpłacili dostawcy nie przekroczyła 40 mln zł. A jakby tak policzyć, ilu z nich należały się kary za jakość stolarki okiennej, papy, kitu szklarskiego itp.? Egzekwowanie jednak tej poprawnej, zgodnej z ustaleniami dla każdego wyrobu i materiału jakości okazuje się rzeczą najtrudniejszą. I to jest jeden z tych tematów, którym obecnie w ramach dyskusji poświęcić należałoby szczególną uwagę.

Inwestycje komplementarne

Programu budownictwa mieszkaniowego lat 1981—1985 nie da się zrealizować bez dalszych nakładów inwestycyjnych. Program ten wraz z całą jego infrastrukturą społeczną i techniczną wyodrębniony został w Wytycznych jako jeden z podstawowych celów, któremu służyć mają inwestycje nowo rozpoczynane po 1980 roku. Chodzi jednak o to, żeby te inwestycje służyły przede wszystkim dopasowaniu do siebie poszczególnych czynników produkcji. Nie chodzi dziś już tylko o dodawanie inwestycji. Na początku lat siedemdziesiątych, kiedy wszystkiego było za mało, ryzyko popełnienia błędów w przeznaczaniu nakładów było niewspółmiernie mniejsze. Dziś nie zmienić już nic w rachunku możliwości każda następna fabryka domów. Ale np. przeznaczanie tych środków na uruchomienie produkcji części zamiennych dla tych fabryk, wytwórni form pozwalających na bieżącą wymianę zużytych, owocować będzie uruchomieniem rezerwy istniejących w całej bazie prefabrykacji.

W Wytycznych zwraca się szczególną uwagę na wypunktowanie tych wszystkich branż i działów przemysłu, w których te nowe inwestycje służyć będą niezbędnemu przekształceniu technologicznemu, obniżającemu jego materiałochłonność i energochłonność. Tworzyć będą one materialną bazę przekształceń, które podjąć musi budownictwo, przez stopniowe eliminowanie tych rozwiązań konstrukcyjnych, które zastąpić można lekkimi materiałami. Za ilustrację może posłużyć tu wspomniany w Wytycznych przemysł izolacji cieplnej. Zapotrzebowanie budownictwa na ten materiał jest obecnie pokryte zaledwie w połowie. Izolacyjne parametry ścian uzyskuje się więc przez odpowiednie ich pogrubienie, a więc zwiększenie zużycia najbardziej energochłonnego w produkcji materiału budowlanego, jakim jest cement. Straty ciepła na skutek niedostatecznego izolowania ścian zewnętrznych dochodzą do 30 proc. Mieszkania są w rezultacie niedograne, mimo że dwukrotnie niejako ponieśliśmy na ten cel wydatki energetyczne.

Lata ubiegłe charakteryzują się szybkim zwiększaniem technicznego uzbrojenia pracy w budownictwie. W 1972 roku na 1000 robotników zatrudnionych w zjednoczeniach budownictwa ogólnego przypadało 44 podstawowych maszyn budowlanych. W roku 1978 liczba ta wzrosła do 88 sztuk. Zwiększyło się również tzw. energetyczne uzbrojenie wykonawców z 7,2 KM przypadających na 1 robotnika w 1972 roku do 12,1 KM obecnie. Ten zastrzyk mechanizacji wzmościł jednak siły wykonawstwa tylko w niektórych wycinkach procesu inwestycyjnego. Nadal niski jest stopień zmechanizowania robót inżynierskich i wykończeniowych, a więc w najsłabszych ogniwach wykonawstwa. Udział np. przedsiębiorstw komunalnych w ogólnym parku maszyn podstawowych budownictwa wynosi zaledwie 8,7 proc. Ale nie tylko na tym polegała dysproporcja w nasyceniu budownictwa techniką. Wewnątrz samego budownictwa, tam gdzie liczba maszyn podstawowych można by uznać za dostateczną, nie są one zestawione w ciągu pozwalającym na wykorzystanie ich optymalnych parametrów.

I tak niemiłosiernie byłoby wliczyć cały długi rejestr różnego typu ograniczeń które warunkują pełne

wykorzystanie tych możliwości, które w budownictwie mieszkaniowym już są. Nie da się usunąć tych ograniczeń bez znacznego wkładu inwestycyjnego, i przywrócenia normalnych warunków pracy w budownictwie. Można rozważyć raz jeszcze, co w nowo prowadzonym systemie ekonomiczno-finansowym należałoby udoskonalić, aby lepiej przystosować go do specyfiki wykonawstwa, ale zawarte w nim mechanizmy muszą zacząć funkcjonować.

Do roku 1985 dzieli nas jeszcze sześć lat. Im szybciej uporamujemy się z ograniczeniami tego budownictwa, tym wcześniej realnie będzie przekroczenie tego poziomu, który określony został na pierwszą połowę lat osiemdziesiątych w Wytycznych. Czas pili i to nie tylko ze względu na nieprzekładalność społecznych potrzeb mieszkaniowych.

Środek na efektywność

Za mieszkaniami stoją dziś bowiem nie tylko niecierpliwie oczekujące na rozwiązanie społeczne potrzeby. Drugą przesłanką która określa wagę mieszkaniowego problemu jest to wszystko, co stanowi sprzężenie między postępem mieszkaniowym, a poprawą efektywności gospodarki. Ile sprzężenia dały o sobie znać w ostatnim dziesięcioleciu wyraźnie i stanowiący jeden z hamulców wykorzystania nowoczesnego majątku trwałego. Nawet jeśli uwzględnić trudności surowcowe i energetyczne, które określały w ostatnim okresie możliwości produkcyjne, pogarszający się wskaźnik zmianowości pracy w przemyśle, który spada z 1,50 w roku 1970 do 1,41 w roku 1978 wiążąc trzeba z sytuacją mieszkaniową.

W latach osiemdziesiątych sprzężenie to zyskują dodatkowy wymiar. Przed nami lata, w których przyrost zasobów pracy gwałtownie czyni. Stawka na efektywnościowe czynniki wzrostu wyciąga na światło dzienne kwestię ich racjonalnego wykorzystania. Znalazło to swój wyraz w Wytycznych, gdzie podkreśla się także znaczenie jakie miał będzie w przyszłym pięcioleciu optymalne rozmieszczenie i wykorzystanie zasobów pracy w skali gospodarki, poszczególne gałęzi i przedsiębiorstwa oraz jednostek terytorialnych. Poprawa sytuacji mieszkaniowej jest warunkiem wykorzystania tych zasobów, którymi dysponujemy, skierowania nagromadzonego potencjału, kwalifikacji, sił i możliwości intelektualnych tam, gdzie są one najbardziej potrzebne i mogą być najlepiej wykorzystane.

Można rozważać oddzielnie społeczne i produkcyjne funkcje mieszkania. W praktyce jednak są to funkcje nierozdzielne.

W warunkach ogromnej społecznej presji potrzeb, kiedy mieszkanie jest najtrudniej dostępnym dobrem, wszelkie próby stworzenia administracyjnych mechanizmów, które ograniczyłyby straty jakie ponosi gospodarka z powodu niedostatku mieszkań dają tylko połowiczne rezultaty. Wiadomo np., że nowo budowany zakład nie będzie miał trudności z skierowaniem załogi, jeśli wraz z inwestycją produkcyjną zbuduje nowe osiedle mieszkaniowe. Mieszkania działają jak magnes i przyciągają bardzo szybko ludzi z różnych stron Polski. Tylko, że są to najczęściej ludzie, których od podstaw uczyć trzeba zawodu.

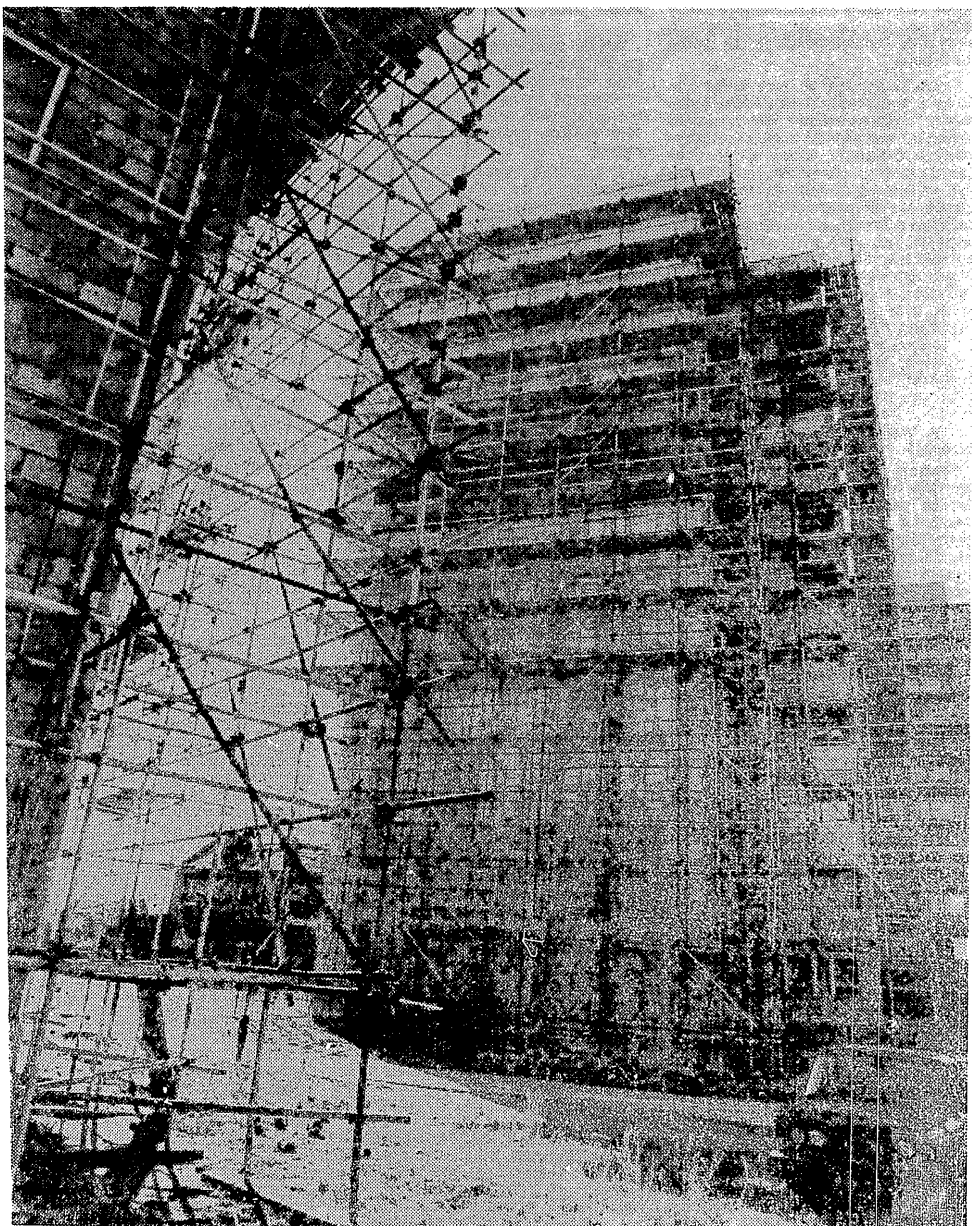
Bo kto dziś odważy się ruszyć z miejsca, w którym ma mieszkanie, nawet jeśli gdzieś indziej czeka bardziej opłacalna, zgodna z kwalifikacjami i dająca większą satysfakcję praca. Ruchliwość społeczną rejestrowaną w statystykach migracyjnych stymulują przede wszystkim indywidualne rachuby na szybszą poprawę statusu mieszkaniowego, a nie możliwości wykorzystania kwalifikacji.

Tak więc mieszkaniowy postęp mieści się w liczbach wzrostu wydobycia węgla, zdyskontowania wysiłków włożonych w rozbudowę bazy szpitalnej, terminowym włączeniem do sieci nowych elektrowni czy zorganizowaniem dwuzmianowej pracy w jakimś zakładzie. Zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych jest m. in. warunkiem postępu w naważnym punkcie naszej gospodarki, jakim jest rolnictwo. Przesunięcie punktu ciężkości w polityce inwestycyjnej na inwestycje kontynuowane i takie, które można zrealizować w krótkich cyklach wymaga sprawnego zorganizowania obsady wszystkich stanowisk, a to w większości przypadków oznacza wcześniejsze przygotowanie mieszkaniowego zaplecza.

Te zależności, choć oczywiste, nie są dostatecznie przebadane i udukułmentowane w skali ogólnej. W przedmiotowej dyskusji nad programem na lata osiemdziesiąte nie można jednak ich pomijać. Będzie to wówczas dyskusja o mieszkaniach traktowanych nie tylko jako program socjalny, na który trzeba dawać, ale jako program który również daje, jest środkiem do zrealizowania założonych celów.

TERESA GÖRNICKA

^{*)} Stanisław Chelstowski: Inwestycje i efektywność, Życie Gospodarcze nr 45 z 11 listopada 1979 r.



Fot. S. ZUBCZEWSKI

W 1978 roku zakończył się jeden z ważnych etapów reformy zakładowej działalności socjalnej, zapoczątkowanej 1 stycznia 1974 r.¹⁾ Wszystkie zakłady nie posiadające uprzednio środków na prowadzenie działalności socjalnej doszły stopniowo do docelowego dwuprocentowego w stosunku do funduszu plac odpisu na zakładowy fundusz socjalny.

Przypomnijmy: reforma miała za zadanie uporządkowanie gospodarki w dziedzinie działalności socjalnej, przede wszystkim zakładała tworzenie funduszu we wszystkich zakładach pracy; stopniowe likwidowanie narosłych od lat dysproporcji w poziomie uzyskiwanych przez zakłady środków na cele socjalne; scalenie ich oraz ustabilizowanie, a tym samym stworzenie warunków zachęcających do poprawy gospodarności w tej dziedzinie.

Funduszowi socjalnemu nadano charakter jednolity. W zakładach, w których odpis na fundusz socjalny przekraczał 2 proc. funduszu plac utrzymano go na dotychczasowym poziomie kwotowym, natomiast w zakładach o odpisach niższych niż 2 proc. co roku zwiększano stopę odpisu aż do osiągnięcia 2 proc.

Stały dopływ środków

Analizując zasady tworzenia i podziału zakładowego funduszu socjalnego możemy stwierdzić, że są one pewną „krzywką” podziału według pracy²⁾ podziału dezyderatywnego.³⁾ Zasada podziału według pracy przejawia się w tym, że wysokość funduszu uzależniona jest od wysokości funduszu plac w przedsiębiorstwie i od efektów pracy wszystkich pracowników. Natomiast zasada podziału dezyderatywnego występuje przy podziale tego funduszu w zakładzie, którego kryteria należą do podziału według potrzeb poszczególnych pracowników i ich rodzin, a nie na podstawie ich indywidualnego wkładu pracy lub innych kryteriów np. przynależności do określonych organizacji czy stanowiska w hierarchii służbowej.

Warto zastanowić się, czy przyjęcie takich zasad tworzenia i podziału funduszu socjalnego jest trafne, czy jest zgodne z celami polityki socjalnej, którym fundusz ten ma służyć?

Niewątpliwie bardzo korzystne jest to, że funduszowi socjalnemu nadano charakter powszechny, że jest tworzony we wszystkich zakładach pracy i instytucjach. Również uzależnienie rozmiarów funduszu socjalnego od wysokości funduszu plac w przedsiębiorstwie posiada niezaprzeczalne zalety. Jest to rozwiązanie proste, znacząco zainteresowanie funduszem socjalnym ze strony pracowników, umożliwia stały dopływ środków na działalność socjalną, stanowi bodziec do racjonalnej gospodarki tymi funduszami oraz zwiększa odpowiedzialność zakładu pracy za działalność socjalną.

Z drugiej strony jednak uzależnienie wysokości funduszu socjalnego od funduszu plac nie ułatwia osiągnięcia celu, któremu miała służyć reforma funduszu socjalnego — nie zmniejsza w sposób zasadniczy dysproporcji w poziomie środków na cele socjalne między poszczególnymi przedsiębiorstwami, czy branżami. Przedsiębiorstwa o wyższym poziomie plac, w branżach silniejszych ekonomicznie, zwłaszcza w przemyśle ciężkim, maszynowym, górniczym są nadal uprzywilejowane także i w środkach na cele socjalne. Natomiast w przemyśle lekkim i handlu a więc w przedsiębiorstwach, które zatrudniają duży odsetek kobiet (poziom plac kobiet jest zazwyczaj niższy niż poziom plac mężczyzn), co pociąga za sobą o wiele wyższe zapotrzebowanie na usługi socjalne, zwłaszcza w zakresie opieki nad dzieckiem, nadal będą dyspo-

DZIELONY WEDŁUG POTRZEB?

KRZYSZTOF MARKOWSKI

(artykuł dyskusyjny)



Lider za 12 milionów?...

Fot. CAF

nowały o wiele niższym funduszem socjalnym.

W niektórych zakładach pracy — dodajmy — potrzeby socjalne pracowników zwiększają się jeszcze o potrzeby emerytów utrzymujących kontakt z macierzystym zakładem pracy. Tymczasem odpis na fundusz socjalny obliczany jest tylko w stosunku do funduszu plac aktualnie pracujących. Pewne branżowe zróżnicowanie funduszu socjalnego jest obiektywnie uzasadnione. Wydaje się jednak, że nie tylko przy podziale, ale i przy tworzeniu tego funduszu, powinno być uwzględnione kryterium szeroko rozumianych potrzeb poszczególnych grup pracowników, przedsiębiorstw czy branż.

W związku z tym słuszną wydaje się propozycja zróżnicowania stopy odpisu na fundusz socjalny w zależności od szeroko rozumianych potrzeb w zakresie usług socjalnych. W zakładzie pracy, w którym ze względu na strukturę zatrudnienia, charakter produkcji lub inne czynniki potrzeby w zakresie usług socjalnych są duże, a odpis w wysokości 2 proc. funduszu plac nie pozwoliłby na ich zaspokojenie, celowe byłoby zwiększenie w przyszłości stopy odpisu. Innym rozwiązaniem, które już w 1976 r. zaproponował na łamach „Życia Gospodarczego”⁴⁾ kierownik Wydziału Socjalnego CRZZ Dobrosław Zuk, mogłoby być

utworzenie np. specjalnego funduszu wyrównawczego w gestii jednocześnie.

Zróżnicowanie nie maleje

W 1978 roku roczny odpis na fundusz socjalny z funduszu plac wynosił w przedsiębiorstwach państwowych 9,4 mld zł, to znaczy, że w porównaniu z 1974 rokiem wzrósł o około 30 proc. Jednakże udział odpisu z funduszu plac w zwiększeniu środków zmalał z 62,6 proc. w 1974 r. do 55 proc. w 1978 r. Zwiększyła się natomiast rola innych składników tworzących fundusz socjalny zwłaszcza odpłatności jednostek organizacyjnych za usługi świadczone przez bazę socjalną zakładów pracy np. kursokonferencje, szkolenia itp. oraz dotacje związków zawodowych. Można powiedzieć, że w latach 1975, 1976 i 1977 przyrosty funduszu były niższe od wzrostu wydatków, dopiero w 1978 roku sytuacja poprawiła się nieco. Do problemu ujemnego salda funduszy socjalnych jeszcze wrócę.

Obecnie przyrzucają się dopłatami przedsiębiorstw państwowych z funduszu socjalnego do poszczególnych rodzajów działalności socjalnej. Dopłaty te wynosiły w 1978 roku około 12,4 mld zł. W porównaniu z 1975 rokiem nastąpił dość znaczny wzrost dopłat o około 24,2 proc.

(1974 r. — 9,97 mld zł). Dopłaty te stanowiły w 1978 r. około 82,9 proc. kosztów, odpłatność ludności wynosiła 17,1 proc. kosztów działalności socjalnej, wzrosła więc ona nieznacznie w porównaniu z 1977 i 1976 rokiem.

Większość dopłat (aż 77,8 proc. w 1978 r.) przeznaczona jest na dofinansowanie wypoczynku — wszelkiego rodzaju wczasów wypoczynkowych, świątecznych, turystyki. Udział pozostałych grup działalności w dopłatach do kosztów usług socjalnych jest niewielki i wynosił w 1978 roku np. dla działalności kulturalnej 6,1 proc. a sportowej — 4,5 proc.

Wydaje się, że nasilająca się w ostatnich latach tendencja koncentrowania działalności socjalnej głównie na organizowaniu różnych form wypoczynku nie jest korzystna. Może ona doprowadzić do zaniedbywania innych dziedzin działalności socjalnej, do niedostrzeżenia innych potrzeb socjalnych załóg, przez służby socjalne zakładów pracy.

Globalne dane pozwalają na analizę rozmiarów funduszu socjalnego oraz głównych kierunków wydatków. Niezbędne wydaje się jeszcze zbadanie jak kształtuje się fundusz socjalny w poszczególnych resortach czy branżach, a nawet w konkretnych przedsiębiorstwach. Niestety,

disponuje wyłącznie danymi licbowymi z 1975 r. W ostatnich latach, jak można sądzić, różnice między branżami zmniejszyły się nieco, ale nie zmieniło to chyba w sposób zasadniczy zarysowanych proporcji. Przeciętnie w przedsiębiorstwach na 1 zatrudnionego dopłaty do działalności socjalnej wynosiły 920,4 zł (1975 r.) co stanowiło 2,15 proc. przeciętnej płacy. Najwyższe dopłaty były w resortach: górnictwa i energetyki — 1579,2 zł (stanowiło to 2,4 proc. przeciętnej płacy w tym resortcie), przemysłu chemicznego — 1551,6 zł oraz przemysłu ciężkiego — 1381,2 zł. Najniższe natomiast dopłaty były w resortach rolnictwa — 293,8 zł rocznie na 1 zatrudnionego, handlu wewnętrznego i usług — 529,2 zł i w gospodarce terenowej i ochrony środowiska 627,6 zł.

Również wielkość socjalnej bazy zakładowej była bardzo zróżnicowana. Można ją przedstawić za pomocą wielkości amortyzacji środków trwałych zakładowej działalności socjalnej przypadającej na 1 zatrudnionego. Najwyższą amortyzację występuje w tych samych resortach, w których były najwyższe dopłaty na 1 zatrudnionego. I tak w resortach przemysłu chemicznego wynosiła 103,3 zł na 1 zatrudnionego, w resortach górnictwa i energetyki 95,5 zł i w resortach przemysłu ciężkiego 93,9 zł. Najniższą natomiast wartość amortyzacji przypadła w resortach o najniższych dopłatach na 1 zatrudnionego do zakładowej działalności socjalnej. I tak np. w resortach rolnictwa wynosiła 10,7 zł, w resortach handlu wewnętrznego i usług 13,6 zł i w resortach gospodarki terenowej i ochrony środowiska 23,1 zł.

Jak wynika z przedstawionych danych, dysproporcje, zarówno w dopłatach do zakładowej działalności socjalnej, jak i w bazie materialnej usług socjalnych na 1 zatrudnionego, są nadal dość duże. Utrzymują się jeszcze preferencje, jakie w latach sześćdziesiątych miał przemysł ciężki i sfera produkcji materialnej. Preferencje te mają historyczne, polityczne, ekonomiczne i społeczne uwarunkowanie, jednakże dyskusyjnie jest to, czy należy je aż w tak dużej skali w dalszym ciągu utrzymywać.

Spore zastrzeżenia dotyczące zróżnicowania wysokości środków funduszu socjalnego w poszczególnych przedsiębiorstwach czy branżach potwierdzają także nowe badania. Jednym z nich było badanie przeprowadzone przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych w 1977 roku w 15 zakładach pracy.⁵⁾ Jak wynika z tych badań zakłady pracy posiadające największe potrzeby socjalne dysponują najmniejszymi środkami na ich zaspokojenie.

Najmniej korzystnie pod względem zakładowej działalności socjalnej przedstawia się sytuacja w przedsiębiorstwach resortów rolnictwa i handlu. Wiąże się to między innymi z dużym terytorialnym rozproszeniem przedsiębiorstw w tych resortach, jak również z mniejszymi środkami na tę działalność.

Ujemne saldo

W ostatnich latach pojawiły się nowe problemy w gospodarowaniu funduszem socjalnym. W ciągu ostatnich 4-5 lat koszty usług socjalnych wzrosły od kilkunastu do kilkudziesięciu procent. Spowodowane to było wzrostem kosztów transportu, remontów, opłat komunalnych, plac, wzrostem cen skieroowań na wczas kupowane od terenowych przedsiębiorstw turystycznych czy od FWP. Okazało się, że występują trudności z utrzymaniem dotychczasowej skali zakładowej działalności socjalnej.

Problem ten szczególnie ostro wystąpił w zakładach, które mają rozbudowaną infrastrukturę socjalną

(sądowni wczasowe, domy kultury, obiekty sportowe), a zarazem mają zablokowany od roku 1974 kwotowy odpis na fundusz socjalny. Wyrazem tych trudności może być ujemne saldo funduszu socjalnego. W resortach górnictwa ujemne saldo funduszu socjalnego wynosiło 150 mln zł, a w przemyśle lekkim ujemne saldo wzrosło z 23,5 mln w 1976 r. do 40 mln w 1977 r.⁶⁾

Przyczyną trudności bywa także finansowanie z funduszu socjalnego działalności nie mającej charakteru socjalnego. Na przykład dyskusyjne jest finansowanie z tego funduszu remontów obiektów socjalnych, inwestycji na rzecz ubocznego gospodarki rolnej, utrzymywanie klubów sportowych, często o charakterze sportu wyczynowego, a nie masowego (np. kopalnia „Szombierki” utrzymuje klub 1-ligowy i na 9 mln zł odpisu na fundusz saldo ujemne wynosi 12 mln zł), finansowanie domów kultury, pensji pracowników zatrudnionych w obiektach socjalnych. Czy faktycznie wszystko to powinno być finansowane z funduszu socjalnego? Czy z funduszu socjalnego trzeba kupować sztandary, kwiaty, finansować uboczną produkcję rolną? Chyba nie.

Na obecne trudności miały także wpływ czynniki subiektywne. Zaliczyć można do nich niefrasobliwość w gospodarowaniu funduszem socjalnym na szczeblu zakładu, nadmierne rozszerzenie działalności socjalnej, zwłaszcza w organizacji różnych form wczasów. Nie widząc danych służb socjalnych do obniżki kosztów działalności socjalnej. Trudno też dostarczyć poprawę efektywności gospodarowania funduszem specjalnym.

Powstało pytanie: jak usprawnić gospodarowanie funduszem socjalnym, co zrobić, żeby spełniał on swoje podstawowe zadanie zaspokojenia najistotniejszych potrzeb załóg? Czy jest tu potrzebna nowa reforma, czy też wystarczy doskonalić istniejące zasady?

Wydaje się, że istnieje konieczność dokonania korekty zasad naliczania funduszu socjalnego. Obecny system ustalania wysokości tego funduszu nie uwzględnia zarówno potrzeb poszczególnych załóg, jak i kosztów prowadzenia działalności socjalnej. Potrzeby na usługi socjalne kształtują się m. in. w zależności od struktury załogi według płci, wieku, miejsca zamieszkania czy charakteru pracy.

Dostrzegając wszystkie zalety powiązania wysokości funduszu socjalnego z funduszem plac trzeba jednak widzieć, zwłaszcza w dłuższej perspektywie, że takie rozwiązanie nie pokrywa się w pełni, z celami stawianymi przed działalnością socjalną, która powinna zmierzać do zmniejszenia dysproporcji w warunkach bytu ludności. W związku z tym celowe byłoby rozważenie powiązania wysokości funduszu z potrzebami poszczególnych grup pracowników, stworzenia wzorca minimum socjalnego w sferze działalności socjalnej oraz waloryzacji środków w miarę wzrostu kosztów prowadzenia działalności socjalnej. Postulat ten należy traktować jako długofalową wytyczną, która byłaby realizowana stopniowo w miarę powstawania odpowiednich warunków ekonomicznych, związanych ze wzrostem dochodu narodowego i poprawą efektywności gospodarowania.

- 1) Dziennik Ustaw nr 27/1973, poz. 150.
- 2) Zob. M. Pohorille: „Podział dezyderatywny a egalitaryzm”, „Ekonomista” nr 5/1978, s. 1093.
- 3) „Życie Gospodarcze” z 28.III.1976 r.
- 4) Zob. Krystyna Krupa: „Głównym celem zabiegów społecznych zmniejszenia dysproporcji”, „Przegląd Związkowy” nr 10/1978.
- 5) Zob. „Zakładowy fundusz socjalny” — dyskusja — „Polityka Społeczna” nr 8/1978, s. 3.

aktualności

SYTUACJA ENERGETYCZNA

Produkcja energii elektrycznej w październiku br. była o 2,2 proc. wyższa niż w październiku ub. r. Wzrost ten nie zdołał jednak zaspokoić obecnych potrzeb gospodarki. Średnie zapotrzebowanie mocy energetycznej w szczyte wieczornym było o ponad 5 proc. wyższe niż w październiku ub. r., co sprawiło, że średnie ograniczenie dostaw energii do odbiorców przekraczało 1,1 tys. MW i było ponad 2-krotnie wyższe niż w ub. r.

O przedstawionej skali ograniczeń w dostawach energii elektrycznej decydowała nadal zwiększona awaryjność urządzeń i związane z tym ponadplanowe remonty, nie wszędzie realizowane w maksymalnie możliwym tempie. (Sb)

PRZEWOZY ŁADUNKÓW

Przewozy ładunków w październiku br. w porównaniu z październikiem ub. r. przez Polskie Koleje Państwowe wzrosły o 3,8 proc., a przez transport samochodowy o 9,8 proc. Nadal jednak w skali 10 miesięcy br. przewozy ładunków transportem publicznym i branżowym w porównaniu z okresem 10 miesięcy ub. r. są jeszcze o 0,5 proc. niższe niż przed rokiem, w tym transportem kolejowym o 3 proc. niższe, a transportem samochodowym wyższe o 0,8 proc.

Transport powoli nadrabia opóźnienia powstałe na początku roku. Pełna realizacja zadań rocznych wymagałaby jednak zwiększenia wielkości przewozów o ok. 4 proc. powyżej poziomu z ub. r. Nadal więc

notowane są opóźnienia w realizacji planu przewozów. Odnosi się to zwłaszcza do przewozów węgla. Ze znaczną nadwyżką wykonano natomiast plany przewozu ziemiaków. Ważnym osiągnięciem w październiku br. jest spore zmniejszenie — o 14 proc. — liczby wagonów przetrzymywanych ponad czas wolny od opłaty osiowego. (Sb)

SPRZEDAŻ DETALICZNA

Tempo wzrostu sprzedaży detalicznej towarów w październiku br. wyniosło ok. 12 proc. Oznacza to, że nastąpiło przyspieszenie tempa wzrostu tej sprzedaży. Łącznie w okresie 10 miesięcy br. wynosi ono bowiem 8 proc. O przyspieszeniu tempa wzrostu sprzedaży w październiku decydowało przyspieszenie wzrostu sprzedaży towarów nieżywnościowych o ponad 13 proc. (w porównaniu z październikiem ub. r. o 7 proc. w ciągu 10 miesięcy br. w porównaniu z analogicznym okresem ub. r. Październikowe tempo wzrostu sprzedaży żywności i napojów alkoholowych (10 proc.) było niższe od tempa wzrostu sprzedaży artykułów nieżywnościowych, ale wyższe niż w okresie 10 miesięcy.

Decydującą rolę w październikowym przyspieszeniu sprzedaży artykułów nieżywnościowych odegrał wzrost sprzedaży w sklepach Centrali Państwowego Handlu Wewnętrznego (o ok. 20 proc.) (Sb)

PRZEMYSŁ W PAŹDZIERNIKU

Październik przyniósł poprawę dynamiki produkcji sprzedanej prze-

mysłu w porównaniu z poprzednimi miesiącami. Produkcja ta była o ponad 8 proc. wyższa niż w październiku ub. r., a w przeliczeniu na porównywalny czas pracy o ponad 5 proc. wyższa. Przy ogólnym wzroście sprzedaży w granicach 8 proc. sprzedaż na zaopatrzenie rynku wzrosła w październiku o ok. 10 proc., a na cele eksportowe o ponad 20 proc.

Podane wyniki produkcji w październiku br. osiągnięte przy niższym niż w ub. r. poziomie zatrudnienia (o 0,6 proc.). Wysokie jest jednak opłacenie przyszu produkcyj. Fundusz plac w październiku br. jest bowiem o 10,8 proc. wyższy niż w październiku ub. r., a przeciętna płaca miesięczna netto wykazuje wzrost w granicach 11,5 proc.

Osiągnięte w październiku przyspieszenie tempa wzrostu produkcji sprzedanej pozwoliło na przyspieszenie jej tempa z 2,1 proc. w skali 9 miesięcy br. do 2,7 proc. w skali 10 miesięcy. (Sb)

BUDOWNICTWO W PAŹDZIERNIKU

Produkcja podstawowa przedsiębiorstw budowlano-montażowych w październiku br. utrzymała się na poziomie z października ub. r., a w porównalnym czasie pracy spadła o ok. 4 proc. W konsekwencji zaawansowanie planu rocznego produkcji podstawowej w okresie 10 miesięcy br. wynosi ok. 80 proc., podczas gdy w ub. r. wykonano w tym czasie 84 proc. produkcji rocznej. Mało jest więc prawdopodobne, aby plan robót budowlano-montażowych został w pełni wykonany. Fakt ten części-

wo tylko można przypisać zakłóceniom spowodowanym trudnymi warunkami atmosferycznymi na początku roku. Słaba realizacja planu robót w znacznej mierze związana jest również z zakłóceniami w dostawach energii elektrycznej oraz niedomaganiami w organizacji pracy. Te ostatnie w okresie 10 miesięcy br. znajdują m.in. wyraz w znacznym wzroście przeciętnej płacy (o 6,8 proc.) i funduszu plac (o 5,1 proc.) przy spadku produkcji globalnej o 3,8 proc. i podstawowej o 6 proc. (Sb)

ZATRUDNIENIE

Przegląd stanu zatrudnienia w jednostkach gospodarki społecznej w okresie 10 miesięcy br. wskazuje, że przy utrzymaniu ogólnego jego poziomu w granicach osiągniętych w analogicznym okresie w ub. r., wydatniejszy spadek zatrudnienia zanotowano w przemyśle (o 21 tys. osób, tj. o 0,4 proc.) oraz w budownictwie (o 17 tys. osób, tj. o 1,3 proc.) i w handlu (o 7 tys. osób, tj. o 0,6 proc.). Wydatniejszy wzrost zatrudnienia mają natomiast miejsce w gospodarce komunalnej i mieszkaniowej (o ponad 11 tys. osób, tj. o 6,4 proc.), w dziale oświaty i wychowania (o 11,5 tys. osób, tj. o 1,6 proc.) oraz w dziale ochrona zdrowia i opieka społeczna (o 20 tys. osób, tj. o 3,6 proc.). Są to zarazem główne działy gospodarki, w których notowane są większe przekroczenia planów wzrostu zatrudnienia na br. (Sb)

PRZESTOJE SAMOCHODÓW

Z ogólnej liczby pojazdów samochodowych znajdujących się w pa-

dzieniku br. w dyspozycji przedsiębiorstw transportu samochodowego średnio dziennie pracowało ok. 67 proc. wobec 65 proc. w październiku ub. r. Wskutek przestoju z przyczyn technicznych nie pracowało ok. 24 proc. samochodów.

W ogólnej liczbie pojazdów samochodowych nie eksploatowanych w październiku br. z przyczyn technicznych, ok. 23 proc. pojazdów miało przestoje z powodu braku części zamiennej lub z przyczyn innych, ok. 7 proc. z powodu braku ogumienia. Oznacza to, że usprawnienie remontów samochodów nawet przy aktualnym stanie zaopatrzenia stanowiłoby istotną rezerwę wzrostu przewozów, bo ok. 70 proc. nieeksploatowanych pojazdów ma przestoje ze względu na aktualnie przeprowadzane przeglądy i naprawy lub ze względu na oczekiwanie na naprawę. (Sb)

CZĘŚCI ZAMIENNE

Sprzedaż części zamiennych w okresie 10 miesięcy br. była o 11,3 proc. wyższa niż w analogicznym okresie ub. r. Stosunkowo niskie jest jednak zaawansowanie planu dostaw części do maszyn włókienniczych oraz maszyn i urządzeń do robót budowlanych, drogowych i melioracyjnych. Nadal występują też znaczne braki asortymentowe części nawet, do tych maszyn, do których dostawy części ogółem znacznie wzrosły.

Obecnie istotne jest więc, aby odbiorcy ograniczyli swoje zapotrzebowanie na części, których mają odpowiednio zapasy, by nie stwarzać warunków do nadmiernej produkcji

tych części, których produkcja jest dla zakładów wytwórczych dogodniejsza. (Sb)

KONTRAKTACJA PRODUKCJI ROŚLINNEJ

Do końca października br. zakontraktowano ok. 94 proc. planowanego arealu upraw 4 zbóż, ok. 93 proc. planowanego arealu upraw rzepaku i rzepiku oraz 54 proc. arealu upraw buraków. Są to wyniki lepsze od osiągniętych w odniesieniu do wszystkich wymienionych upraw do końca października ub. r.

Wzmocnionej uwagi ze strony gminnej służby rolnej wymaga jednak kontraktacja buraków cukrowych, której zaawansowanie, chociaż znacznie lepsze niż w ub. r., jest jednak stosunkowo niskie. Gleby pod uprawę buraków cukrowych powinny być natomiast przygotowywane już w br. (Sb)

SKUP OWIEC

Skup owiec w październiku br. był o ok. 45 proc. wyższy niż w analogicznym okresie ub. r., a łącznie w okresie 10 miesięcy br. przewyższył poziom z ub. r. o ok. 19 proc.

Wysoki październikowy wzrost skupu owiec wskazuje na potrzebę podjęcia odpowiednich badań tego zjawiska przez służby rolne na terenach, gdzie te wzrosty skupu są szczególnie wysokie. Istotne jest bowiem ustalenie, czy nie wystąpiły tendencje do nadmiernej selekcji pogłowia owiec, dyktowane zamiarami jego ograniczenia. (Sb)

w interesie konsumenta

WYGODNA „ALBA”

Golebie opaskowały jedną moją znajomą staruszkę futro, kryte z zewnątrz popieliną. Jak to wypruć? Zawiozłem tę panią ciężką jej okrycie do punktu usługowego spółdzielni „Alba” vis à vis „Supersam” w Warszawie.

Przyjmująca zlecenia pani orzekła, że trzeba odpruć futro od pokrycia, bo samo futro jest liche, rozlaź się w rękach i prania nie wytrzyma. A w ogóle to gołębie guano bardzo trudno jest wywabić. Będzie to wszystko siono kosztować. A na poczekaniu to wywabić „Alba” nie ma zwyczajnie niczego. Na tych medytacjach zeszło 15 minut, oczywiście bardzo grzecznie — cóż, za to nieskutecznie.

Wzięłem zmartwioną staruszkę do samochodu i jedziemy do prywatnego zakładziku „Opus” na rogu Hożej i Poznańskiej. Szef firmy ogląda plamy — mimo że kolejka była długa — i wysysa mnie po pół litra... octu. Miesza ocet z wodą (stosunek 1:20) i szczerząca zmywa zapakowanie. Trwa to cztery (!) minuty. Pieniądzy nie chce...

Komentarz zbyteczny.

PYSZNY „DOMINIK”

Niektóre zakłady stosując własne normy i receptury knocą na potęgę artykuły spożywcze. Marnują surowce, nie zaspokajając przy tym potrzeb rynku, nie mówiąc już o usatysfakcjonowaniu konsumentów.

Zakłady Wytwórcze „Społem” we Wrocławiu udawadniają, że może być inaczej. Produkowana przez te firmy czekoladka nazywana (50 g — 9,50 zł) o nazwie „Dominik” wykonana jest według normy zakładowej (ZN-79/CZSS-917), a mimo to jest doskonała w smaku i trwała. Nic dziwnego, że poszukiwana jest nie tylko przez młodzież. Chwalimy za to „Społem”!

MEDALOWE WYROBY

Część wyrobów nagrodzonych medalami w Konkursie „Dobre i Ładne — Poszukiwane” wymieniam w poprzednich numerach „Z.G.”. A oto następni producenci (złoci medalisci), których wyroby warte są polecenia:

— Zakłady Sprzętu Oświetleniowego „Polam” w Pile — osiem typów opraw z kloszami z tworzywa: 12-Z-700; 12-B-700; 12-P-700;

— Fabryka Nakryć Stołowych w Cieszyźnie — komplet noży na desce za 690 zł;

— Fabryka Naczyni Emaliowanych w Olskuszu — komplet turystyczny (11 szt.) w cenie 945 zł;

— Zakłady Porcelany Stołowej w Cielmowie — trzy wyroby z wzoru „Feston”: serwis obiadowy 6/45 w cenie 4000 zł; serwis obiadowy 12/45 w cenie 6000 zł oraz garnitur do białej kawy 6/9 w cenie 1150 zł;

— Chemiczna Spółdzielnia Pracy „Beteśca” w Białymstoku — dwunastoczęściowy komplet łazienkowy za 4000 zł;

— Zakłady Sprzętu Oświetleniowego „Polam” w Bielsku-Białej — zestaw opraw oświetleniowych 02-Z-016, 02-Z-015, 02-Z-009;

— Huta Szkła Gospodarczego w Tarnowie — kieliszki z serii TJ-207 do likieru, wódki, portu, koniaku, wina i szampana w cenie od 38 do 60 zł za 1 szt.;

— Fabryka Kosmetyków „Pollema-Uroda” w Warszawie — zestaw kosmetyków „Gala” w układzie: krem tłusty do cery suchej (42 zł), krem półtłusty do cery suchej (42 zł), tonik do cery suchej (40 zł), płyn do demakijażu oczu (30 zł), krem oczyszczający do cery suchej (24 zł);

— Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Bobo” w Pilawie Górnej — kombinizon niemowlęcy „0008” za 450 zł;

— Spółdzielnia Pracy przemysłu Skórzanego „Asko-Swit” w Gorzowie — siedem wzorów torebek damskich w cenie od 228 do 510 zł.

MANDAT — KOMU?

Całkiem słusznie MO prowadzi energicznie akcję sprawdzania stanu technicznego pojazdów. Jesień na karku, zaczyna być ślisko, warunki jazdy są coraz trudniejsze. Sympia się mandaty.

A tymczasem biedni kierowcy nie mogą dostać podstawowych, wręcz elementarnych części samochodowych. W niektórych autach nie pala się wszystkie lampy, bo nie można kupić żarówek (np. do świateł dużych, 6V, do „Trabanta”). Brakuje 8A bezpieczników, a tymczasem pełno jest w sprzedaży 16A. Nagminnie — do wszystkich prawie marek samochodów — brakuje świateł. Nie można kupić płynu hamulcowego.

Więc komu naprawdę należy się mandat?

A. N.-J.

Od 1946 r. obszar użytków rolnych w naszym kraju zmniejszył się o 1,4 mln hektarów. Szczególnie dużo zabrano rolnictwu w ostatnich latach w związku z intensywną działalnością inwestycyjną — rozbudową miast i osiedli, obiektów przemysłowych i dróg. Od 1970 r. do 1978 r. powierzchnia użytków rolnych zmniejszyła się o 484 tys. ha. Wyłączony został z rolniczego użytkowania obszar ziemi równy np. powierzchni użytków rolnych w całym woj. ciechanowskim.

GDYBY na takim obszarze zasiać na przykład zboże, mieliśmy, przy obecnym poziomie plonów (25—27 q/ha), dodatkowe zbiory wynoszące 1,2—1,3 mln ton rocznie. Jeśli nawet uwzględnimy zastrzeżenia co do poprawności takiego obliczenia, jest ono orientacyjne, to fakt pozostanie faktem: o taką przybliżoną wartość zmniejszyły się coroczne możliwości produkcyjne rolnictwa. Ponieważ ziemi rolniczej ubywa, a ludność zwiększa się, przypada już obecnie zaledwie 0,55 ha na jednego mieszkańca, czyli o jedną trzecią mniej niż trzydzieści kilka lat temu. Znaleźliśmy się w grupie krajów o małych zasobach ziemi uprawnej.

Wynikają z tego dwa ważne wnioski dla polityki gruntowej. Konieczne jest, jeśli chcemy pokrywać zapotrzebowanie na żywność, zwiększenie produktywności ziemi, co możemy osiągnąć tylko przez intensyfikację gospodarowania. Po drugie, w społecznym interesie leży większa troska o ziemię i chronienie jej, gdzie i gdy tylko to jest możliwe, przed zajmowaniem na inne, nierolnicze cele.

Oczywiście, nikt nie kwestionuje potrzeby rozbudowy miast i przemysłu. Jednak na ile dotychczasowe praktyki można postawić pytanie czy we wszystkich przypadkach, trzeba było przejmować aż tyle gruntów, zwłaszcza tych najlepszych. Czy nie można było celów inwestycyjnych osiągnąć mniejszym kosztem, oszczędniej gospodarując przestrzenią albo inaczej lokalizując budowę na gruntach mniej przydatnych dla produkcji rolnej?

Pytania te stają się tym bardziej istotne, że w ciągu bieżącego roku (1978/79) straciliśmy w rolnictwie znów 68 tysięcy hektarów. Przedtem przekazywano co roku średnio 32—40 tys. ha. Zwiększenie tempa przejmowania ziemi rolniczej musi budzić niepokój, gdyż maleją w ten sposób możliwości produkcji żywności. Ziemia raz pokryta betonem, nigdy już rodzić nie będzie.

Znaczenie ochrony użytków rolnych wynika nie tylko z oczywi-

ZA WSZELKĄ CENĘ CHRONIĆ

MARCIN MAKOWIECKI

stych względów produkcyjnych. Ziemia — przestrzeń produkcyjna — jest również środowiskiem życia i pracy człowieka. Dlatego też coraz większego znaczenia nabiera ochrona tych wartości, które tworzy środowisko rolnicze, a które tak łatwo i tak szybko mogą ulec degradacji w wyniku działalności przemysłu, a nawet samego rolnictwa. Jest to cena, którą świat (i Polska też) płaci za postęp cywilizacji i urbanizację życia. Chodzi jednak o to; aby zapłacić jak najmniej.

PROBLEMY te były już wielokrotnie poruszane. Mamy dużo przepisów, które miały przeciwdziałać nieracjonalnej ekspansji uprzemysłowienia i urbanizacji na tereny rolniczo najwartościowsze. Podstawowym aktem prawnym w tej dziedzinie jest ustawa z 1971 r. podejmująca problem ochrony gruntów rolnych i leśnych i ich rekultywacji. Stanowi ona, wraz z przepisami o ochronie wód i powietrza, zestaw środków prawnych chroniących tzw. przestrzeń produkcyjną.

Ustawa ta wprowadziła pojęcie tzw. regionów intensywnego rozwoju rolnictwa (większe rygory co do lokalizacji inwestycji szkodliwych dla środowiska) oraz bariery ekonomiczne (opłaty za zajęcie ziemi) i administracyjne (konieczność uzyskania zezwoleń na przejęcie gruntów rolnych). Po początkowym okresie wiary w skuteczność tych barier, szybko okazało się, że opłaty za ziemię nie są żadnym hamulcem, zwłaszcza w przypadku dużych inwestycji, podobnie jak uzyskanie zezwoleń administracyjnych. Administracja — wydająca zgodę na przejęcie ziemi — sama była inicjatorem licznych inwestycji, zwłaszcza po wprowadzeniu w życie nowego podziału administracyjnego i rozbudowy wielu miast.

Wobec naporu życia i bieżących potrzeb, ustawa okazała się za słabym instrumentem ochrony ziemi. Jej przepisy zostały wielokrotnie złamane. Dowodzi to krótkowzroczności przy podejmowaniu niejednej decyzji i braku poszanowania obowiązujących wszystkich prawa. W

przypadku wyborów, przed którymi stawały władze wojewódzkie — decydujące o przeznaczeniu ziemi — z reguły przegrywał interes rolnictwa. Znajdowały się doskonałe w formie i „nie do odrzucenia” argumenty za proponowanymi przez inwestorów lokalizacjami. W sumie więc rolnictwo nie tylko traciło ziemię (co było oczywiście nieuchronne), ale traciło ziemię najlepszą. Udział gruntów najwartościowszych w całości odbieranej rolnictwu ziemi wynosił co roku 25—30 proc. A tego, przynajmniej w części, należało uniknąć.

OD początku ubiegłego roku obowiązują bardziej zastrzeżone przepisy, które powinny — miejmy nadzieję — odwrócić bieg spraw. O przeznaczeniu pod zabudowę gruntów najlepszych i większych obszarów decydują obecnie Prezes Rady Ministrów i Minister Rolnictwa. Scentralizowanie tych decyzji — potrzebne i skuteczne — wykazało słabe strony, z punktu widzenia ochrony ziemi, w planowaniu przestrzennym. System planowania przestrzennego (i jego słaba w tej dziedzinie, synchronizacja z bieżącymi aktualnymi planami rozwoju gospodarczego) nie był w stanie zapewnić maksymalnej ochrony gruntów rolnych, szczególnie tych najbardziej cennych.

Rzecz wszakże nie tylko w przepisach. Były one i są łamane i obchodzone, zresztą... na mocy kompetencji odpowiednich organów administracji terenowej. Wynika z tego, że czynnikiem decydującym jest w praktyce poczucie społecznej odpowiedzialności tych, którzy występują z wnioskami o lokalizację inwestycji i bronią ich, w wielu przypadkach wbrew oczywistym interesom ogólnym. Za mało upowszechniona jest świadomość, w kręgach pracowników zajmujących się planowaniem i projektowaniem inwestycji, że ziemia jest naszym wspólnym dobrem i o jej ochronę troszczyć się muszą wszyscy (nie tylko rolnicy) w imię wspólnych interesów.

Obecnie, na mocy nowych zasad wprowadzono obowiązek weryfikacji wszystkich tych planów zago-

spodarowania przestrzennego, w których przewidziane było zajęcie pod zabudowę ziemi najlepszej (I—III klasa). Już w trakcie pierwszej weryfikacji, na szczęble wojewódzkim, zrezygnowano z zabrania 15 tys. hektarów gruntów najlepszych. Ale jest to tylko jedna czwarta tego co pierwotnie chcieli zabudować. Pozostaje więc reszta i w przypadku takich zamiarów inwestycyjnych wojewodowie muszą zwracać się o zgodę do władz centralnych. W trakcie opiniowania tych wniosków przez Ministerstwo Rolnictwa udało się dotychczas ochronić przed przeznaczeniem na cele nierolnicze 6 tys. ha najlepszej ziemi.

JAK to wygląda w praktyce? Oto jeden z wielu przykładów. W woj. nowosądeckim postanowiono wybudować fabrykę domów na gruntach II i III klasy w miejscowości Podęgrodzie w wioskach Dunajca i Popradu. Jest rzeczą jasną, że zarówno fabryka, jak i nieuchronna przy niej eksploatacja kruszywa z doliny obu rzek doprowadzi do szybkiego zniszczenia tamtejszej urodzajnej ziemi. Na szczęście, wskutek sugestii władz centralnych, znaleziono inne rozwiązanie. Fabryka domów będzie zlokalizowana na nieużytkach w obrębie miasta — i zaoszczędzi się kilkanaście hektarów najlepszych gruntów. Zrobiono również wiele innych „poprawek” w tym duchu w całym planie zagospodarowania Nowego Sącza.

Podobne problemy pojawiły się w planach zabudowy Nowego Targu. Wszyscy wiedzą jak szczególną wartość ma dobra ziemia na Podhalu. Być może nie docenili tego autorzy planu zagospodarowania miasta (choć m. in. o budowę dzielnicy przemysłowo-skladowej w Zaskalu) i teraz koncepcja ta będzie opracowywana jeszcze raz, z uwzględnieniem, jako ważnego kryterium, ochrony gruntów rolnych.

W obu tych przypadkach przyniosły skutek działania urzędowe. Jednak nie wszystko przebiega tak łatwo. Co powiedzieć o takim oto przykładzie?

W związku z koniecznością rozbudowy zagłębia węgla brunatnego w woj. konińskim, w miejscowości Lubstów zdecydowano, że trzeba ciągnąć ogromną zwałowarkę niszcząc po drodze, w pasie stumetrowej szerokości, chłopskie zasiewy — tuż przed żniwami. A potem inwestorzy postanowili zasypać ziemią sąsiadującą z kopalnią wieś. Dopiero po interwencjach udało się zapobiec dalszym szkodom znajdując na zwałowisko teren nieopodal, na wybranych torfowiskach.

Wszyscy wiedzą jak bardzo potrzebne są inwestycje energetyczne. Ale czy może to usprawiedliwiać doprowadzanie na kraj katastrofy całego otoczenia?

Przykłady takie dowodzą jak bardzo rozrzucone nieraz szafuje się ziemią rolniczą. I, pomijając przypadki zwykłych nadużyć władzy, dzieje się to także w sferze prac planistycznych i projektowych. Dlatego słuszny jest, wysuwany zwłaszcza przez rolnictwo, wniosek, aby dokonać analizy (z punktu widzenia ochrony gruntów rolnych) wytycznych do planu przestrzennego zagospodarowania kraju oraz planów rozwoju województw, zwłaszcza tych, w których przewiduje się znaczny rozwój miast otoczonych gruntami klas specjalnie chronionych. Analizując lokalizację przyszłych inwestycji, należałoby nieraz wrócić do początku — rozstrzygnąć czy zajmować dobre gleby, czy rozbudowywać inne miasta, gdzie nie ma takich ograniczeń.

JEDNOZNACZNIE w tej sprawie wypowiadają się „Wtyczki” na VIII Zjazd: „W poprzednich latach stworzone zostały ekonomiczne, prawne i organizacyjne warunki racjonalnej gospodarki ziemią. Będą one wzmacniane i doskonalone. Szczególna uwaga zostanie zwrócona na ochronę gruntów, zwłaszcza najcenniejszych. Trzeba podnosić jakość gleb, rozszerzać zakres komasacji gruntów i prac rekultywacyjnych. Należy konsekwentnie przestrzegać zasady ograniczania przekazywania gruntów ornych na cele nierolnicze”.

Chodzi o to, aby założenia te w pełni realizować. Nie wystarczą jednak nawet najdoskonalsze przepisy, jeśli nie będzie przełomu w dwóch decydujących o powodzeniu dziedzinach. Po pierwsze, jeśli nie nastąpi upowszechnienie przekonania o podstawowym znaczeniu szeroko pojętej ochrony ziemi w kręgach specjalistów — projektantów, urbanistów przygotowujących i podejmujących decyzje inwestycyjne. I po drugie, jeśli nie zostanie wzmocniona kontrola społeczna, nad tym komu, w jakim celu i w jakim trybie przekazuje się grunty rolne. Nie trzeba specjalnie wzywać do aktywności w tej dziedzinie. Społeczeństwo, zwłaszcza na wsi, jest bardzo wyczulone na przejawy złego gospodarowania albo niewłaściwego przeznaczenia ziemi. Świadczy o tym ilość listów na ten temat, które piszą ludzie ze wsi. Tę aktywność, w dobrej sprawie, powinniśmy umieć w pełni wykorzystać.

Fot. S. ZUBCZEWSKI

NIE ROLNICY W ROLNICZYCH SPÓŁDZIELNIACH

Negatywną stroną szybkiego wzrostu spółdzielni produkcyjnych (1970 r. — 247 tys. ha, 1978 r. — 576 tys. ha) jest fakt, że tylko 21,6 proc. ich gruntów pochodzi z wkładów członków (reszta głównie z PZF) oraz to, że członkami-zależnymi, jak wykazały badania IER, są w 75 proc. nie rolnicy. Zdobili oni sobie dominującą pozycję w zarządach spółdzielni. Ma to zapewne wpływ na to, że prawie 12 proc. członków i pracowników spółdzielni zajmuje się sprawami administracyjnymi. Uważa się też, że są oni motorem działań zmierzających do uzyskiwania wysokich dochodów przez rozwijanie pozarolniczych działań gospodarki RSP.

Sama produkcja rolna nie mogłaby być jednak wyłącznym źródłem tak wysokich dochodów jakie spółdzielnie obecnie uzyskują. Obciążone jest bowiem dużymi nakładami na robociznę i dużymi nakładami na eksploatację i amortyzację maszyn rolniczych, w które RSP są bez porównania lepiej wyposażone niż gospodarstwa chłopskie. Zatrudnienie zaś w produkcji rolnej (angazujące 55 proc. zasobów pracy RSP) wynosi 13,7 do 14,2 osoby w przeliczeniu na 100 ha użytków rolnych, czyli odpowiada zatrudnieniu w 10—13-hektarowych gospodarstwach chłopskich.

W produkcji roślinnej spółdzielnie preferują uprawy łatwiejsze do zmechanizowania, mniej pracochłonne — a tym samym mniej dochodowe. Produkcja zwierzęca zaś charakteryzuje się wysokimi wskaźnikami zużycia pasz i dużym w nich udziałem drogich pasz kurnych. W przeliczeniu na 1000 zł wartości produkcji końcowej gospodarki rolnej RSP, nakłady wynosiły 1210 zł w 1977 r. (1100 zł w 1971 r.).

W latach 1971—78 dochody rodzin spółdzielczych wzrosły ponad dwukrotnie. Dochód osobisty w rodzinach członków spółdzielni i ich stopa życiowa są, według obliczeń Tadeusza Maciołka, o 25 proc. wyższe niż w rodzinach indywidualnych rolników prowadzących rachunkowość rolną IER (których dochody są o około 25 proc. wyższe od dochodów przeciętnych gospodarstw indywidualnych).

P. K.

CENY I KOSZTY PRODUKCJI MIĘSA

Kilkakrotnie, na przestrzeni ostatnich lat, podwyżki cen skupu żywca, przy nieznacznym wzroście przeciętnej ceny zbytu wyrobów mięsnych (8,5 proc. w latach 1970—1977) doprowadziły do tego, że — w przeliczeniu na mięso — relacje cen skupu do cen detalicznych kształtują się jak 1:3,1:0 (w 1975 r. — 0,95:1, a w 1970 r. — 0,74:1). Obecnie relacje sprzyjają rozpowszechnieniu się na wsi rynkowych form zaopatrzenia w mięso.

Bezpośrednie dotacje państwa do produktów mięsnych wyniosły w 1978 r. około 24 zł/kg (w 1975 r. — 7,5 zł/kg).

Szybszy wzrost cen innych artykułów żywnościowych oraz towarów niekonsumpcyjnych i usług od cen produktów mięsnych sprawi, że stały się one relatywnie tańsze — choć zarazem trudniej dostępne na rynku. Ta względna obniżka poziomu cen mięsa w latach 1970—77 wyniosła w stosunku do cen innych produktów żywnościowych ponad 25 proc., a w stosunku do cen towarów nieżywnościowych ponad 30 proc.

Odwrotną stroną problemu niewłaściwego wpływu tych relacji na decyzje rynkowe konsumentów jest fakt, że wydatki na mięso pochłaniają i tak około 10 proc. dochodów osobistych ludności.

Konieczność podnoszenia cen skupu żywca (które są obecnie dwukrotnie wyższe niż w 1970 r.) oraz rozwarcie nożyc między kosztami produkcji mięsa, cenami zbytu a wynikiem powiększenia o około 75 proc. łącznych jednostkowych nakładów rolnictwa, obrotu i przetwórstwa.

Poprawa relacji ekonomicznych produkcji mięsa zależy przede wszystkim od zmniejszenia nakładów na pasze i opłatę pracy rolników. Jest to możliwe pod warunkiem racjonalizacji żywienia inwentarza, rozpowszechnienia technologii podnoszących wydajność pracy w hodowli oraz rezygnacji z lokowania produkcji mięsa u producentów o wysokich kosztach krańcowych.

Obniżenie czy zahamowanie wzrostu kosztów produkcji mięsa jest jednak nie tylko sprawą rolnictwa. Wskutek zwiększenia o 80 proc. nakładów na obrót i przetwórstwo mięsa, stały się one istotnym czynnikiem wzrostu całkowitych kosztów. Wartość nakładów na skup, zagospodarowanie i przetwórstwo żywca sięga 20—25 proc. nakładów rolnictwa. (Dane z pracy Romana Urbana „Ceny i koszty produkcji mięsa”).

P. K.



Fot. S. ZUBCZEWSKI

WOKÓŁ STOŁU

PAWEŁ KAPUŚCIŃSKI

ZARÓWNO w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, jak i w bieżącym pięcioleciu nakłady na rozbudowę i modernizację przemysłu spożywczego były wyższe niż w całym poprzednim dwudziestolecu. Po pierwszych 7 latach tej przyspieszonej rozbudowy wartość majątku trwałego przemysłu spożywczego została z górą podwojona. Pozwoliło to zwiększyć jego produkcję o 90 proc. — przy zwiększeniu zatrudnienia o niespełną jedną piątą. Przetwórstwo przestało hamować rozwój rolnictwa — jak to się działo w latach sześćdziesiątych, kiedy niedostateczna zdolność przerobowa tego przemysłu utrudniała wykorzystanie potencjalnych możliwości wzrostu produkcji rolniej. W niektórych dziedzinach jak np. w przetwórstwie warzyw i owoców czy przetwórstwie mleka powstały nawet lokalne nadwyżki zdolności produkcyjnych przemysłu. Ułatwiło to realizację programów rozwoju rolnictwa w przyszłych latach — „żaden z organizacyjnych bodźców” nie działa bowiem na rolnictwo tak skutecznie jak sąsiedztwo silnego zakładu przetwórczego, który zabiega o zwiększenie dostaw surowców, wspomagając gospodarstwa kredytami i instruktażem, ułatwiając zaopatrzenie, organizując odbiór produktów itp.

Przy rozważaniach na temat przemysłu spożywczego, wytłumaczyć trzeba przede wszystkim fakt utrzymywania się trudności rynkowych, mimo tak intensywnego jego rozbudowy i niemal dwukrotnego wzrostu (wartości) dostaw. Bezpośrednią przyczyną jest prosta — ogromny wzrost popytu spowodowany przede wszystkim szybkim przystąpieniem siły nabywczej ludności. Przejęta nominalna płaca wzrasta w tym dziesięcioleciu z 2205 zł miesięcznie do 5300 zł. Wskutek wysokich dotacji budżetowych do produkcji żywności, które zwiększyły się z 7,5 mld zł w 1970 r. do 51 mld zł w 1975 r. i prawdopodobnie 169 mld zł w przyszłym, ceny artykułów spożywczych utrzymywane były na stosunkowo niskim poziomie, co dodatkowo stymulowało popyt. Tym bardziej, że wskutek nieporównawczo wyższej stopy wzrostu cen towarów nieżywnościowych podstawowe artykuły spożywcze relatywnie potaniały w stosunku do pozostałych o około 30 procent.

Na wzrost popytu duży wpływ ma również zjawisko tzw. denaturalizacji spożycia na ws. Polega ona na tym, że rolnicy więcej sprzedają produktów rolnych, ale i więcej kupują gotowych artykułów spożywczych. Np. w porównaniu z 1970 r. procentowy udział produkcji towarowej w globalnej produkcji mleka wkrótce prawie się podwoi. Małe samopozaparcenie wsi, a upowszechnianie się rynkowej formy zaopatrzenia. Wprawdzie ocenić to trzeba pozytywnie — jako przejaw procesu pogłębiania się społecznego podziału pracy (rolnicy zajmują się rolnictwem, a nie przetwórstwem) i jako drogę do zatarcia różnic w poziomie i jakości odżywiania się ludności wiejskiej i miejskiej — ale fakt pozostaje faktem, że rynkowa pula produktów żywnościowych dzielić będzie między coraz większą liczbę konsumentów.

Wzrost produkcji przemysłu spożywczego nie mógł więc przynieść proporcjonalnych efektów w poprawie zaopatrzenia rynku żywnościowego. Znacznie je pomniejszają — ale przecież nie zniwelowały całkowicie — wzrost potrzeb. Nie byłoby prawdą twierdzenie, że potrzeby rosły szybciej niż produkcja żywności. Spożycie w przeliczeniu na jednego mieszkańca wzrosło przecież wydatnie (liczby publikowałyśmy w poprzednim numerze) — i to mimo że liczba mieszkańców naszego kraju wzrasta w bieżącym dziesięcioleciu o 3 mln. Nastąpiła przy tym pewna poprawa struktury — jemy więcej produktów białkowych oraz owoców

i warzyw, mniej — produktów mlecznych i ziemniaków. Obiektywnie rzecz biorąc, uzyskaliśmy więc istotny postęp, w wyżywieniu naszego społeczeństwa.

Jednakże poprawa zaopatrzenia rynku w artykuły żywnościowe, poprzez równoczesne zwiększenie produkcji rolniej i zdolności przetwórczych, jest w najbliższych latach jedną z najpilniejszych spraw do rozwiązania, która bodajże czy nie w najbliższym stopniu będzie rzutowała na to co w odczuciu społecznym określa się jako „jakość życia”. Wytyczne na VIII Zjazd formułują tę kwestię jednoznacznie: „Jednym z priorytetowych zadań lat osiemdziesiątych jest kontynuowanie realizacji uchwał XV Plenum KC PZPR dotyczących programu wyżywienia narodu”. Przed przemysłem spożywczym zaś Wytyczne stawiają konkretne zadanie zwiększenia w latach 1981—85 produkcji o ponad 20 proc.

Proponowana stopa wzrostu — 4 proc. rocznie, nie będzie wcale łatwiejsza do uzyskania niż kilkunastoprocentowe przyrosty produkcji w połowie lat siedemdziesiątych. Tempo wzrostu produkcji niektórych gałęzi przemysłu spożywczego, np. przetwórstwa mięsa limituje bowiem sytuacja surowców, a innych zaś — bariera inwestycyjna. Pamiętamy, że podstawą inwestycyjnego boomu ostatnich lat był import — proskowni mleka, gotowanych zakładow mleczarskich, kombinatów mięsnych oraz maszyn i urządzeń dla wszystkich branż przetwórstwa rolnego.

Aby wykonać stawiane przed nim zadanie, przemysł spożywczy musi — mówiąc najogólniej — dwa warunki: racjonalnie wykorzystać surowce rolne oraz podnieść stopień ich przetwórstwa.

Przykładem rezerw żywnościowych tkwiących w przetwórstwie produktów rolnych może być konieczność przetworzenia milionów litrów mleka na przemysłową kaszę, w szczycie skupu.

Ścisłe wiąże się z tą sprawą również kwestia wykorzystania odpadów. Np. wciąż zakupujemy kilkanaście tysięcy ton padliny i odpadów mięsnych, które powinny być przerobione na mączki paszowe. (Nawiasem wspomnijmy, że przed kilkunastoma dniami w Gołczy k.Krakowa otwarto duży nowoczesny i importowany — zakład utylizacji, pierwszy z serii 7, które będą zbudowane w przyszłych latach).

Sprawa wykorzystania surowców rolnych, w coraz silniejszym stopniu zależnie będzie od współpracy przetwórstwa z rolnictwem. Swego czasu kwestie ścisłego współdziałania obu tych ogniw gospodarki żywnościowej stawiano bardzo mocno — może aż za mocno, bo pod teoretycznym hasłem: integracji pionowej, która w praktyce wymagałaby chyba zbyt głębokich reform organizacyjnych — później zaś zaniedbano, do głosu znów silnie doszły partykularne interesy resortowe. Wydaje się, że wiele spraw ze styku rolnictwa z przetwórstwem należałoby od nowa przemyśleć. Na przykład — jak rozwiązać problem — nie dające się pogodzić z warunkiem racjonalnego wykorzystywania surowców — konieczności przedłużania kampanii kukurmicznej do połowy stycznia, a nawet lutego? Czy za parę miliardów złotych wybudować jeszcze jedną kurnię, czy może wrócić do uprawy odmian buraków o wyższej cukrowności, co pozwoliłoby zmniejszyć masę przerabianego surowca?

Bardzo dyskusyjną i bardzo społecznie ważną sprawą dotyczącą wykorzystania surowców rolnych jest również kwestia — czy produkować mniej, ale lepszych wyrobów, czy z tej samej ilości surowca zrobić więcej, ale gorszego produktu? W pierwszym przypadku istnieje obawa, że nie wystarczy dla wszystkich, w dru-

gim — że pozorna obfitość rozmyja się w tak kiepskiej jakości produktu, że będzie ona równoznaczna ze zmniejszeniem surowca. Wydaje mi się, że ten dylemat widać szczególnie wyraźnie w przypadku produkcji wędlin. Moim zdaniem — sądząc choćby po sposobie w jaki przyjmowane jest na rynku pełnotłuste „prawdziwe” masło, droższe gatunki sera itp. — preferencje konsumentów są przeciw pocięciu surowca w trakcie jego „rozmańszania”. (Dostawa mięsa i przetworów z roku na rok rośnie, skup żywności w przeliczeniu na mięso był w latach 1975—78 niższy niż w 1974 r.).

Wytyczne zwracają również uwagę na konieczność pogłębiania przetwórstwa i uszlachetniania żywności. Rozumiem, że chodzi tu o to, żeby na rynku znalazł się bogatszy wybór artykułów o wysokim stopniu przetworzenia. Np. żeby ziemniaki dostarczać nie tylko w formie tradycyjnej, ale również w postaci gotowych wyrobów kulinarnych — jak pyzy, ułatwiających prowadzenie domu kobietom pracującym. Ale wydaje mi się, że w tej dziedzinie istnieje też, ze strony przemysłu spożywczego, niebezpieczeństwo pewnych działań pozorne tylko korzystnych i pożytecznych społecznie. Chodzi o to, żeby wymyślić gatunki produktów w drogich opakowaniach i opatrzonej etykietą nowości nie zastępowały zwykłych, produkowanych od dawna i wciąż poszukiwanych na rynku artykułów charakteryzujących się niższym stopniem przetworzenia.

Wytyczne utrzymują, przemysł spożywczy na liście tych działów gospodarki narodowej, którym w pierwszej kolejności przydzielane będą środki inwestycyjne. W najbliższych 2—3 latach większość tych środków przeznaczonych zostanie na inwestycje kontynuowane, ale przewiduje się również modernizację istniejących obiektów i otwieranie nowych placów budów.

Warto zwrócić uwagę, że Wytyczne kładą duży nacisk na rozwój drobnego przemysłu spożywczego. W latach 1981—85 władze wojewódzkie powinny w pierwszej kolejności zapewnić warunki rozwoju drobnym zakładom mleczarskim, owocowo-warzywnym wraz z przechowywalnictwem, małym młynów, kaszarni, masarni i innych zakładów przetwórstwa spożywczego, co pozwoli na poprawę zaopatrzenia lokalnych rynków w żywność.

Wydaje się, że jest to sprawa o znaczeniu ogólnokrajowym (pod pojęciem rynku kryje się przecież zbiór rynków lokalnych). Nie będę tu przytaczał znanych na ogół walorów drobnego przetwórstwa rolnego, chciałbym natomiast zwrócić uwagę, że Wytyczne odwołują się w tej sprawie do władz wojewódzkich, a nie branżowych związków czy zjednoczeń. Rolę terenowej administracji podkreślono nie przypadkowo. Branżowe organizacje gospodarcze nie potrafią bowiem odejść od partykularnego, branżowego spojrzenia na tę sprawę. Zawsze będą udawadniały, że duży zakład jest relatywnie tańszy, da wyższą produkcję, zapewni lepsze warunki pracy i wydajność niż kilka małych. Kompleksowy rachunek wszystkich strat i zysków ekonomicznych, społecznych, gospodarczych wygląda jednak inaczej. Inaczej liczy ten, kto ogranicza się do wybudowania kombinatu i ewentualnie paru bloków z mieszkaniami „awaryjnymi”, a inaczej ten, który zadbać musi o komunikację, drogi dojazdowe, mieszkania, przedszkola itd. dla paruset czy paru tysięcy ludzi przyciąganych przez wielki zakład.

W sumie Wytyczne prezentują program zgodny z realiami sytuacji gospodarczej i z oczekiwaniami obywateli naszego kraju, dla których kwestia co postawić na stół wciąż jeszcze nie przestała być jedną z ważniejszych spraw codziennego życia.

DZIECI NA NAS PATRZĄ

ŻANETTA REGEŁ

Jan wyrasta z Jasia, a współczesny Jas ma wprawdzie witaminowe, ale mało estetyczne dzieciństwo. Otaczają go nie najpiękniejsze i nie najmądrzejsze zabawki, mebelki, także z sukienkami, spodenkami, bucikami itp. O ile ubranych ciociach i wujkach oraz prowincjonalnie wystrojonych spikerkach zapowiadających „dobranoczkę” nie wspomnę, bo na ten fragment otoczenia dziecka mamy ograniczony wpływ. Jeśli zaś chodzi o świat przedmiotów pozostających w kręgu zainteresowań i potrzeb dziecka, istnieje szansa, aby go z roku na rok estetycznie doskonalić.

CZY z tej szansy korzystamy? Jak się rzekło — nie najlepiej. Ludzie, którym ta sprawa szczególnie i zawodowo leży na sercu przygotowali wystawę. Wystawa mieści się w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego w Warszawie i kompletnie przedmiotów ładne, a nawet piękne. Są to przede wszystkim dziecięce meble, zabawki i rzecz charakterystyczna — większość wśród eksponatów stanowią prototypy wykonane osobiście przez projektantów, a tylko niektóre przedmioty wzięte zostały z produkcji. Wystawie towarzyszą pokazy odzieży. Większość jej wzorów dostępna jest w sklepach, bądź ma się niebawem znaleźć w produkcji. Żadne cuda, tylko to, na co już zdobył się i może zdobyć w najbliższym czasie przemysł lekki. Niestety, na wprowadzenie do produkcji pokazanych na wystawie mebli przemysł w żaden sposób zdobyć nie może. Co więcej, nie robi nam żadnych nadziei na przyszłość!

Na spotkaniu dziennikarzy z organizatorami wystawy a wśród nich licznie reprezentowanymi projektantami, przedstawiciel przemysłu meblarskiego bronił się w wypróbowany sposób: tych mebli nie możemy produkować, bo są „nieekologiczne”. Inaczej mówiąc: technologicznie źle zaprojektowane, bo dla przemysłu meblarskiego, przy napiętych planach i braku surowca twardych materiałów — pracochłonne.

Można się było tego spodziewać! Zbyt piękne jest to co na wystawie zostało zgromadzone, aby stało się prawdziwe. Dla najmłodszych mebelki z kolorowej tektury, składane niczym pudełka. Takie na rok i do... odstawienia, nie wyrzucenia, bo szkoda jeśli nie zniszczone. Powiedziemy kompletnie — stółik i krzeselka za 300 złotych. Inne meble są trwalsze, ale przeważnie „rosnące” wraz z użytkownikami, dzięki regulowanemu wysokościom. Wszystko proste w formie, bogate w funkcjach. Szkoda zresztą miejsca na opisy. To trzeba zobaczyć.

Denerwująca wystawa

Zobaczyć i zdenerwować się? Prawda. Wiele zwiędziających już się zdenerwowało. W księdze pamiątkowej przeważają lapidarne uwagi: „gdzie to kupić; piękne, ale nierzalne” — brawa dla organizatorów, ale co dalej?

Dałaj! Organizatorzy i twórcy nie są jednak zmełnieni i wierzą w lepszą przyszłość. Już się na bieżąco odwołują do VIII Zjazdu. Wytyczne gwarantują im poparcie na przyszłość. Tym się kruszą. A poza tym impreza na wystawie się nie kończy. Towarzyszą jej seminaria. Jedno z nich miało zgromadzić przedstawicieli środowiska projektanckiego, przemysłu oraz handlu. Chodzi o to, żeby drażyć temat. Ale jak tu drażyć, kiedy przedstawiciele przemysłu wystąpili na seminarium w sile... jednego człowieka: prezesa Krajowego Związku Spółdzielców Zabawkarskiej z-Kielce.

W tej konfiguracji czelówym tematem seminarium stały się zabawki. Mało jest ładnych zabawek, bo surowce są złe, bo do spółdzielni właściwie czeka na wyspecjalizowanych projektantów, a stan umacniania wszystkich wytworów zabawek jest żaden — powiedział prezes. Inne branże mają linie, nowoczesne techniki i technologie, licencje importowane maszyny, a przemysł zabawkarski — jeżeli go w ogóle przemysłem nazwać — pracuje na poziomie manufaktury. W ten sposób nie da się robić nowoczesnych, zmechanizowanych zabawek, których na naszym rynku najbardziej brakuje: rakiet z Hermaszewskim w środku, walców drogowych, diagnetów, samochodów, dźwięków i kolejek elektrycznych. Dzieci w

zabawkach lubią przecież nade wszystko naśladować świat dorosłych.

Fakt. Dzieci są obecnie bardzo politycznie zorientowane. Nawet w rolnictwie, dzięki TV, i nawet dziennikarce. Brak nowoczesnych maszyn stoi więc takiej produkcji na przeszkodzie, ale co stanowi barierę w produkcji ładnych, klasycznych zabawek: piłek, klocków, szmacianych lalek, misiów itp. itd.?

Surowca. Spółdzielczość zabawkarska nie jest przez dystrybutorów surowca traktowana poważnie. Sprzęt kuchenny taki, jak śmietniczki, szufelki, kubelki robi się z tworzywa w najlepszym gatunku, a na zabawki przeznacza się najgorsze odpady. Z takiego surowca najczęściej nie można uzyskać ładnych, czystych, wyrazistych barw. Szmatki na lalki i pajace, futerka na misie, mały i psy trzeba czasem prać, szarpać, myć, suszyć, skłajać w kawałki i jeszcze raz robić to samo. Tedy zabawki, chociaż z odpadów, nie mogą być tak ładne ani ładne jak by się chciało. Poza tym prawo eksportu: ładniejsze idą za granicę, brzydsze muszą zostać w kraju.

Dobre zamiary prezesa

Projektantów wyspecjalizowanych w zabawkach, zwłaszcza chętnych do pracy na głębokiej prowincji, też brakuje. A jeśli już uda się pozyskać do pracy projektanta ze średnim wykształceniem, to znów brak mu technologicznego przygotowania. Krajowy Związek Spółdzielni Zabawkarskiej chciał nawet wysłać kilku swoich ludzi na specjalistyczne studia do NRD. Tam się kształcą inżynierów zabawek, ale na razie zamiar prezesa się nie udał.

Nie wiadomo też, jak się uda prezesa przekroczyć w przyszłym roku wymagania planu. Znosi się na to, że trzeba będzie, zgodnie z ogólnymi narzuconymi założeniami, zmniejszyć zabawkom materiałochłonność. Zdać się, że planisci powyrastali już z małych dzieci i nie wiedzą, ile mali obywateli lubią się bawić zarówno maciupkami i zabawkami, jak i ogromnymi okazami koni, misów, pajaców, piesków i piłek. Czy dla wskaźników wolno pozbawiać maluchów tej przyjemności?

Na mały wybór w rozmiarach zabawek narzekała w wystąpieniu bardzo rzeczowo i pozbawionym administracyjnego wyrazu przedstawicielka stołecznego handlu. Są też, jej zdaniem, nie wypełnione nigdy przez przemysł luki w wyborze zabawek dla poszczególnych grup wieku. To wszystko obniża tzw. kulturę handlu, o którą się wszyscy, słusznie zresztą, dopominamy.

A sprzedawca zabawek to nie to samo co sprzedawca w sklepie z jarami — zauważyła jedna ze znanych projektantek użytkowych form — ten ma społecznie rolę tak ważną do spełnienia jak farmaceuta w aptece. Jeżeli sprzedaje zle lekarstwo — skutek wiadomy. W sklepie z zabawkami podobne niebezpieczeństwo, tyle że skutki złej zabawki pojawiają się w osobowości dziecka dopiero po latach i będą już wtedy nie do wyliczenia. Te skutki w postaci zdeformowanego poczucia estetycznego, to w przyszłości nie tylko zły dobór ubrania, sposób urządzenia własnego domu i mała wrażliwość na sztukę, ale również fałszywe decyzje zawodowe (np. dyrektor, który akceptuje w produkcji szmierz, bo nie uważa różnicy między złym a dobrym wzorem).

Więc jaka jest na to rada? Najpierw uporządkować rynek. Jeżeli istnieją i działają możne komisje atestujące nowe wzory zabawek proponowanych do produkcji

przez spółdzielnie zrzeszone w krajowym związku, to nie można jednocześnie pozwolić na sprzedaż zabawek nie kontrolowanych, pochodzących z prywatnych wytwórni, znajdujących ujście w licznych obecnie agencjach i sklepach. Te placówki handlu także powinny mieć obowiązek zaopatrywania się w zabawki wyłącznie atestowane.

Poza tym trzeba się bacznie przyrzec importowi. Wyboru zabawek sprowadzanych z zagranicy dokonują często nieprzygotowani fachowo ludzie. Dlatego ta sama komisja atestująca krajowe wzory nie ma wyrokować o imporcie? W przeciwnym razie istnienie i trud komisji złożonej ze specjalistów staje się problematyczne, a na rynku robi się bałagan. Nie tylko jakościowy, ale i asortymentowy.

Wykorzystać zawodowców

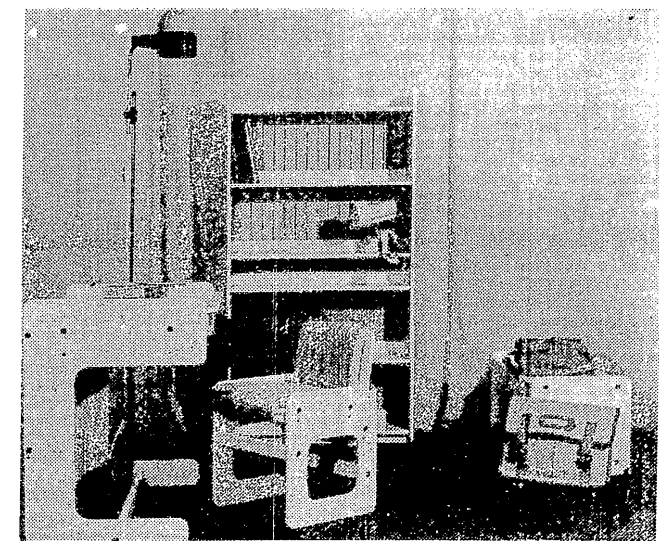
Ponadto trzeba wykorzystać do ona projektantów form użytkowych. Niewiele ich mamy w stosunku do potrzeb, ale i ci są nie wykorzystani. Tymczasem wyposażeni we wszelkie informacje: o stanie zaopatrzenia w surowce, o potrzebach psychologicznych dzieci, o potrzebach ekonomicznych rodziców, jedynie słuszną decyzję produkcyjną i w ten sposób kształtować materiał otoczenia najmłodszych. Wzory takiej precyzyjnej organizacji wszelkiej produkcji przeznaczonej dla dzieci są już na świecie dopracowane (np. w Anglii, Szwecji). Należy z nich zaczerpnąć kilka przykładów.

Na początek dobrze byłoby skoordynować całą produkcję przeznaczoną dla dzieci, a także sposoby i formy sprzedaży w ośrodku badawczo-rozwojowym. Instytut Wzornictwa Przemysłowego jest dobrym miejscem dla uwięcia takiego ośrodka. Z działalnością tej placówki powinny od pierwszych dni jej istnienia wynikać praktyczne skutki.

Co na ten pomysł producenci przedmiotów przeznaczonych dla dziecka? Prezes Krajowego Związku Spółdzielni Zabawkarskiej na to jak na lato. Wprawdzie nikt na owym seminarium, o którym cały czas mowa, nie obiecywał prezesowi licencji, ani zakupu nowych, zagranicznych linii technologicznych, nikt też nie stawiał ich braku za główną przyczynę wszelkiego zła, ale prezes mimo to ucieczył się szczerze, że wreszcie jakieś dostojne gremium, z dyrektorem Instytutu Wzornictwa Przemysłowego na czele, potrokuje jego zabawkowe kłopoty i potrzebuje całkowitego serio. „Czuję, że nie jestem sam” — zakończył prezes optymistycznie swoją wypowiedź. Stąd nadzieja, że Krajowy Związek Spółdzielni Zabawkarskiej chętnie przyłoży się do realizacji wypracowanych z seminaryjnej dyskusji wniosków.

Nie wiemy natomiast jakie szanse dają sprawie producenci mebli, naczyń, sprzętu służącego osobistej higienie, albowiem mimo wysłanych zaproszeń — nie przybyli. Przedstawiciel potężnego Zjednoczenia Przemysłu Meblarskiego, zahaczający jedynie o wystawę w dniu jej otwarcia i postawiający wspomniany zarzut o „nieekologiczności” wzorów meblowych — wyjechał. W ten sposób nie miał nawet okazji, albo nie chciał usłyszeć, że co najwyżej połowa polskich dzieci — jak mówią wyniki dokonanej przez IWP sondażu — odrabia lekcje w domu w przeznaczonych do tego miejscach. Czy jednak miejsca te są prawidłowo i naukowo przystosowane — to jeszcze inna sprawa. Po prostu są stałe. Niekiedy jest to stół pokojowy albo szafka kuchenna i za niskie, albo za wysokie do tego krzesło. Stąd coraz większy odsetek społeczeństwa cierpi na krzywe kręgosłupy. A przecież nie chodzi już o produkcję całych dziecięcych gabine- tów przeznaczonych do nauki domowej, wystarczyłoby wymyśleć już i sprawdzić na świecie (np. w Szwecji) krosno o regulowanej wysokości i stosownym oparciu. Zdjęcie takiego krzesła krajało po sali, wśród uczestników seminarium, ale nie było go komu pokazać.

Nie jest to optymistyczny znak — ta zмова nieobecności producentów. Boję się, że za rok, na podobnej wystawie, którą postanowiono odciążyć organizować, uczestnicy dzisiejszego seminarium, mimo całego ich zapala, będą dreptali w miejscu. Obym była złym prorokiem.



Fot. M. KACPRZAK

Ile Polska potrzebuje stali? W Wytocznych na VIII Zjazd partii znajdujemy postulowaną wielkość produkcji stali surowej w roku 1985 — ok. 24 mln. ton. Oznaczałoby to osiągnięcie w okresie dziesięciolecia 1975—1985 przyrostu produkcyjnego rzędu 9,8 mln ton stali — będzie to efekt wielkich przedsięwzięć inwestycyjnych w czarnej metalurgii, przede wszystkim budowy Huty „Katowice”. W tym samym okresie wskaźnik produkcji stali na 1 mieszkańca kraju wzrośnie z 441 kg do ok. 620 kg (zakładając że stan ludności Polski w roku 1985 wyniesie ok. 38,5 mln osób).

O CZYWIŚCIE, zużycie stali w Polsce oraz wskaźnik zużycia stali na jednego mieszkańca kraju są wyższe od podanych wartości. Nasza gospodarka nadal odczuwa niedobory stali, zwłaszcza stali jakościowych, specjalnych, i nadal niedobory te uzupełnia się importem. Import ten wykazuje wprawdzie tendencję spadkową — niemniej jednak stanowi poważne obciążenie naszego konta płatniczego.

Ile stali dla Polaka

W roku przyszłym — można przewidywać — zużycie stali w Polsce osiągnie pułap 24 mln ton, przy produkcji krajowej ok. 21,5 mln ton. Osiągniemy także w przybliżeniu wskaźnik zużycia stali na statystycznego mieszkańca ok. 670 kg i wskaźnik produkcji stali bliski 600 kg. Czy to dużo, czy mało? Czy należałoby w dalszym horyzoncie czasowym, wykraczającym poza rok 1985 — biorąc pod uwagę wieloletni okres realizacji inwestycji hutniczych — nadal rozwijać metalurgię żelaza i stali, i w jakim tempie?

Sięgając do porównań międzynarodowych stwierdzimy, że w roku 1975 wskaźnik zużycia stali w kilogramach na mieszkańca, w wybranych krajach wynosił: we Francji — 550, we Włoszech — 500, w RFN — 800, w USA — 675, w Japonii — 820, w krajach EWG średnio — 625, a w krajach RWPG — 550. Wskaźnik dla Polski — 550 kg na mieszkańca — pozwala stwierdzić, że jest to już poziom wysoki, porównywalny z poziomem zużycia stali w krajach wysoko rozwiniętych.

W roku przyszłym zużycie stali w kilogramach na mieszkańca wyniesie: we Francji i Włoszech — 600, w RFN — 925, w USA — 710, w Japonii — 1050, w krajach EWG łącznie — 650, a w krajach RWPG średnio 700 kg. Jaki jednak wskaźnik zużycia stali powinniśmy uznać za zadowalający, za optymalny? Jaka powinna być dynamika produkcji i zużycia stali w kolejnych pięcioletniach — jaka w konsekwencji będzie stalochność naszego dochodu narodowego? Niektórzy specjaliści postulują osiągnięcie w roku 1990 wskaźnika zużycia stali na statystycznego Polaka — 800 kg, co wymagałoby dostarczenia ok. 32 mln ton stali. Biorąc pod uwagę podaną w Wytocznych na VIII Zjazd wielkość produkcji stali w roku 1985 — 24 mln ton — oznaczałoby to konieczność podjęcia dalszej intensyfikacji rozwoju zdolności produkcyjnych hutnictwa żelaza i stali, i uzyskania w latach 1988—90 przyrostu produkcji ok. 8 mln ton. Czyli, praktycznie, gdyby przyjąć tę tendencję, powstałaby konieczność budowy zakładów hutniczych porównywalnych z budowaną obecnie Huta „Katowice”. Musiałoby to pociągnąć za sobą nakłady rzędu 200 mld złotych. Widzieliśmy zresztą również prognozy dalsze idące, zakładające na rok 1990 wskaźnik zużycia stali w odniesieniu do jednego statystycznego Polaka — 900 kg (oznaczałoby to wówczas konieczność dostarczenia gospodarczo ok. 35 mln ton stali). Wydaje się jednak, że do cytowanych tu wielkości perspektywicznych należałoby podejść krytycznie. Tak ostre tempo rozwoju hutnictwa żelaza i stali jest nie tylko nierealne — uwzględniając nasze możliwości realizacyjne, obciążenie dochodu narodowego — ale i niepotrzebne. Po prostu w najbliższych latach dokonaliśmy zasadniczego zwrotu (a przynajmniej zwrot ten zapoczątkować) zarówno w naszej strukturze przemysłowej, zmniejszając w niej udział tzw. produkcji stalochnych, jak i w hutniczych technologiach, w kierunku zdecydowanego zwiększenia produkcji wyrobów jakościowych, o lepszych parametrach użytkowych, lepszych.

Czytamy o tym w Wytocznych: „Kluczowe znaczenie ma dla gospodarki zmniejszenie jednostkowego zużycia wyrobów hutniczych. Wymaga to ograniczenia wagi wyrobów, które dziś jeszcze są nadmiernie stalochnone. W tej mierze szczególnie ważny jest postęp w odlewaniu, kucie, cięciu, tłoczeniu i spawaniu”. I dalej: „(...) w celu dostosowania do rosnących wymagań kontynuowana będzie modernizacja całego hutnictwa. Preferowany będzie przede wszystkim rozwój produkcji stali o podwyższonych wytrzymałościach, stali specjalnych i

STAL KTÓREJ NIE MA ZA DUŻO

LECH FROELICH

innych, umożliwiających bardziej efektywne wykorzystanie i produkcję urządzeń o wyższych parametrach technicznych.”

Działalność mająca na celu poprawę efektywności w gospodarce stała się więc typowym przykładem działalności kompleksowej, wymagającej współdziałania hutników, producentów stali i innych materiałów żelaznych, projektantów, konstruktorów, technologów, którzy te cenne materiały przetwarzają. Postawiliśmy niedawno jednemu ze specjalistów hutniczych pytanie „drastyczne” — czy można by sobie wyobrazić dalszy rozwój gospodarki narodowej zakładając nawet „zerowe” przyrosty produkcji stali, a poprawiając jedynie jej parametry jakościowe i zmieniając oczywiście stopniowo strukturę produkcji przemysłowej. Ograniczając bądź wycofując się z niektórych wysoko stalochnych dziedzin. Odpowiedział mi — można.

Malejąca krzywa stalochności

Istnieje zależność między stopniem rozwoju gospodarczego a zużyciem w danym kraju stali. „W pierwszej fazie rozwoju, kiedy struktura gospodarki kraju jest prosta i ogranicza się głównie do rolnictwa, przemysłu spożywczego, lekkiego i ewentualnie eksploatacji zasobów mineralnych, zużycie stali utrzymuje się na niskim poziomie i wzrasta powoli. W następnym etapie rozwoju, tzn. industrializacji, zużycie stali znacznie zwiększa się, coraz większą rolę odgrywa budownictwo; buduje się przemysł i infrastrukturę kraju: drogi, mosty, porty. Zapotrzebowanie na stal zaspokajane jest wówczas głównie poprzez import. Ograniczoność środków na zakupy z importu zmusza wówczas kraj do stworzenia własnej bazy produkcyjnej hutniczej, głównie w najprostszych asortymentach. Z chwilą zbudowania przemysłowej przetwórczej — narzędziowego, maszynowego, stoczniowego — zapotrzebowanie na stal wzrasta bardzo szybko. Po tej fazie dynamicznego rozwoju przemysłu gospodarka wchodzi w okres pełnej dojrzałości przemysłowej, a produkcja globalna i zużycie stali utrzymują się na wysokim poziomie. Jednak przy dalszym zwiększaniu wartości produkcji globalnej zaznacza się lekki spadek jego stalochności. Wynika to z faktu, że produkcja stalochnych sektorów po nasyceniu gospodarki i rynku swoimi produktami zaczyna zmniejszać swój udział w wartości tej produkcji na rzecz usług, którego ukraczają w okresie swego intensywnego rozwoju.”

Ten ogólny schemat rozwojowy znajduje potwierdzenie w naszych, polskich doświadczeniach. Wskaźnik stalochności wyrażający się zużyciem stali w kilogramach na 1000 złotych dochodu narodowego wynosił: w 1950 r. — 11,8 kg, w 1980 r. — 14,4 kg; w 1970 r. — 14,9 kg (to wartość szczytowa); w 1975 r. — 14,8 kg i obserwujemy w latach następujących powolne zmniejszanie wartości tego wskaźnika. W roku 1980 pracodawca osiągnął wartość 13,2 kg, a według prognoz na rok 1990 — 10,0 kg. Krzywa stalochności wykazuje tendencję malejącą.

Starając się do minimum ograniczyć terminologię techniczną, spróbujmy prześledzić te drogi, które wiedzą do racjonalnej gospodarki stalą — część działań spoczywa w gestii hutnictwa, druga część w gestii „konsumentów” stali.

Z tej samej rudy — więcej stali

Przed hutnictwem stało zadanie takiego prowadzenia procesów hutniczych, by z jednej tony zużytych surowców bądź z jednej tony stali uzyskać jak najwięcej wyrobów finalnych, a także stałego wzbogacania struktury asortymentowej, dostarczania odbiorcom wyrobów o wysokim stopniu przetworzenia, o wysokich parametrach jakościowych, pozwalających na minimalizację zużycia.

Typowym działaniem „efektywnościowym” jest np. dążenie do poprawy tzw. uzysku, stopnia wykorzystania stali w procesach jej przetwarzania

przez samo hutnictwo. Przy planowanej produkcji stali w wysokości 21,5 mln ton w roku przyszłym, poprawa uzysku tylko o 0,1 proc. oznacza bezinwestycyjny przyrost produkcji wyrobów walcowanych rzędu 21 500 ton. Uzysk stali w naszych hutach w ostatnich latach waha się w granicach 76,2—76,4 proc. Są wszelkie dane, by go poprawić co najmniej o 0,5 proc. Istotny wpływ na wysokość uzysku mają stosowane technologie. Wiadomo, że np. stosując tzw. stale nieuspokojone i półuspokojone można mieć z wlewka „uzysk” o 6—8 proc. wyższy niż ze stali uspokojonych. Oczywiście, trzeba wiedzieć, jacy odbiorcy do jakich celów i do jakich grubości i przekrojów mogą stale nieuspokojone i półuspokojone używać.

Jeszcze większy wpływ na kształtowanie się wskaźnika uzysku wywiera technologia odlewania stali w sposób ciągły. Polska jest obok Związku Radzieckiego jednym z pierwszych krajów, który opośniał i wprowadził tę technologię, początkowo na niewielką skalę w hutach „Baldon” i „Jedność”. Dopiero duże instalacje do ciągłego odlewania stali w hutach „Nowotki” i „Katowice” wywarły znaczący wpływ na poziom zużycia stali w samym hutnictwie. Technika ta ma tę zaletę, że słaby lub kęśka odlewane w sposób ciągły mogą być bezpośrednio przerabiane na wyrób finalny.

Ponieważ tonażowy miernik produkcji stosowany powszechnie w hutnictwie nie sprzyjał optymalizacji zagospodarowanych stali, w roku 1976 wprowadzono system rozliczania produkcji wyrobów walcowanych według tzw. „ton teoretycznych”, który przyniósł widoczną poprawę. System ten zachęca do walcowania wyrobów w tolerancjach minusowych, a więc lżejszych, co pozwala na uzyskanie z jednej tony stali większej ilości wyrobów mieszczących się w dopuszczalnych odchyłkach norm.

U odbiorców stali warunkiem znaczącego postępu w zużyciu stali jest stałe poszerzanie przez hutnictwo produkcji tzw. asortymentów oszczędnościowych. Zaliczamy do nich np. stale spawalne o podwyższonych własnościach, wytrzymałościowych; stale o podwyższonej odporności na korozję atmosferyczną typu corten; kształtowniki ekonomiczne — dzięki specjalnej geometrii przekroju, kształtowniki te zachowując przewidywane wskaźniki wytrzymałościowe są przeciętnie o 10 proc. lżejsze od normalnych.

Spośród bogatej gamy wyrobów, których produkcję podjęło ostatnio i które niewątpliwie wpływają na obniżenie stopnia zużycia stali, można by wymienić: blachy trapezowe cynkowane i lakierowane, na ściany osłonowe hal przemysłowych — pozwalają one na znaczne obniżenie ciężaru konstrukcji nośnych tych hal; profile gięte na zimno; profile spawane; rury precyzyjne grubościennne dla przemyślnego maszynowego, głównie do silników hydraulicznych; blachy ulepszone cieplnie, np. na ryny do przenośników zgrzebłowych w górnictwie; ciężkie szyny kolejowe ze stali odgazowanej prężniowo, o znacznie wyższej trwałości; stal zbrojeniową o podwyższonej, powyżej 50 kg/mm², granicy plastyczności.

Choć rozmiary produkcji wymienionych wyrobów jeszcze nie w pełni pokrywają potrzeby, choć odbiorcy — zwłaszcza konstruktorzy — nie zawsze wiedzą, że mają już do dyspozycji te materiały i apli-

kuja materiały tradycyjne; można chyba powiedzieć, że hutnictwo zrobiło krok w kierunku efektywności.

Ciężkie, nie znaczy lepsze

Mimo postępu, jaki dokonał się w ostatnich latach w polskiej technice, spotykamy się często z poglądem, że konstrukcje naszych maszyn i urządzeń są w porównaniu z analogicznymi maszynami i urządzeniami produkowanymi na świecie relatywnie cięższe. „Oszczędność surowców, materiałów, paliw i energii w poważnym stopniu zależy od konstruktorów, projektantów i technologów” — to stwierdzenie z „Wytocznych” jest bezdyskusyjne. Należałoby dokonać krytycznej oceny metod ich pracy — wiadomo, że znakomite rezultaty oszczędnościowe można osiągnąć budując maszyny i mosty, domy i statki, wagony i samochody, jeśli zastosuje się nowoczesne teorie projektowania, badania modelowe, pomiary tensometryczne, elastooptyczne itd.

Często nasi konstruktorzy, o czym wspominałem, z braku rozeznania nie stosują dostępnych już i produkowanych przez nasze huty materiałów o podwyższonych parametrach wytrzymałościowych. Nie stosują żeliwa ani staliwa o wysokiej wytrzymałości, stali wytrzymałościowych, korpusów kuto-spawanych zamiast odlewów itd. Nie zawsze wykazują inwencję w zastępowaniu metali tworzywami sztucznymi. Mobilność są to ogromne. Istnieją także jego generis obiektywne mierniki nowoczesności; każde biuro dysponować powinno wskaźnikami materiałochłonności swoich wyrobów w odniesieniu do rozwiązań produkcyjnych producentów. Wskaźnik taki może być ustalony jako stosunek ciężaru konkretnej maszyny lub urządzenia do pewnej charakterystycznej wielkości decydującej o ich technicznej przydatności (np. w odniesieniu do wagonów osobowych jest to stosunek ciężaru do długości pudła; w odniesieniu do wagonów towarowych — ciężaru do ładowności; w odniesieniu do silników spalniczych — ciężaru do mocy itd.). Wskaźniki te obrazują stopień doskonałości danego rozwiązania uwarunkowanego ciężarem przy spełnieniu innych warunków, takich jak niezawodność działania, funkcjonalność, trwałość itd.

Inspektorat Gospodarki Stalą i Metalami Nieżelaznymi „Ingomet” dysponuje analizami porównawczymi tablicy kolejowej, suwnic, hal przemysłowych, maszyn budowlanych, górniczych i rolniczych, z których wynika, że niektóre z nich dorównują nowoczesności wyrobom produkcyjnych producentów świata (np. koparki). Inne znów (wagony, suwnice) są znacznie cięższe. Wskazuje to na znaczne rezerwy materiałowe. Ponadto same procesy produkcyjne opierają się często na przestarzałych już, pracochłonnych i materiałochłonnych technologiach.

Podczas przeprowadzanych okresowych przeglądów konstrukcji i technologii wytwarzania inspektorzy „Ingometu” stwierdzili, że niejednokrotnie uzysk (stosunek ciężaru netto do różnicy między ciężarem materiału wyjściowego a ciężarem gotowego elementu, wyrażony w procentach) produkowanych nawet w dużych seriach części maszyn, „detali”, spada poniżej 45 proc. A spotyka się i elementy wykonywane przy użyciu 10 proc. Efektem takich rozwiązań są zwalony stalowy wirów, których „produkcję” około 1 mln ton rocznie. Jest zrozumiałe, że znacznie wyższy stopień wykorzystania materiału stwarzały wszelkie procesy obróbki plastycznej (do 90 proc.), precyzyjne techniki odlewnicze, cięcie bezodpadowe, zgrzewanie tarczowe, metalurgię proszków itd. Niestety, stopień rozpowszechnienia wielu z tych technik jest jeszcze niski. Np. w ogólnym bilansie pracochłonności w kraju udział obróbki plastycznej nie przekracza 7 stopni.

Ważną, niedocenianą, mało efektywną (choć efektywną) dziedziną racjonalizacji gospodarki materiałowej — w tym stali — jest sfera obrotu, magazynowania. Wszyscy wiedzą, że gospodarka magazynowa traktowana była często po macoszemu, na szarym końcu; inwestycje dające przyrost produkcji są stawiane z reguły przed inwestycjami nieprodukcyjnymi. Natomiast brak odpowiedniego zaplecza magazynowego zmusza wiele zakładów do składowania materiałów hutniczych, i nie tylko, na otwartej przestrzeni, byle jak, co narzuca na działanie czynników atmosferycznych na korozję, sprzyja kradzieżom itd.

Uzyskanie przyrostu produkcji stali poprzez inwestycje jest zawsze znacznie kosztowniejsze niż uzyskanie jej przez racjonalizację zużycia, postęp konstrukcyjny i technologiczny. Nie deprecjonując polskiego hutnictwa, powinniśmy stawiać przed nim w najbliższych latach zadania rozwoju produkcji jakościowej. Brak stali nie może i nie powinien być czynnikiem hamującym rozwój gospodarki narodowej, ale jednocześnie nadmiernie rozbudowane apetyty na stal i inne wyroby czarnej metalurgii nie mogą kłaść się nadmiernym ciężarem na dochódzie narodowym, na naszej codziennej egzystencji.

*) Mirosław Joachimczak — „Zasadnicze kierunki działań dla usprawnienia gospodarki metalami w kraju” (materiał powielany).

KOOPERACYJNY KABARET

Kooperacja nie jest dziś tematem dnia. Przez wiele lat, pamiętamy, uchodziła za jeden z najważniejszych problemów naszej gospodarki, a jej usprawnienie uważano za dość uniwersalny lek na gospodarcze niedomagania. Później, z nagłówków gazet i audycji, a także z referatów i przemówień, wypchnęły ją sprawy energetyki, rynku wewnętrznego i eksportu, co nie znaczy, że straciła cokolwiek na aktualności, albo że zmniejszyło się jej znaczenie dla spraw dziś królujących na lamach i antenach.

O DGRZEBAC i odkurzyć temat postanowił „Przegląd Techniczny”. Zaprosił do Gorlic paru dyrektorów i dziennikarzy, czyli zorganizował dyskusję. O kooperacji właśnie: Czy nie dałoby się z niej zrezygnować? Jak egzekwuje się kooperacyjne zobowiązania? Z kim dobrze się współpracuje, z kim źle? Według jakich kryteriów należałoby dobrać kooperantów? I tak dalej.

Jak widzimy, do odkurzania „Przegląd” wziął się z rozmachem, z tytułowaniem uczestników imprezy nawet jakby trochę przesadził. W kolejnych zapowiedziach mówiono o „Rundzie dyrektorów”, o „Klubie dyrektorów”, także o „Klubie dziennikarzy przy klubie dyrektorów” — niewiele z tego zdołałem pojąć, ale inicjatywę, owszem, doceniam i za możliwość uczestniczenia w niej dziękuję. Nawet parokrotnie.

Dziękuję przede wszystkim za to, że dyskusję zorganizowano w Gorlicach. Lubię to miasto i lubię Fabrykę Maszyn Wiertniczych i Górniczych „Glinik”, która tej imprezy była gospodarzem. Sympatia do fabryki ma zresztą arcytytułowe podłożo — dobrze się tam pracuje. Z „Glinika” dziennikarz nigdy nie wraca z pustymi rękoma. W „Gliniku” zawsze coś się dzieje, do każdego tematu, zwłaszcza gospodarczego, zawsze można znaleźć niebanalne przykłady. Ostatni raz byłem tu w sezonie głośnych narzekania na rozwiłką drogę „od pomysłu do przemysłu”. Pojechałem, jak to się mówi, w ciemno i od razu trafiłem na rekord w dziedzinie opierającej się skutecznie wszelkim przypieszczającym zabiegom: zarządzanie w sprawie wykonania dokumentacji i prototypów obudowy ścianowej „Zagłębie” wydano 21 stycznia, 15 lutego pomysłnie zakończono próby nowej konstrukcji; w połowie kwietnia obudowę „Zagłębie” zainstalowano na dwóch ścianach kopalni „Czerwona Gwardia”. Od podjęcia prac konstrukcyjnych do zastosowania nowego typu obudowy upłynęły 82 dni. To nie zdarza się często.

Do tematu kooperacja „Glinik” też jakby specjalnie był przygotowany. Na placu fabrycznym pokazano nam pięć urządzeń wiertniczych gotowych lecz nie przekazanych odbiorcom — kilkadziesiąt milionów złotych „zamraża” na pół roku z powodu jakichś detek, czy weży, nie dostarczonych przez kooperanta.

O czym mówią dyrektorzy...

Wdzięczny też jestem „Przeglądowi Technicznemu”, za to, że mogłem się przysłuchiwać wypowiedziom dyrektorów. Wokół stołu zasiadli przedstawiciele sześciu wielkich przedsiębiorstw: FMWIG „Glinik”, Zakładów Tworzyw Sztucznych „Gamar”, nowohuckiego „Montinu”, Jelczańskich Zakładów Samochodowych, Rzeszowskiego Przedsiębiorstwa Robót Zmechanizowanych „Dźwig” i zjednoczenia „Polam”. Każdy miał do opowiedzenia jakieś kooperacyjne dreszczydło, padały nawet takie określenia, jak: „koszmar”, „okropność”, „kabaret”, dyskusja jednak nie ograniczała się do zbiorowego wieszania psów na kooperantach. „Życie Gospodarcze” swego czasu, zajmowało się tym tematem żywo, też zebrało sporo dyrektorskich wypowiedzi, mogą więc porównywać: listy standardowych pretensji — nieterminowo, mało, źle — jakby się trochę skłóciły. Zaoszczędzone dzięki temu miejsce wypełniają przypomnienia spraw elementarnych: „Kooperacja czynnikiem efektywności”, „Bez drobiazgów nie ma gotowych wyrobów”, „Kooperant współpracuj...” i tak dalej. Nie zabrakło nawet szerszych wywodów.

— Kooperantom w naszym przemśle przydzielono rolę niewdzięczną. Wytwórca wyrobu finalnego wprowadza, na przykład, nowość rynkową. Jeśli jest dobrze urządzonej w swej branży i jako tako sprytny, to połowę potrzebnych części robią mu kooperanci, a wszystkie profity z tytułu nowości zagarnie on sam. Kooperant nie nie skorzysta, dlaczego więc miałby starać się jakoś nadzwyczajnie.

— Rozbudowując przemysł, wznowić nowe fabryki najczęściej nie zanadto troszczono się o zakłady mające odciążyć głównego producenta od kłopotów związanych z wytwarzaniem elementów sporządzanych innymi sposobami, niż dominujące w jego zakładzie.

Stąd najprzeróżniejsze dziaćwa. Przemysł maszyni górniczy sam sobie wytwarza 560 asortymentów

wyrobów gumowych i z tworzyw sztucznych. „Montim” poniekąd przeciwnie — zbudował swego czasu wytwórnię rur o dużych średnicach, spawanych automatycznie, rur takich budownictwo przemysłowe zużywa rocznie za kilkadziesiąt milionów złotych, a „Montim” produkcję ogranicza, chyba będzie musiał w ogóle ją zlikwidować, bo nie dostaje z hut potrzebnej mu blachy. Dyrektor już zabiega o względy dziennikarzy, bo liczy się z tym, że za parę miesięcy kolejdzy budowlani będą go przedstawiać jako przykład niesolidnego kooperanta, który zlikwidował potrzebną produkcję, narażając państwo na niekonieczne wydatki dewizowe.

Wielka fabryka „Jelcz” biega jakichś technicznych cherlaków o wyłączenie, śrubki, podkładki.

Jeszcze ktoś inny samolotem, z drugiego końca świata, sprowadza przysłowiowe uszczelki, choć za cenę dwóch takich przesyłek można by kupić urządzenie pozwalające zaopatrzyć w nie całą branżę.

Podobnych wypowiedzi było dużo. Być może największą korzyścią z odgrzezanego na nowo zainteresowania kooperacyjnymi kłopotami będzie właśnie pełne ujawnienie dysproporcji między poziomem technicznym wytwórni wyrobów finalnych, a zakładami mającymi z nimi współpracować, zaopatrywać je w części i elementy potrzebne, a technologicznie obce.

...a o czym nie mówią

Mała Encyklopedia Ekonomiczna nie zawiera hasła „Kooperacja”. Zdziwiło mnie to, zainteresowałem, starając się dociec, dlaczego je pominięto, zanotowałem:

— Kooperacja ma sens tylko wtedy, jeśli kooperant zleca mu elementy potrzebne do wykonania finalnego wyrobu. Podstawą kooperacji powinna więc być specjalizacja, a u nas część duża powiązań wywołuje się po prostu z wadliwego systemu rozliczania fabryk. Przez długie lata niezalenie kooperanta równało się ograniczeniu kłopotów z ciągle wymagającym wzrostem wartości produkcji, z wydatkami na pracy, funduszem płac i paroma centymami w sprawozdaniach wskaźnikami. Producentom wyrobów finalnych najlepiej by się opłacało tylko malować maszyny czy wagony i to im drożej kooperanci wyceniali poszczególne części, tym lepiej. Do dziś pojęcie kooperacji ekonomicznej uzasadnionej nie przyjęło się powszechnie, a w swoim czasie było aż tak źle, że redakcja encyklopedii ekonomicznej nie mogła znaleźć autora, który gotów by był obciążyć swoje sumienie zaliczeniem kooperacji do działań gospodarczych.

Mój rozmówca, rzecz jasna, przesadzał. Ale duża część istniejących powiązań kooperacyjnych rzeczywiście ma bardzo kiepski rodowód. Dla wielu z nich też dziś jeszcze trudno byłoby znaleźć przekonujące uzasadnienie ekonomiczne, czy chociażby techniczne. Często trudną nawet rozstrzygnąć, czy bardziej służą zwiększeniu produkcji, obniżaniu kosztów, czy też rola ich się ogranicza do fabrykowania gospodarczych złudzeń.

W dyskusji zorganizowanej przez „Przegląd Techniczny” poświęcono tym sprawom dokładnie dwa słowa, a raczej jedno, powtórzone dwukrotnie.

Któryś z dyrektorów zaczął narzekać na konieczność ciągłego poszukiwania wartości. Szef „Glinika” poprawił natychmiast „oszukiwania”. I z naciskiem powtórzył: „oszukiwania”.

Na własną już rękę pociągnął tę nitkę. Potwierdził się to, o czym wspominałem już na początku — na „Glinik” można liczyć w każdej dziennikarskiej potrzebie.

„Glinik” właśnie się reorganizuje. Od Nowego Roku, już jako kombinat zjednoczony pod wspólnym kierownictwem cztery zakłady, dotychczas rozliczane oddzielnie. Korzyści takie, słakie i inne, ale wartość rocznej produkcji skalanych w kombinat zakładów zmniejszy się o 400 milionów złotych. Likwidacja tak zwanej wewnętrznej kooperacji uszczupli wykazywaną dotychczas wartość prawie o 10 procent. O tylez rubryki statystyk zbliżą się do gospodarczej rzeczywistości.

Wydaje się to sprawą nie mniej ważną, niż płynne dostawy śrubek i uszczelzek.

(ajk)

MIAŁEM okazję wziąć udział w konferencji sprawozdawczej wyborczej kolejowej organizacji partyjnej w Krakowie, na której podsumowano dotychczasowy dorobek i przedstawiono plany na przyszłość. Punktem wyjścia wymiany poglądów były Wytyczne na Zjazd, a szczególnie ta ich część, która dotyczy transportu kolejowego.

Powiedzieć, że dyskusja była rzeczowa, to za mało. W wypowiedziach kolejarzy, często tak zwanych "szeregowych", pracowników dominował jeden ton — troska o to w jaki sposób pomóc kolei w wyjściu z impasu, jak, nie czekając na odgórne, radykalne rozwiązania, mogliby oni przyczynić się do poprawy obecnej sytuacji. Nie zabrakło też krytyki, często bardzo żarliwej, i to nie tylko klientom PKP, inwestorów, budowlanych, przemysłu dostarczającego części zamienne — słowem tego co fachowcy nazywają otoczeniem transportu — ale także wstydliwych kątów własnego podwórka.

PRZEWDNIĄ, myślą dyskusji było: jak działać efektywnie. Podkreślił to otwierający obrady I sekretarz Komitetu Zakładowego Jan Flacht mówiąc m. in.: — Wytyczne na VIII Zjazd określają zadania transportu na najbliższe lata. Dla ich realizacji konieczne będą nie tylko inwestycje i dalsze prace modernizacyjne, a w planach gospodarczych nie może zabraknąć dla nich miejsca, ale też wzmocniony wysiłek m. in. kolejarzy, aby jak najlepiej wykorzystać posiadany potencjał — działać efektywnie. Społeczeństwo jest świadome, że niepokojące stanem kolei, klienci są wyraźnie niezadowoleni z poziomu świadczonych usług transportowych. To co już, w tej chwili możemy zrobić, to wykorzystywać rezerwy, a także są, choćby w organizacji ruchu. Mamy w samym Krakowie bardzo wiele do zrobienia. Przebudowy domaga się mocno statutowany budynek Dworca Głównego, budowa wiaduktu kolejowego przy ulicy Warszawskiej nie może się doczekać szczęśliwego zakończenia, kolejne problemy to wagonownia i magazyny, ciągnąca się niepokojąco adaptacja pomieszczeń dla zasadniczej szkoły zawodowej PKP i szpitala kolejowego i wiele, wiele innych spraw.

Jak się później okazało, problemy, o których mówił J. Flacht wracają jak przysłowiowy bumerang w kolejnych wystąpieniach.

Józef Stala, naczelnik zarządu handlowo-przewozowego PDKP z rezerwą podszedł do sprawy szybkiego zwiększania możliwości przewozów transportu kolejowego. — W Wytycznych znajdujemy stwierdzenie, że należy zmniejszyć rozbieżność między potrzebami gospodarki narodowej i możliwościami transportu. Mimo poważnych nakładów, nie wydaje się możliwe zamknięcie tych nożyc w latach 1980—1985. Nawarstwione zaległości nie da się łatwo odrobić. Nie nie pomogą nawet absolutne priorytety, bowiem nie uda się przyznania funduszy całkowicie wykorzystywać, czyli używając brzydkiego słowa „przerobić”. Stawia to nas kolejarzy przed niezwykle trudnym zadaniem lepszego wykorzystania i tak mocno już eksploatowanych środków. Podkreśla się w Wytycznych rangę lepszej organizacji przewozów, przyspieszenia rotacji wagonów. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że wiążą się to ściśle nie tylko ze stanem szlaków kolejowych, ale i bocznic u klientów. Aby nakłady przyniosły nam wyraźną ulgę, muszą być zsynchronizowane prace modernizacyjne na kolei i na frontach ładunkowych w przedsiębiorstwach korzystających z naszych usług. Niezwykle ważny jest dalszy szybki postęp mechanizacji prac ładunkowych. Zdaje mi sobie sprawę, że coraz trudniej będzie o pracowników do tych bardzo uciążliwych prac, a poza tym mechanizacja pozwala wyzwoleć dodatkowe możliwości przewozowe. Chciałoby się, aby przestano wreszcie mó-

NIE DOWIEŻLI

KRZYSZTOF FRONCZAK

wić, że transport kolejowy utrudnia rozwój gospodarczy kraju. Chciałoby się też, aby transport rozwijał się równomiernie wraz z innymi działami gospodarki, a ideałem byłoby gdyby je wyprzedzał.

J. Stala, jako praktyk, jeszcze raz potwierdził, organiczny związek transportu z jego otoczeniem, to, o czym mówi się nie od dzisiaj, niestety, najczęściej tylko mówi. Nie na wiele zdadzą się wysiłki resortu komunikacji, poważne wydatki państwa na rzecz uzdrowienia PKP, jeśli jednocześnie nie wzmocni się nacisku na kontrahentów PKP, nie wyposażą się w odpowiedni sprzęt przemysłowych bocznic. Transport i przeładunki powinny być traktowane z jednakową troską przez decydentów, są to bowiem elementy nierozdzielnie ze sobą połączone, tymczasem daje się zaobserwować niepokojące zjawisko, sztucznego przecięcia, dzielenia. Transport, jako znajdujący się, rzecz by można, na pierwszym planie, o mocno nad-szarpiętej w ostatnich latach kondycji, znalazł się na liście spraw palących, wymagających jak najenergiczniejszego załatwienia, zaś przeładunki a przede wszystkim ich kompleksowa mechanizacja, pozostały jakby w cieniu tego problemu. A przecież przewiezienie ładunku to tylko fragment procesu transportowego. Jak widać, kolejarze nie zapomnieli o tej oczywistej prawdzie.

Inny, bardzo jaskrawy przykład partykularnego pojmowania interesów dał w swoim wystąpieniu Leszek Zawada, kolejański delegat na VIII Zjazd. — Docierają do nas niepokojące wieści, że budynek no-

wej kolejowej centrali telefonicznej i teleksowej o który tak walczyliśmy od lat, nadal nie ma szans wyjścia z fazy projektu. Stara centrala firmy Siemens liczy już ponad 30 lat i żeby utrzymać ją przy życiu musimy bez przerwy dorabiać do niej części zamienne, których już przecież nikt nie produkuje. Mamy gotowy projekt nowej centrali, przyszaną lokalizację i zapewnienie Ministerstwa Komunikacji, że będzie on realizowany w pierwszej kolejności. Tymczasem dowiadujemy się, że krakowski WZGS ma bardzo poważne problemy, aby swoje magazyny postawić właśnie w tym samym miejscu. A przecież musimy mieć dobrą łączność, aby bezpiecznie jeździć. Wy-czerpujące są takie układy: jak są pieniądze — to nie ma wykonawcy, są wykonawcy — nie ma pieniędzy. A korzystają na tym inni, którzy potrafią, gdzie trzeba, przedstawić swoje żelazne racje. Gorycz zjawiska, które przedstawił ten mówca, nie zawleka się tylko w tym, że zwykłą, zwykłą wychodził rywal, w tym przypadku WZGS. Zastanawiające jest przede wszystkim to, że przy teoretycznym (w tym właśnie przypadku) priorytecie, jaki przyszaną się obecnie w naszym kraju transportowi kolejowemu, PKP — mimo iż zdaje się korzystać z jego dobrodziejstw — okazuje się w realizacji o miejsce pod budowę niezwykle ważnej inwestycji przeciwnikiem siłabszym, zmuszanym do ustąpienia pola. A przecież także i krakowski WZGS jest zapewne klientem kolei i w ostatecznym rozrachunku wynika stąd, że nie jest on zainteresowany szybkimi i sprawnymi przewożami.

O priorytetach na papierze wspominał też w swoim wystąpieniu przedstawiciel służby zaopatrzeniowej, Jan Olech.: — Moim zadaniem jest dostarczanie brzygom materiałów budowlanych, wyrobów chemicznych, części zamiennych itd. Wszyscy wiemy, że materiałów tych dostajemy stanowczo za mało. W praktyce okazuje się, że jeśli chodzi o przyznawanie dostaw, kolej nie ma żadnego priorytetu i traktowana jest czasami na równi z drobnymi odbiorcami, a nawet rzemieślnikami. Materiały deficytowe powinny podlegać bardziej sensownemu, centralnemu rozdzielaniu. Druga sprawa to należyta ochrona posiadanego w magazynach majątku. Materiały o wartości 150 mln zł trzymamy w sypialniach się magazynach, zbudowanych jeszcze przed pierwszą wojną światową. Nie tylko nie można stosować w nich nowoczesnych technik składowania, ale trzeba je, ze względu na bezpieczeństwo obsługi, po prostu zamknąć. Jeśli nie powstaną nowe obiekty, to dojdzie do tego, że reglamentowane materiały, które przecież tak trudno wywalczyć będą niszczone równieź zwrócić uwagę na niepokojącą feminizację zawodu magazyniera. Obecnie już 80 proc. obsługi to kobiety, nie zawsze dające sobie radę z tą niezwykle ciężką pracą. Mężczyźni odchodzą do lepszych, ale lepiej płatnych prac. Sprawa ta wymaga również poważnego potraktowania.

S EKRETARZ OOP w Biurze Projektów Kolejowych w Krakowie, Czesław Idec, przedstawił nietrawną i przynajmniej trochę nie-

rozumiałą dla kolejańskiej społeczności, sytuację socjalną pracowników tego biura: — Nasi pracownicy korzystają z szeregu kolejańskich świadczeń: 80-procentowa zniżka na bilety, częściowo umundurowanie, opieka kolejowej służby zdrowia, itd. Z chwilą zaś przejścia na emeryturę tracą praktycznie wszystko, nawet legitymację PKP. Dochodzi do naprawdę przykrych dla nas sytuacji, gdy kolejowa służba zdrowia wydaje orzeczenie o niezdolności pracownika do pracy i konieczności przejścia na emeryturę, kiedy u schyłku życia opieka lekarska jest mu szczególnie potrzebna, to właśnie się ją odbiera. Problem ten już sygnalizowaliśmy, był on też przedmiotem rozważań naszej instancji partyjnej, ale niewiele wskóraliśmy.

Rozwiązanie tego problemu zgodnie z interesami pracowników biur projektowych narzuca się samo przez się i staje się niezbędne. Krakowskie Biuro Projektów Kolejowych, choć drugie co do wielkości w Polsce wyraźnie traci kadrę techniczną. Ilość zatrudnionych spada w ostatnich latach z 400 do 370 osób; tendencja ta nadal się utrzymuje. Coraz trudniej znaleźć chętnych do pracy, nie stwarzając im dobrych warunków. Wygasanie świadczeń kolejańskich z chwilą przejścia na emeryturę ma też aspekt szerszy, pozaekonomiczny.

Trudno jest zdobyć odpowiednio wyszkolony narybek — oferta jaką proponuje młodzieży gospodarstwo narodowe jest bardzo szeroka: ma ona możliwość wybierania zawodów najbardziej atrakcyjnych. Z pewnością problem, o którym mówił przedsta-

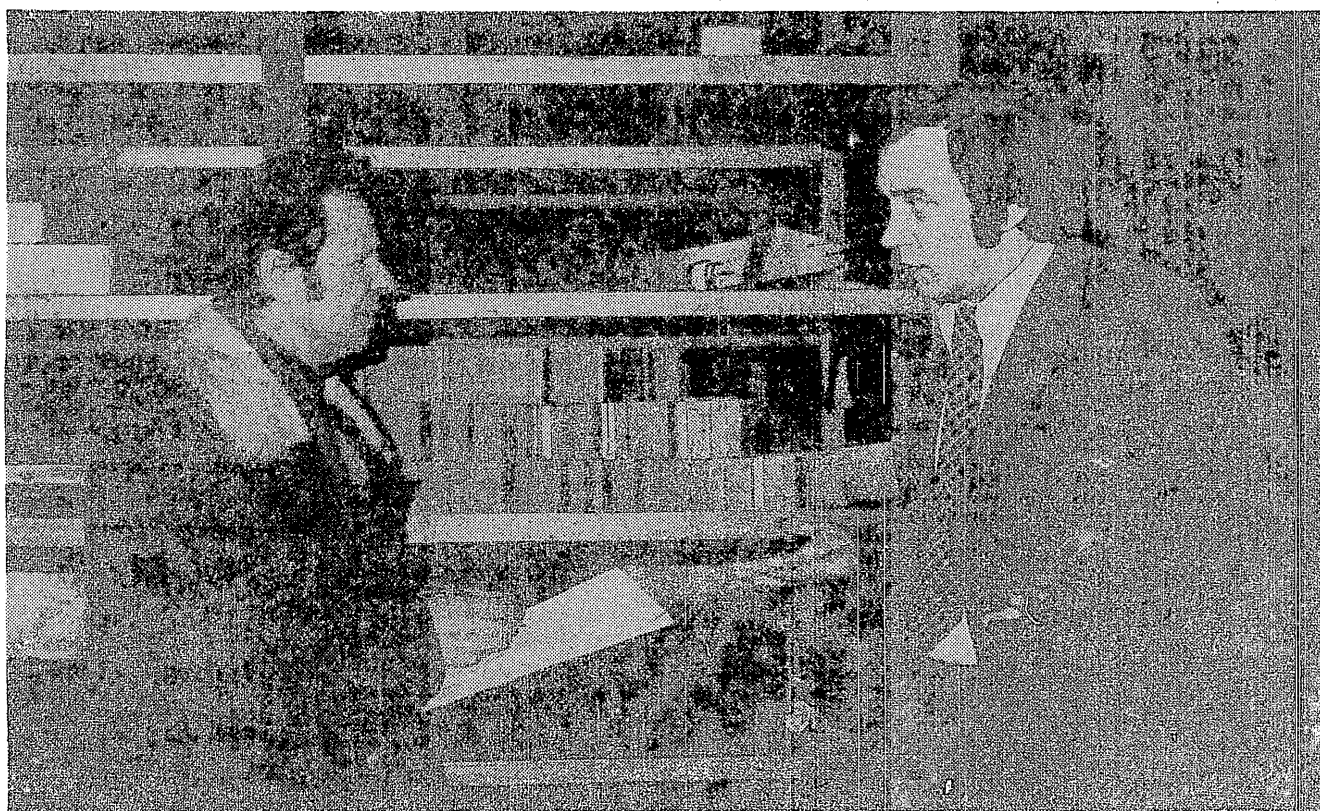
wiciel EPK, znacznie obniża atrakcyjność zawodu np. projektanta, bo i uposażenia nie są też wygórowane. Co zatem może zrobić PKP, aby pozyskać młodych fachowców? Odpowiedź wydaje się prosta — oferować interesujące stanowisko pracy, a to z kolei, przy coraz większym nasyceniu PKP specjalistycznym sprzętem, wymaga odpowiedniego przygotowawia kadry.

W praktyce krakowskiej Zasadniczej Szkoły Zawodowej PKP wygląda to znacznie mniej przejrzyście. Jej dyrektor, Andrzej Cichoń nie ukrywa swych wątpliwości: — Szkoła istnieje od dwudziestu lat, rok bieżący jest tydzień rocznicą jubileusowym, co rokiem nadziei. Nadziei, że coś się wreszcie zmieni na lepsze. Od początku swego istnienia nie posiadamy odpowiednich pomieszczeń. Ukończenie remontu budynku przy ul. Pilotów, na który tak czekamy, wydaje się nadal odległe. Sami uczniowie pytają: dlaczego instalację ciepłej budowlami robią tam miesiacami, skoro my we własnym zakresie, w uczniowskim czynnie potrafimy wszystkie kable elektryczne ułożyć w ciągu niespełna dwóch tygodni? Nie tylko na takie pytania nie potrafimy im odpowiedzieć. Dziś w krakowskiej PDKP właściwie nie ma zainteresowanych pomocą naszej szkoły — z wyjątkiem służby trakcyjnej, która widzi w niej szansę i dla siebie. A nasze mury opuszcza przecież specjaliści nie tylko od trakcji.

KOLEJ nie wszystkie swe problemy może załatwić we własnym zakresie. Nie może zmusić klientów do mechanizacji przeładunków, nie może dowolnie wpływać na to, aby place magazynierów czy kasjerów były konkurencyjne względem plac w innych zawodach. Ma jednak pełne prawo domagać się od resortu komunikacji, aby emerytowani pracownicy Biura Projektów Kolejowych otrzymywali to na co zasłużyli swą długoletnią pracą, i aby w konfrontacji z innymi interesami, interesy kolejarzy nie znajdowały się na górze przegranej pozycji.

Konieczne jest spojrzenie na problemy, z jakimi borykają się kolejarze nie tylko z punktu widzenia niewydolności transportu. Ich problemy stają się przecież problemami całej gospodarki, przemysłu, rolnictwa, handlu. Wydaje się, że niekiedy zapomina się o tej prawdzie, konsekwencje własnej słabości spychając na transport, a kolei dostaje się najczęściej. Jeżeli czegoś „nie dowieźli”, to w wielu zakładach umywa się ręce i zapisuje fakt skrupulatnie w sprawozdawczości, nie zastanawiając się nad tym, że może właśnie dlatego „dowieźlenia” zabrakło do lokomotywy przysłowiowej uszczelki na wymianę, której ktoś nie wyprodukował lub po prostu spartaczył produkcję. Zdaje sobie sprawę, że mówię o sprawach oczywistych i zapewne wszyscy dyrektorzy zakładów przemysłowych w pełni się ze mną zgadzają, ale słowo „nie dowieźli” skwapliwie na pewno umieszczają w sprawozdaniach, przy każdej po temu okazji.

Trzeba wreszcie przyznać kolei rzeczywisty a nie papierowy priorytet. Wypowiedzi krakowskich kolejarzy najlepiej świadczą o tym, że pierwszeństwo jej interesów bywa wątpliwe. PKP wymaga wspólnej troski nas wszystkich.



...Jeśli chodzi o części zamienne kolej nie ma żadnych priorytetów i traktowana jest na równi z drobnymi odbiorcami...

Fot. S. ZUBCZEWSKI

TRANSPORT

PRACA NIECHCIANA?

BOGUSŁAW KALESTYŃSKI

TADEUSZ KOSIOR

OFICJALNE dane wskazują, iż w gospodarce społecznej w transporcie i łączności trudnością było w 1978 roku milion 78 tysięcy osób. Jest to wielkość niebagatelna zważywszy, że w całej gospodarce społecznej zatrudnionych jest 11 910 tys. osób.

Zadna jednak statystyka nie jest w stanie, przy bieżących poziomie informacji, określić całkowitej liczby osób zatrudnionych przy przemieszczaniu ładunków. Obok bowiem pracowników transportowych objętych statystyką wewnątrz zakładów produkcyjnych lub też w mniejszych zakładach transportowych przynależnych do różnych przedsiębiorstw, bierze udział w przemieszczaniu ładunków szeroka rzesza pracowników. Nie zawsze zresztą ich stanowisko i etat odpowiada wykonywanej pracy. Nie zawsze też obsługa działalności transportowej jest ich wyłączną pracą.

Stąd też rozbieżność co do liczby tych pracowników jest ogromna.

Według ostrożnych szacunków liczba pracowników wykonujących faktycznie prace transportowe, a zatrudnionych na innych stanowiskach wynosi około 400 tysięcy. Według bardziej śmiałych sięga miliona.

W rzeczywistości bowiem przy niewłaściwej organizacji transportu i braku przedsiębiorstw wyspecjalizowanych, w tym głównie spedytorów, każde większe przedsiębiorstwo zmuszone jest posiadać komórkę zajmującą się ekspedycją i przyjęciem towarów, wyszukaniem, jeśli nie posiada własnych środków transportu, odpowiedniego przewoźnika itp.

Równocześnie przepisy, szczególnie w transporcie kolejowym, zmuszają użytkowników do obsługi procesu transportowego z załadunkiem i wyładunkiem wagonów włącznie.

Ilość rzeczywistych i utajonych pracowników transportu ciągle wzrasta. Wynika to z jednej strony z braku przedsiębiorstw organizacyj-

nych, które by zmieniły formy usług transportowych i odciałyby producentów od kłopotów transportowych. Z drugiej strony wzrastające tempo przewozów, przy funduszach inwestycyjnych nie wystarczających na zdecydowaną modernizację transportu, powoduje potrzebę zwiększania liczby zatrudnionych w transporcie.

Transport nie jest obiektem jednolitym gospodarczo. Występuje w nim duże rozproszenie organizacyjne związane ze sposobem przewozów, skalą centralizacji i wielkością przedsiębiorstw transportowych. Utrudnia to analizę zatrudnienia.

Z przeszło miliona zatrudnionych w transporcie największą część pracuje w PKP. Przedsiębiorstwo to nie tylko dokonuje przewozów, ale też i remontuje tabor, prowadzi działalność inwestycyjną w zakresie budowy i utrzymania dróg, posiada własną łączność, służbę zdrowia itp. Zatrudnionych jest w nim 350 tys. pracowników.

W największym samochodowym przedsiębiorstwie transportowym PKS zatrudnionych jest ok. 150 tys. pracowników. Pozostałe 500 tys. pracowników rozmieszczone jest nierównomiernie w przedsiębiorstwach transportowych publicznych, branżowych itp.

Charakterystyczny dla transportu jest niski udział pracowników z wyższym wykształceniem w całości zatrudnionych. W transporcie samochodowym udział ludzi z wyższym wykształceniem wynosi zaledwie 1,9 proc. a w transporcie kolejowym 2,2 proc. Wielkość ta stawia transport na ostatnim miejscu wśród wszystkich działów gospodarki narodowej.

Ten niski procent osób z wyższym wykształceniem nie wynika z braku zapotrzebowania na wysoko kwalifikowanych pracowników. Wysoki stopień technicznego uzbrojenia pracy wskazywałby na potrzebę większego ich udziału, chociaż mamy tu jednocześnie do czynienia z dużą ilością prac dotychczas nie zmechanizowanych (np. prace przeładunkowe).

Zmianę tej niekorzystnej sytuacji utrudnia to, że średnia wieku pracowników zatrudnionych w transporcie jest wysoka. Na przykład

w transporcie kolejowym średnia wieku (40 lat) jest prawie o połowę wyższa aniżeli w transporcie samochodowym.

Jakkolwiek fluktuacja kadr w PKP wynosi 19 proc., co na tle średniej w gospodarce narodowej (23 proc.) nie wygląda najgorzej, jednakże 80 proc. ogółu osób rezygnujących z pracy na kolei to ludzie, którzy nie przekroczyli 30 lat życia. Niskie tempo postępu technicznego na kolei, rutyniarstwo, duża centralizacja zarządzania — zniechęcają młodzież do pracy w transporcie kolejowym, a jednocześnie niewielki dopływ młodej kadry utrudnia postęp. Warto podkreślić, że zarówno place, świadczenia socjalne i możliwości awansu w transporcie kolejowym nie odbiegają swym poziomem od uprzywilejowanych w tym zakresie działów gospodarki narodowej.

Od pracy na kolei, szczególnie w obsłudze procesu przewozowego, odstrasza i to, że przedsiębiorstwo kolejowe jest jedynym w kraju i zawodu kolejarza nie da się wykonywać w innych dziedzinach, co w znacznym stopniu ogranicza swobodę zmiany miejsca pracy.

Fluktuacja kadr w transporcie samochodowym w większej mierze dotyczy poszczególnych przedsiębiorstw transportu samochodowego aniżeli branży. Wpływa na to m. in. fakt, że między przedsiębiorstwami tej branży występują duże różnice plac, szczególnie dla stanowisk nie objętych centralną normalizacją. Na przykład stawka dyspozytora wah się od 3 do 8 tys. zł.

Panuje zgodna opinia, że przy dotychczasowej organizacji przewozów, jak i tempie wzrostu masy ładunków, liczba zatrudnionych przy pracach ładunkowych do roku 1996 powinna przynajmniej się podwoić. Wobec niedoboru siły roboczej w kraju osiągnięcie tego celu wydaje się niemożliwe.

Na początku lat siedemdziesiątych podjęto decyzję zmierzającą do mechanizacji prac ładunkowych, co zmniejszyłoby liczbę zatrudnienia, ale w późniejszym okresie w związku z trudnościami inwestycyjnymi zamierzania te nie zostały wykonane.

Powiązania transportu z gospodarką narodową nasuwają wniosek nowy, ale dziś bardziej aktualny niż kiedykolwiek, że problemy transportowe nie mogą być rozwiązywane wyłącznie w sferze samego transportu.

BARIERY FAŁSZYWE I FAKTYCZNE

Tegoroczna kolobrzeska INFRA'79, organizowana przez Stowarzyszenie Księgowych Oddział w Szczecinie, była poświęcona komputeryzacji, a konkretnie systemowi informatycznemu rachunkowości (SIR).

Dlaczego tak późno zabieramy się za informatyzację rachunkowości? — z tym pytaniem, z okazji kolobrzeskiego spotkania, zwróciliśmy się do prof. dr. hab. Tadeusza Peche, przewodniczącego Rady Naukowej Stowarzyszenia Księgowych w Polsce i dyrektora Instytutu Przetwarzania Danych i Rachunkowości Szkoły Głównej Planowania i Statystyki.



Fot. J. ŚNIECIŃSKI

— Zanim odpowiem na postawione pytanie, krótko o systemie informatycznym rachunkowości — SIR. W pierwotnych zamierzeniach miał on obejmować całość problemów związanych z informatyzacją rachunkowości, jako przejawem działalności służby finansowo-księgowej w przedsiębiorstwach i instytucjach. Ostatecznie jest to zadanie do pewnego stopnia zawężone w stosunku do całości problemów, o których chyba będziemy musieli tutaj mówić. Ma ono doprowadzić w 1983 roku do ostatecznego przygotowania systemu ewidencji rachunkowej na maszynach jednolitego systemu (RIAD), o którym można mówić, że będzie stosowany na nieco szerszą skalę, przy wykorzystaniu technologii bazy danych. Z punktu widzenia służby finansowo-księgowej, jest to po prostu propozycja, rozwiązania kłopotów i trudności, z którymi służba finansowa boryka się od dawna.

— Może właśnie parę zdań o tych kłopotach.

— System rachunkowości jest czymś absolutnie niezbędnym i naturalnym dla gospodarki. Przedsiębiorstwo nie może istnieć i funkcjonować bez systemu rachunkowości. Obecnie jest on realizowany metodami przestarzałymi, w dużej mierze jest jeszcze ciągle systemem ewidencji ręcznej, w związku z tym jest nieistotnie pracochłonny. Zatrudniamy w służbach finansowo-księgowych ponad 400 tys. ludzi w skali kraju. Występuje jednak całkowity impas w zakresie zwiększania możliwości zatrudnienia ludzi w tej służbie, głównie ze względu na zasoby pracy. Posiadamy wyliczenia, z których wynika, że przy dalszym utrzymaniu dotychczasowego sposobu wykonywania tej ewidencji, biorąc pod uwagę zwiększające się obroty gospodarcze, zwiększające się ilości transakcji, zatrudnienie około roku 1990 w służbie finansowej musiałoby być podwojone. Oczywiście, sytuacja w zakresie zasobów pracy całkowicie wyklucza nawet myśl o czymś takim. Dodatkowym elementem jest pewna niechęć młodej — zarówno po studiach, jak i z wykształceniem średnim — do wykonywania tego zawodu. Praca jest trudna, wymaga pewnych predyspozycji, a do tego nie najlepiej płatna i ciągle nie ciesząca się właściwym prestiżem. Z tych to przesłanek wnosi się, że możliwe szybka komputeryzacja rachunkowości jest niezbędna.

— Wobec tego proszę powiedzieć, dlaczego tak późno zabieramy się do tej pracy?

— Rozwój informatyki w Polsce, jak sobie dobrze zdajemy z tego sprawę, poszedł nienaturalną drogą. Zastosowania gospodarcze informatyki w USA i w krajach zachodnich, od końca lat pięćdziesiątych wprowadzali przede wszystkim księgowi. Miało to miejsce od tego momentu, kiedy komputer drugiej generacji wszedł do użycia jako narzędzie nadające się do praktycznego i powszechnego zastosowania. Krótko mówiąc, zastosowaniami gospodarczymi na całym świecie zajmowali się księgowi. Natomiast u nas...

— W większości energetycy...

— ...inżynierowie różnych specjalności i matematycy. Księgowi włączyli się do tego procesu późno.

— Moim zdaniem, nie wiem czy podzielił je Pan Profesorze, nasze służby finansowo-księgowe są, zachowawcze i nie garną się do przeobrażeń jakie zakłada informatyka?

— Jest to w pewnej mierze prawda. Cechy te wynikają może z funkcji tych służb w naszej gospodarce, które w mniejszym stopniu niż w krajach kapitalistycznych bezpośrednio uczestniczą w procesach zarządzania, a w znacznie silniejszym — wypełniają funkcje kontrolne, dokumentacyjne, rewizyjne i stąd się bierze ten element konserwatyzmu. Służby te są świadome tego, że nie mogą improwizować, zaś rozwiązania organizacyjne muszą być pewne, aby nie podważyły podstawowej funkcji kontrolnej tych służb.

Natomiast inżynierowie, technicy oraz późniejsi matematycy, którzy wzięli się za informatyzację procesów gospodarczych w Polsce nie znali w ogóle księgowości, a nawet patrzyli na nią z góry, mimo jej szacownych tradycji i rzeczywistego znaczenia. Trzeba bowiem pamiętać, że twórcą pierwszego systemu podwójnego zapisu był wybitny matematyk późnego średniowiecza, L. Pacioli.

— Czyli kontroli na drugą rękę?

— To nawet nie jest kontrola, to jest podwójna klasyfikacja zdarzeń gospodarczych w warunkach gospodarki pieniężnej. W gospodarce naturalnej podwójna księgowość rozwinięta się nie mogła. Oczywiście, konsekwencją systemową jest także kontrola na drugą rękę, rozmaite elementy kontrolne tej metody, ale istota tkwi w podwójnym charakterze zjawisk gospodarczych: rzeczowym i finansowym.

— Wróćmy jednak do SIR.

— I do opóźnienia. W latach 1960—70 podczas ostrych walk na temat Krajowego Systemu Informatycznego (KSI), pomijano rachunkowość, co było swojego rodzaju kuriozum. Próbowano rozwiązywać problemy informacji gospodarczej bez uwzględnienia jednego z najważniejszych elementów systemu przetwarzania danych w tym zakresie. Byłem członkiem jednego z zespołów komisji partyjno-rządowej. Zgłosiłem projekt prac nad tym systemem, który został przeze mnie pięć czy sześć lat później wykorzystany przy pracach nad założeniami SIR, ale wówczas w ferworze dyskusji moja propozycja została niedostrzeżona i po dzień dzisiejszy zalega archiwum tej komisji. Był to po prostu przejaw specyficznego dla tamtych lat. Naprawdę prace nad SIR zostały podjęte w roku 1975, przy czym rzecz charakterystyczna, działania organizacyjne trwały aż 4 lata, zanim koncepcja ta urzeczywistniała się w postaci oficjalnego ustalenia problemu międzyresortowego.

— Pan Profesorze, w naszej rozmowie reprezentuje w tym temacie nie tyle uczelnie co Stowarzyszenie Księgowych w Polsce?

— Właściwie reprezentuję i uczelnie, ponieważ jestem dyrektorem

uczelnianego Instytutu Przetwarzania Danych i Rachunkowości, ale jestem od lat działaczem Stowarzyszenia Księgowych, dawniej nawet byłem członkiem Zarządu Głównego, a ostatnio przewodniczącym Rady Naukowej, w związku z tym reprezentuję interesy księgowych.

— Mam uznanie dla organizacji społecznej, Stowarzyszenia Księgowych w Polsce. Jednocześnie mam wątpliwość, dlaczego właśnie organizacja społeczna, a nie np. resort finansów zabiera się do tak dużego i odpowiedzialnego zadania?

— Mnie się wydaje, że po prostu organizacja społeczna była i jest tym czynnikiem, który spaja służby finansowo-księgowe w rzeczywistości podlegające poszczególnym resortom, zjednoczeniom, przecież są to w końcu pracownicy licznych, nie powołanych ze sobą przedsiębiorstw. I jeszcze jedno należy powiedzieć, stowarzyszenie ma bliski związek z Ministerstwem Finansów. Resort ten jest opiekunem stowarzyszenia. Bez względu na to, gdzie członkowie tego stowarzyszenia pracują za jego pośrednictwem — mają powiązanie z Departamentem Księgowości Ministerstwa Finansów.

— Na wstępie Pan Profesor powiedział, że SIR jest przygotowywany pod komputery jednolitego systemu — RIAD. Można i tak, ale można inaczej, mam na myśli mikroprocesory i specjalizowane minikomputery. Czy wobec tego nie byłoby słusze, aby wymusić na krajowym przemysle produkcję wyspecjalizowanych minikomputerów, a jeśli to nie będzie możliwe, doprowadzić do importu wyspecjalizowanych minikomputerów właśnie dla księgowości? Takie podejście do komputeryzacji miałyby kilka zalet: byłoby najtańszym z możliwych rozwiązań i w pożądanym kierunku, w sposób jednolity stymulowało rozwój systemów informatycznych rachunkowości.

— To jest oczywiście wielki problem. Pana rozumowanie oparte jest na racjonalnych przesłankach. Proszę jednak pamiętać, że rzeczywistość nigdy nie jest w 100 proc. racjonalna. Po pierwsze chodziło nam o uruchomienie prac w konkretnej sytuacji i... ruszenie sprawy z martwego punktu. Maszyny „RIAD” drugiej generacji nie są przeszkodą, ba, dla nas, nie są nawet terazniejszością, a dopiero przyszłością.

— Mówię o filozofii tych maszyn, a nie o fizycznych czarnych skrzynkach.

— Zgoda, ale „RIADy” są, przynajmniej w naszych obecnych warunkach, jedynym dostępnym urządzeniem. Co się zaś tyczy minikomputerów w Polsce — sytuacja jaka powstała w związku z „Mera”-300 może być określona jako katastrofalna. Stowarzyszenie Księgowych nawiązało nawet pod moim wpływem współpracę z producentem, zawarliśmy umowy, rozpoczęliśmy masowe szkolenie, uruchamiając gabinety wyposażone w minikomputery „Mera”-300. Nastąpił impas spowodowany przez producenta. Najpierw nie dostarczył oprogramowania. Potem nastąpił impas techniczny: serwisowy i niezawodnościowy, no i w końcu, zamknięcie całkowite tego

programu. Kiedy się okazało, że program minikomputerowy, jedyny możliwy w Polsce w tych latach, nie istnieje, trzeba było się chwycić rozwiązań, które są realne obecnie. Powiem więcej, są doświadczenia na Zachodzie, w USA i w Europie, odpowiadające filozofii, którą pan uznaje za przestarzałą, mam na uwadze np. dobre rozwiązanie francuskie, które polega na tym, że istnieje tam jedna wielka firma usługowa wyposażona w trzy ośrodki na terenie całej Francji, dysponująca potężnymi komputerami i obsługująca w zakresie rachunkowości kilkadziesiąt tysięcy użytkowników.

— Tylko że „RIADy” nie są tak potężne.

— Nie są tak potężne, ale wobec tego zamiast trzech ośrodków można zorganizować 15—20, lokalizując je na terenie województw lub regionów obejmujących kilka województw, które przy dobrze zorganizowanej spójności maszynowych nośników informacji oraz pewnych próbach zastosowania transmisji spełnią oczekiwania. Wydaje mi się, że duża część systemów rachunkowości będzie rozwiązywana tą drogą. Krótko mówiąc, będą to powielane systemy eksploatowane w dużych ośrodkach komputerowych, resortowych, czy wreszcie branżowych, ale przede wszystkim w sieci profesjonalnej — Zakładach Elektronicznej Techniki Obliczeniowej. Co więcej, jeżeli SIR stanie się powszechnym systemem, może stać się dla ośrodków ZETO głównym zatrudnieniem. Są one zawsze w poszukiwaniu takich powielalnych tematów.

Przy takim, jedynym obecnie możliwym na szerszą skalę rozwiązaniu, użytkownik systemu SIR będzie musiał się podwijać pod jakąś sieć, np. centrum wojewódzkie, czy pod własne centrum resortowe, które jeżeli nie ma dobrze funkcjonującego systemu finansowo-księgowego opartego na bazie danych, elastycznego, chętnie skorzysta z SIR. To oznacza właściwie, że użytkownik musi być przeszkolony w procedurach przekazywania danych i musi dysponować sprzętem do przekazywania danych do ośrodka. I na to jest położony punkt ciężkości. Oczywiście, gdyby były na rynku minikomputery, wiele przedsiębiorstw rozwiązałoby swoje problemy przy ich pomocy. Ale rzecz w tym, że, moim zdaniem, przed końcem przyszłej pięcioletki takich minikomputerów w znaczących ilościach mieć nie będziemy. Znajdujemy się w impasie, który pcha nas w kierunku scentralizowanego systemu na dużą skalę; takie rozwiązanie ma też w końcu znaczne zalety.

— A czy Pan Profesorze nie obraża się, że nastąpi kolejny impas cenowo-finansowy. Przecież będzie to przedsięwzięcie kosztowne, wymagające ogromnych nakładów. „RIADy” są komputerami relatywnie bardzo drogimi?

— Przedsięwzięcie proponowane stanie się o tyle tańsze, o ile bardziej będzie masowe. Jeżeli użytkownik SIR będzie dziesięciu, takie przedsięwzięcie będzie bardzo drogie i na pewno nieopłacalne. Przy dużej liczbie użytkowników koszty systemu rozłożą się i nie będzie to takie drogie.

— Nie rozumiemy się. System, słowem software, czyli oprogramowanie, jest u nas prawie bezpłatne albo nie ma ceny. Natomiast ceny i cenniki informatyczne odnoszą się do pracy maszyn i to jest, moim zdaniem, nieporozumienie. Inaczej jest na świecie. Tam z roku na rok jednostkowa cena operacji spada, a u nas z roku na rok, na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat, ceny poszczególnych operacji idą w górę.

— Tu ma pan absolutną rację. Ale to jest zagadnienie, które znajduje się poza SIR. To jest zagadnienie prawdziwości czy nieprawdliwości ustalenia cen za komputery.

— Ale dotyczy SIR.

— Dotyczy między innymi SIR.

— Jeżeli zatem na samym początku SIR znajdzie się w orbicie ekstenywnych rozwiązań — drogie komputery, bo innych nie ma, kosztowne bazy danych, brak transmisji danych, to są moje obawy.

— Obawy te są uzasadnione, ale po prostu my w tej chwili nie mamy innej drogi i tak będzie przez najbliższych kilka lat. Jestem jednak zdania i mówię o tym na sympozjum, że zadanie projektowe SIR ma się zakończyć do roku 1983. Ono jednak nie wyczerpuje w pełni problematyki finansowo-księgowej w aspekcie komputeryzacji.

— Mamy w kraju kilka instytutów maszyn matematycznych czy informatyki, które zatrudniają kilka tysięcy wykwalifikowanych ludzi. Mamy również ośrodki ZETO zgrupowane w Zjednoczeniu Informatyki. Zatrudniają one ok. 6 tys. fachowców-informatyków. Szczerze mówiąc, kadry te nie są, moim zdaniem, wykorzystane. Czy nie sądzi Pan Profesorze, że powinno to być właśnie naturalne zaplecze przemysłu komputerowego, między innymi pracujące na rzecz takich systemów jak SIR?

— Oczywiście. Ale u nas tak się złożyło. Mówiliśmy o anomaliiach

rozwoju informatyki w Polsce, o tym, że wykwalifikowane grupy informatyków, nawet jeżeli zajmują się zastosowaniami gospodarczymi, są zupełnie odległe od problemów rachunkowości. Oni nie znają księgowości, uważają ją za nieinteresującą dziedzinę, a pracownicy tych służb nie mogą być racjonalnie wykorzystani przy tym zadaniu. SIR w tej sytuacji muszą realizować ludzie wywodzący się ze służb finansowo-księgowych z dodatkowym przygotowaniem informatycznym.

Ponadto do realizacji SIR nie potrzeba wielkich zespołów. Przed 25 laty zostało zlikwidowane Biuro Organizacji Rachunkowości, które właściwie budowało system, w owym czasie na zasadzie przetwarzania ręcznego, istniejących do dzisiaj. Biuro to gromadziło fachowców rachunkowości z całego kraju. Miało znakomite osiągnięcia. W pewnym okresie uznano, że zadania zostały wykonane. Wobec tego biuro zostało rozwiązane, organizacja i rachunkowość zostały bez centralnego koordynatora. Tego rodzaju wyspecjalizowana instytucja, nawet w mniejszej skali, jest nam potrzebna właśnie w związku z problemami komputeryzacji.

— Panie Profesorze, jeszcze pytanie dotyczące barier prawdziwych i fikcyjnych w rozwoju SIR. Jak z tym jest?

— W moim pojęciu są dwie bariery prawdziwe i jedna fikcyjna. Dla mnie barierą prawdziwą jest bariera sprzętowa. Nie ma sprzętu minikomputerowego i mamy wątpliwości co do dużych komputerów. Jeżeli nawet przyjmemy, że mamy

duże komputery, to brak z kolei urządzeń do masowego wprowadzania danych. Druga bariera też prawdziwa, to brak nadających się do powszechnego stosowania rozwiązań systemowych i organizacyjnych. Jak powiedzieliśmy, nie ma instytucji, która centralnie zajmowałaby się tymi sprawami. To co robimy są to raczej rozwiązania rzemieślnicze w poszczególnych resortach czy branżach, w niektórych lepsze, w innych gorsze. Właśnie inicjatywa SIR ma posłużyć do przełamania tej bariery.

— I być może została by wtedy złamana trzecia bariera, obawy księgowych i służb rachunkowości.

— Tak, jeśli uda się dostosować w pełni te rozwiązania do konkretnych potrzeb zawodowych. Natomiast absolutnie fałszywą barierą jest spotykana w ostatnich latach myśl o małej efektywności zastosowań komputerów w księgowości.

— Nie ma dymu bez ognia, informatycy zbyt wiele obiecywali. Mówiono, że komputer zmniejszy zatrudnienie, tymczasem RIAD nie zmniejsza, a zwiększa. Pozostaje służba księgowo-finansowa, pojawiają się oprócz tradycyjnych — nowe zawody: programiści, operatorzy itp.

— Ale komputeryzacja przynajmniej umożliwi zahamowanie wzrostu ilościowego służb finansowo-księgowych, a o to nam przecież chodzi.

— Dziękuję za rozmowę i życzę systemowi informatycznemu rachunkowości pełnego powodzenia.

Rozmawiał:
JÓZEF ŚNIECIŃSKI

UWAGA ZAOPATRZENIOWCY !!!

Każdą ilość stoików „twist — off” z zakrętkami — (pochodzącymi ze skupu)

oferuje w IV kwartale br. i 1980 r. jednostkom państwowym, spółdzielczym i prywatnym

ZJEDNOCZENIE PRZETWÓRSTWA SUROWCÓW WTORNYCH

w Łodzi, ul. Rewolucji 1905 r., nr 44,

za pośrednictwem:

OKRĘGOWYCH PRZEDSIĘBIORSTW SUROWCÓW WTORNYCH

Ceny zgodne z obowiązującymi cennikami.

Zamówienia prosimy kierować pod adresem Zjednoczenia.

I-59

**NOWE CENY SKUPU ŻUŻYTKÓW DZIANYCH
I TKANYCH CZYSTO WEŁNIANYCH
ORAZ ŻUŻYTKÓW DZIANYCH BAWELNIANYCH
obowiązujące od 15 listopada 1979 roku**

Asortyment	Ceny skupu w zł/100 kg	
	„loco” detal. punkty skupu	„franco” placówki skupu hurtowego
Żużytki bawełniane dziane	1 400	1 900
Żużytki bawełniane tkane	120	240
Żużytki z tkanin wełnianych	10 000	11 500
Żużytki tkane wełniane (ubraniowe, sukienkowe, płaszczki bez dodatków kra- wieckich tj. guzików, ekspre- sów, podszewek)	10.000	11 500
Żużytki tkane wełniane (ubraniowe, sukienkowe, pla- szczkowe z dodatkami krawiec- kimi)	4 000	4 900
Żużytki tkane wełniane (sukno mundurowe i cywilne)	600	1 000
Żużytki tkane półwełniane (bez zanieczyszczeń)	400	600
Żużytki tkane półwełniane (zanieczyszczone)	200	350

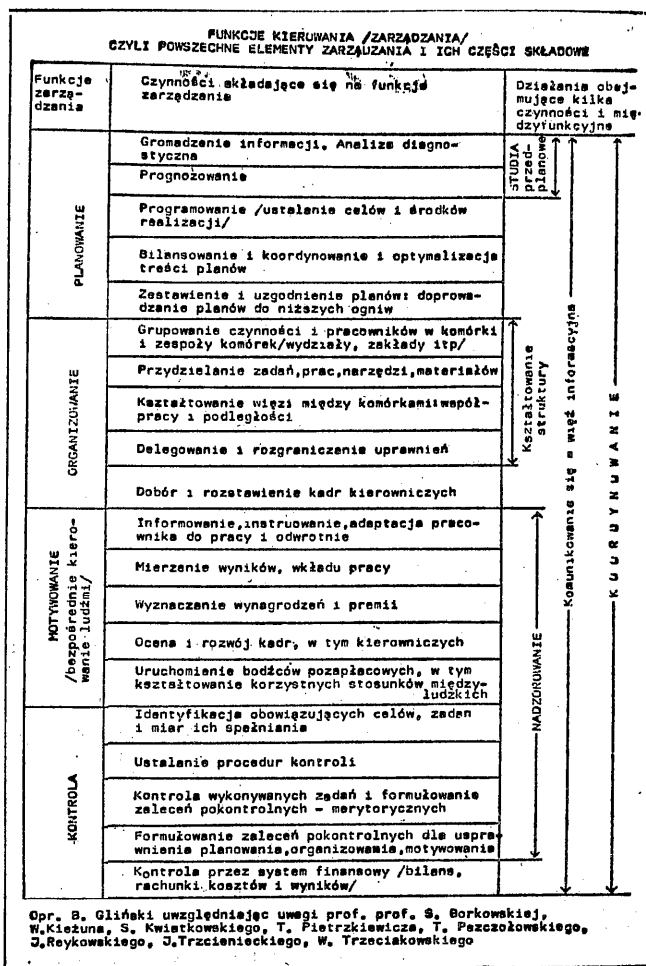
Zjednoczenie Przetwórstwa Surowców Wtórnych ŁÓDŹ

K-31

PRZECOCZENIA ZE STRONY NAUKI

BOHDAN GLIŃSKI

Temat zarządzanie ponownie stał się modny, ale z odcieniem negatywnym. Narosło wokół niego sporo żalów i pretensji; wiąże się z nim wiele narzekań i skarg. Nie jest to przypadkowe; wszyscy jesteśmy obiektem zarządzania, ponieważ funkcjonujemy w ramach dużych instytucji, często nawet bardzo dużych. Z drugiej strony wielu obywateli naszego społeczeństwa uczestniczy przynajmniej częściowo w zarządzaniu. Według danych statystycznych co szósty pracownik gospodarki jest członkiem określonego zespołu bądź aparatu kierowniczego. Niemniej jednak satysfakcji z uczestniczenia w zarządzaniu nie mamy za dużo.



silki prawie wyłącznie na drugiej funkcji zarządzania (kierowania), to jest na organizowaniu. Jest to składną zrozumiałe i wytłumaczalne. Organizowanie jest niewątpliwie najstarszą, najwcześniej uświadomioną dziedziną zarządzania. Wyeksploatowanie organizowania na początku XX wieku w praktyce najbardziej uprzemysłowionych krajów było więc w pełni uzasadnione.

W polskich warunkach do priorytetu organizacji mogła przyczynić się również sama nazwa nauki: organizacji i zarządzania. W świetle tego, co stwierdziliśmy wyżej, nie jest to nazwa szczęśliwa, ponieważ ekspozuje jedną dziedzinę z czterech.⁴⁾

Niemniej jednak dorobek czołowych specjalistów organizatorów w latach sześćdziesiątych został doceniony. Mamy na myśli naukowców tej klasy co Jan Zieleniewski, Witold Kieżun, Stanisław Kowalewski, Jerzy Kurnal, Tadeusz Pszczołowski. Ścisłe związki z polską szkołą prakseologii nadawali ich publikacjom walor oryginalności.

Jednak czołowi specjaliści zaangażowani przede wszystkim w problemy organizacji i organizowania nie zauważyli, że organizowanie to tylko część kierowania (zarządzania). Próbowali oni na podstawie wiedzy o organizacyjnej wyjaśniać cały proces zarządzania. W wyniku tego zarysowała się kolejna jednostronność w rozumieniu zarządzania; można ją nazwać organizatorską.

Motywowanie i kontrola musiały zacząć na swoją kolej. Stanowiło to istotną przyczynę wpływającą niekorzystnie nie tylko na rozwój nauk zarządzania, lecz przede wszystkim na skuteczność zarządzania w praktyce. Chodzi o to, że zarządzanie stosowane w życiu musi być pełnowymiarowe, oparte na wszystkich funkcjach. Zarządzanie np. bez wykorzystania wiedzy w dziedzinie motywowania, to działalność niepełna, to zubożone zarządzanie, a nawet może stać się niby-zarządzaniem.

Oczywiście w funkcjonowaniu systemu gospodarczego nie mogą istnieć obszary zupełnie puste. Nienależą do nich nauki zarządzania, zwłaszcza zapotrzebowanie na koncepcje motywowania i rozwijane przez ekonomistów, zarówno tych zajmujących się ogólną teorią ekonomii politycznej, jak i specjalizujących się w ekonomii przedsiębiorstwa itp. Jednak, moim zdaniem, zasilenia ze strony tych nauk były albo zbyt ogólne, albo nie korespondowały w sposób dostateczny z innymi funkcjami zarządzania, szczególnie z planowaniem i organizowaniem. W rezultacie liczne próby wprowadzenia silniej działających bodźców ekonomicznych nie kończyły się powodzeniem. Miały one miejsce kilkakrotnie, m. in. w latach 1957 — zwiększono istotnie fundusze zakładowe; 1961 — fundusz zakładowy i fundusz premialowy personelu kierowniczego uzależnione od postępów w efektywności produkcji; 1969 — punktowy system premiowania kadry kierowniczej.

STWIERDZENIE w opóźnieniu motywowania jako funkcji zarządzania wymaga komentarza ze względu na istniejący wkład pracy specjalistów zajmujących się motywowaniem, szczególnie widoczny w latach siedemdziesiątych. Rzeczywiście w ostatnim dziesięcioleciu odnotowujemy wzrost aktywności naukowej w dziedzinie motywowania. Zaczęły się pojawiać prace pisane przez psychologów. Niezależnie od tego wystąpił wzrost zainteresowania motywowaniem w głównym nurcie zarządzania. Dotyczy to na przykład dorobku S. Kowalewskiego. Jego praca „Przełożony — podwładny” poświęcona w dużym stopniu problematyce motywowania ukazała się już w 1967 r. Od tego czasu miały miejsce już cztery wydania w dużych nakładach. Jednak od pojawienia się publikacji książkowych do kształce-

nia kadr w tym kierunku, a następnie stosowania tej wiedzy w praktyce, droga jest długa.

Tymczasem bez ugruntowanej wiedzy o metodach motywowania zbyt wielu kierowników postępować i postępuje po linii najmniejszego oporu, częściowo trzymając się tradycji jeszcze z czasów przedwojennych — „ja zwierzchnik, ja rozkazuję” — chociaż tradycja ta nie jest zgodna z podstawowymi zasadami społeczeństwa socjalistycznego. Nowe postępowe metody kształtują się stopniowo, chociaż zbyt powoli na podstawie pragmatycznej zasady prób i błędów. Na tle braku ugruntowanych dobrych wzorców zbyszczysto jednak występuje postawa marnistowska — spełniamy tylko czynności wymagane i kontrolowane przez zwierzchników. W stosunku do podległych komórek i stanowisk pracy podobnie stosujemy minimum wymagań: „zrób to, za co ty jesteś wynagradzany, a my — rozliczani!”

W rezultacie ukształtował się i rozpowzecznił model tzw. dobrego i tolerancyjnego szefa, egzekwującego minimum wkładu. A jeżeli trzeba osiągnąć więcej, stosujemy ekstrabodźce płacowe, z reguły popieszczenia i bez dokładnego rachunku — z czego, ile płacimy — bądź też uciekam się do apelów o charakterze politycznym.

Skoncentrowaliśmy uwagę na mowytywowaniu jako najbardziej i najdłuższej zaniebawanej funkcji kierownictwa (zarządzania). Niemniej jednak w obrębie każdej funkcji istnieją czynności zaniebawiane bądź wykorzystywane okresowo. W planowaniu dotyczy to prognozowania i programowania. Programowanie zrobiło ci prawdziwą pewną karierę w latach siedemdziesiątych, ale przy zbyt słabym zharmonizowaniu z innymi czynnościami (fazami) planowania.

W organizowaniu nie doceniamy takich czynności jak delegowanie i rozgraniczanie uprawnień, bez czego nie może funkcjonować żadna wielka całość. Jak już stwierdził śmy wyżej, żyjemy w świecie wielkich organizacji z reguły zarządzanych przez wieloszczebelowy aparat. Tak więc, już wstępna analiza wykazuje niewykorzystanie szeregu ważnych czynności, istotnych dla prawidłowego zarządzania. Co gorsza, nie potrafiliśmy w porę zauważyć jednostronności w praktyce zarządzania i przeciwdziałać temu szkodliwemu zjawisku skutecznym. Stało się tak m. in. dlatego, że zbyt wielu specjalistów potraktowało

sprawy zarządzania zbyt wąsko, często ograniczając się do jednej funkcji. Spora część tak ukierunkowanych specjalistów próbowała sugerować, że wiedza w zakresie ich funkcji wystarczy do rozwiązania wszelkich problemów i zadań w dziedzinie zarządzania. Tym właśnie należało, moim zdaniem, tłumaczyć okoliczność, że nie umieliśmy się przeciwstawić jednostronnym poglądom w naukach zarządzania (kierowania). Oznacza to potrzebę ponownego przedyskutowania niektórych fundamentalnych problemów zarządzania. Ten artykuł można więc potraktować jako początek dyskusji.

*) Używamy podwójnej nazwy „kierowanie (zarządzanie)”, ponieważ kierownik nie odnosi się do wszelkich postaci kierowniczego oddziaływania, natomiast zarządzanie do sytuacji wyraźnej podległości z tytułu uprawnień nadanych przez władze państwowe, bądź z tytułu własności środków produkcji.

tygowania — nie ma powszechnej zgody na to, co do jej nazwy. Niektórzy sprzeciwiają się określeniu „zinczenie”, inni — bezpośrednie kierowanie ludźmi do pracy. W tym miejscu należy zaznaczyć, że w literaturze przedmiotu nie ma jednolitej definicji „zinczenia”. Wskazując na to, że „zinczenie” jest to „kierowanie ludźmi do pracy”, autorzy „Zarządzenia przedsiębiorstwem przemysłowym”, Warszawa 1973, s. 12.

*) Stale się tak pod wpływem nauki francuskiej. Francuzi przetłumaczyli termin angielski *scientific management* na *organisation scientifique*. Do nas ten termin przyszedł z Francji i przyjął się pod bardziej skomplikowaną nazwą nauki organizacji i zarządzania. Towarzystwo, które powstało przyjęło nazwę Naukowe Towarzystwo Organizacji i Kierownictwa. Prof. T. Piszczolowski, „Organizacja od dołu i od góry”, Warszawa 1978, s. 4. Wcześniej zwrócił na to uwagę K. Adamski, por.: „Twórcy naukowych podstaw organizacji”. Wybór pism, W-wa 1972, s. 427.

rentowność przedsiębiorstw wodno-kanalizacyjnych systematycznie obniża się, a niektóre województwa wykazują już deficyty, co zmusza do wspierania tych przedsiębiorstw środkami budżetowymi. Nie wystarczają już zyski osiągane przez przedsiębiorstwa ze sprzedaży wody i usług kanalizacyjnych innym niż gospodarstwa domowe odbiorcom. Straty z działalności na rzecz gospodarstw domowych wyniosły w 1979 roku ponad 3,5 mld zł. Do pokrycia strat zyskami z usług rentownych zabrakło 231 mln zł i w takiej też wysokości miała miejsce dotacja z budżetu państwa.

We własnym więc dobrze rozumianym interesie wodę należy zacząć cenić również w domach: raz — żeby ją w ogóle mieć, dwa — żeby nie trzeba było za jej produkcję i przestanie do domów dużo drożej płacić.

J. D.

orzecznictwo

**WYSOKOŚĆ
ODSZKODOWANIA
OD PZU ZA SAMOCHÓD
NABYTY PO CENIE
„KOMERCYJNEJ”**

Zbigniew S. nabył w sierpniu 1977 r. samochód marki „Skoda-105 S” w trybie sprzedaży przyspieszonej (ekspresowej) za cenę „komercyjną” 235 tys. zł. Cena takiego samochodu w trybie normalnej sprzedaży wynosiła wówczas 170 tys. zł.

Samochód ten, po przebiegu 3825 km uległ uszkodzeniu dnia 10 października 1977 r. w wypadku drogowym spowodowanym przez kierowcę Przedsiębiorstwa Transportowego Budownictwa Drogowego „T” w W.

Ponieważ szkoda Zbigniewa S. była następstwem czynu niedozwolonego pracownika wspomnianego przedsiębiorstwa, odpowiedzialność za szkodę — w ramach obowiązkowych ubezpieczeń komunikacyjnych —

Mimo iż naprawa samochodu wyniosła 88 580 zł, wartość jego po prawie nie przekraczała według biegu — 80 proc. jego pierwotnej wartości z powodu braku części zamiennej i niemożności posłużenia się nim do naprawy (również wymian karoserii).

Sąd Wojewódzki, do którego Zbigniew S. wystąpił z pozwem o odszkodowanie przeciwko Przedsiębiorstwu Transportowemu oraz PZU zasądził na jego rzecz od PZU 13 tys. zł, tj. różnicę między uiszczoną ceną nabycia samochodu, a jego wartością po uszkodzeniu (100 tys. zł).

Sąd Najwyższy rozpatrzywszy sprawę, wyrokiem z dnia 9 listopada 1978 r. nr II CR 419/78 rewizyjnie oddalił, wypowiadając następujący pogląd prawny:

Odszkodowanie powinno przywrócić w majątku poszkodowanego stan naruszony przez zdarzenie, które wyrzadziło szkodę.

Toteż, przy ustalaniu wysokości odszkodowania za samochód nabyty za urzędową cenę szczególną (komercyjną) decydujące powinny być komercyjne ceny sprzedaży z danej marki, a nie ceny ustalane przy ustalaniu odszkodowania, jeżeli nabywca nie byłby bez wycieknięcia samochodu danej marki za zwykłą cenę urzędową jest dla poszkodowanego trudno dostępne.

W uzasadnieniu swego stanowiska Sąd Najwyższy zaznaczył m.in. „(...) Powód wybrał (art. 363 § 1 art. 365 k.c.) odszkodowanie w pieniądzu. Przyznanie środków pieniężnych, umożliwiających mu nabycie nowego pojazdu, tylko wtedy mogło na by było uważać za właściwy sposób wyrównania szkody, gdyby się okazało, że w aktualnych warunkach naprawienie uszkodzonego samochodu dla napotyka trudne do przezwyciężenia przeszkody. Naprawienie szkody polega na wyrównaniu uszczerbku, zaistniałego w majątku poszkodowanego. Wynika z tego, że tylko takie przywrócenie stanu poprzedniego, w warunkach nowych powodujących

nięgo zrekomendować. Właśnie w ten sposób, w jaki wy doznana szkoda, które by doprowadziło do tego, że po dokonanej naprawie stan samochodu pod każdym względem (stan techniczny, wartość użytkowa, części zamiennne, estetyka itp.) odpowiadałaby stanowi tego pojazdu sprzed wypadku. Tymczasem sam biegły Witold B. wyjaśnił swej opinii, że w braku potrzebnych do tego części zamiennych aktualny powód nie ma możliwości wyremontowania samochodu oraz stwierdził:

- korygując początkową wypowiedź
- że i po prawidłowo wykonanej naprawie wartość tak uszkodzonego samochodu uległaby obniżeniu o 10 proc. (estetyka, stan techniczny).

Skoro tak, to mylnie rewizja zarzuca, że — nie sprawdziwszy za urzędem

w „Polmozybycie” informację, że nie ma co do niemożności nabywania nowych wozów do tego typu samochodów — przystąpił Sąd Wojewódzki do wyrokowania zanim sprawa została dostatecznie wyjaśniona. W konsekwencji, nie budzi zastrzeżeń poglądu tego Sądu, że powodowi zdola wyrównać szkodę tylko takim sama pociągając, która będzie odpowiadała wartości nowego samochodu tego typu przed wypadkiem, pomniejszonej o jego wartość po wypadku. Strona pozwana nie kwestionuje oznaczenia na 160 000 zł wartości uszkodzonego samochodu. (...)

W art. 361 § 2 proklamuje kodeks zasadę pełnego odszkodowania. Tak kim zaś jest odszkodowanie zdrowemu majątku poszkodowanego przynależne z tytułu naruszenia przez zdarzenie, które wyrządziło szkodo. Tak jakoż żony cel może być spełniony wtedy, gdy za podstawę określenia wysokości odszkodowania weźmiemy nie tylko rozdał, lecz także wielkość szkody art. 363 § 1 k.c. W wypowiedziach, że odszkodowanie należy określać według cen z daty ustalenia odszkodowania (art. 362 § 2 c.k.), brak jest jednak wyrażenia wskazówki co do tego, jakie to ceny są miarodajne dla określenia wysokości szkody. Oczywiście jest, że nie będą to ceny spekulacyjne. Jednak w okresie, dopóki popyt na nie jest samochodów jeszcze przewyższa

ich podaż, występują w obrocie dwój-
jakie ceny urzędowe detaliczne: w
sprzedaży zwykłej połączonej nie-
raz z długoletnim wyczekiwaniem
oraz wyższe od tych (szczególne) w
przyspieszonej (ekspresowej) sprze-
dazy samochodów. Nabycie samo-

DOKOŃCZENIE NA STR. 12

WODA W DOMACH

NIE mamy w cenie wody. Propagandzie (w dobrym tego słowa znaczeniu) w pewnym stopniu udało się podnieść wrażliwość obywatelską na marnotrawstwo tego surowca o skali przemysłowej. W domach indywidualni użytkownicy kranów i kurków niewiele zmienili swoje przyzwyczajenia — korzystają z wody, jak z dobra niewyczerpanego. Tymczasem nie jest to wcale marginalna ilość H_2O , jakby to mogło się wydawać z kojącego sumienia porównania zużycia wody w pojedynczym gospodarstwie domowym i byle jakiej nawet fabryce. Przyjrzyjmy się więc mało znanym, jak się wydaje, danym.

kanalizacyjne. W 1978 roku w ścień wodociągowa wyposażonych było 719 miast (na ogólną liczbę 803 miast w Polsce). Liczba obywateli korzystających z wodociągów wynosiła około 17 mln. Przedsiębiorstwa wodociągowe-kanalizacyjne sprzedają ponad 2 mld m³ ściecz. wody. Udział gospodarstw domowych (dużoności) w ogólnej sprzedaży wyniósł 54,3 proc., reszta przeznaczona została dla zakładów produkcyjnych i usługowych (przemysł, handel, usługi, urzędzenia socjalne i kulturalne). Nie ma więc mowy o marginalnych ilościach zużywanej w mieszkalniach wody.

Nie jestem zwolennikiem filozofii, że tylko odczuwalne w budżetach domowych ceny określonych dóbr u-

czą obywateli takowe cenić. Ale jest też trochę racji w poglądzie, że nie przykładamy wagi do tych dóbr, które uważamy za raz na zawsze dane przez naturę.

Z materiałów zebranych przez Departament Handlu Wewnętrznego, Gospodarki Komunalnej i Społecznej, część Ministerstwa Finansów można sądzić, iż ceny za wodę dla gospodarstw domowych ustalone w latach 1947–1948, które wynoszą od 0,18 zł do 3,00 zł za m sześć. (ściślej: maksymalnie 2 zł za 1 m sześć. wody i 1 zł za 1 m sześć. odprowadzonych ścieków), obowiązują do dziś. Tymczasem koszty przygotowania i dostarczenia wody rosną w szybkim tempie. Tylko w 1978 roku koszty

produkcji wody wzrosły o 7,3 proc. przy wzroście sprzedaży o 5,8 proc. Przy średnich wpływach 2,84 zł za m sześć. wody od tej grupy odbiorców i średnich kosztach wytwarzania wynoszących 2,69 zł za 1 m sześć. oznacza to saldo bliskie zerowego (daleko wyższa jest rentowność usług kanalizacyjnych). Zasadniczy zaś wpływ na wielkość kosztów przedsiębiorstw wodociągowo-kanalizacyjnych ma wzrost produkcji i dostaw wody do celów komunalnych (także wzrost ilości ścieków oczyszczonych). Są oczywiście i inne elementy kosztów, takie jak place czy bieżące naprawy urządzeń technicznych, które, w ostatnim zwłaszcza okresie, wpłynęły na podwyższenie ogólnych kosztów producentów wody, ale decydujące znaczenie ma to, że szybko rosnące zużycie wymaga nowych, coraz więcej obecnie kosztujących sieci wodociągowych, pomp, agregatów.

Szybszy wzrost kosztów niż wpływów ze sprzedaży wody sprawia, że

EKONOMISTA NR 4/79

DOKONCZENIE ZE STR. 11

chodu za cenę szczególną (komercyjną) przynosi kupującemu tę korzyść majątkową, że uzyskuje on możliwość korzystania z samochodu niezwłocznie po uiszczeniu ceny sprzedaży. Wynika z tego, że uszczerbku w majątku powoda — zaistniałego wskutek uszkodzenia samochodu nabytego w trybie takiej sprzedaży — nie jest w stanie wyrównać odszkodowanie odpowiadające sumie pieniężnej, umożliwiającej mu kupno innego samochodu tylko w sprzedaży zwykłej. Dlatego należy uznać, że dla ustalenia wysokości odszkodowania za samochód nabyty za urzędową cenę szczególną (komercyjną) decydujące powinny być komercyjne ceny sprzedaży z daty ustalenia odszkodowania, jeśli nabyte bez wyczerpania samochodu danej marki za zwykłą cenę urzędową jest dla poszkodowanego trudno dostępne. Odmiennej wykładni nie dałoby się pogodzić z ochroną interesów poszkodowanego, wysuniętą na pierwszy plan w przepisach art. 361—363 k.c. w konsekwencji z kompensacyjnym charakterem odszkodowania.

Z przepisów zawartych w zarządzeniu Ministra Przemysłu Maszynowego z dnia 11 lutego 1975 r. (Monitor Polski Nr 5, poz. 30 ze zm.), art. z odpowiednich postanowień Państwowej Komisji Cen wynika, że w sprzedaży zwykłej, a więc takiej, w której sprzedaż samochodu następuje w kolejności dokonanej na nią przedpłat, ustalono na samochód osobowy marki Skoda 105-S cenę detaliczną 170 000 zł. Natomiast w sprzedaży przyspieszonej (ekspresowej), tj. takiej, w której sprzedawca zobowiązuje się wydać samochód kupującemu nie później niż w terminie 7 dni od dokonania przedpłaty, umożliwiono kupno tego samochodu za 235 000 zł. Poza sporem pozostaje, że powodowi uszkodzonego samochodu nowy, nabyty za komercyjną cenę 235 000 zł. Wynika z tego, że określając dla niego odszkodowanie według tej obowiązującej także w dacie ustalenia odszkodowania ceny komercyjnej, pomniejszonej o wartość samochodu po wypadku, nie naruszył Sąd Wojewódzki przepisów art. 361—363 k.c. Pokrywa się ona zresztą — w zaokrągleniu — z wartością uszkodzonego samochodu, powiększoną o przewidywany koszt naprawy i o stopień utraty wartości nowego samochodu po prawidłowo przeprowadzonej naprawie.

Dlatego rewizję sprawy pozwanej oddalono (art. 387 k.p.c.) obciążając ją kosztami postępowania rewizyjnego na mocy art. 98 k.p.c.

nowe przepisy i zarządzenia

NOWE PRZEPISY O BHP NA MORSKICH STĄTKACH HANDLOWYCH

Z dnia 1 stycznia 1980 r. wejdzie w życie nowe rozporządzenie Ministra Handlu Zagranicznego i Gospodarki Morskiej z dnia 25 czerwca 1979 r. w sprawie bezpieczeństwa i higieny pracy na morskich stątkach handlowych (Dz.U. Nr 14, poz. 96).

Przepisy rozporządzenia dotyczą stątek: używanych do przewożenia pasażerów i ładunków, morskich stątek naukowo-badawczych, stątek rybołówstwa morskimi, stątek używanych do eksploatacji innych zasobów morskich. Nie odnoszą się natomiast do: stątek żeglugi przybrzeżnej, stątek do holowania i ratownictwa morskowego oraz stątek przeznaczonych do wydobycia mienia zatopionego w morzu.

Obszerne to rozporządzenie o 149 paragrafów składa się z 3 działów i wielu rozdziałów.

Dział 1. Przepisy wspólne — zawiera przepisy wstępne oraz przepisy wspólne, dotyczące: mechanizmów i narzędzi pracy, materiałów niebezpiecznych, transportu i sprzętu przeładunkowego, prac zaburtowych i na wysokościach, prac w warunkach szkodliwych, prac remontowych i konserwacyjnych, utrzymania stanowisk i miejsc pracy, wreszcie dróg komunikacyjnych.

Dział 2. Przepisy szczegółowe — składa się z następujących rozdziałów: 1. Dział pokładowy (trapy i drabiny, cumowanie i kotwiczenie, przeładunek), 2. Prace pokładowe, wymagania ogólne, polowy trawlowe, 3. Przetwórstwo ryb, 4. Dział maszynowy (wymagania ogólne, bunkrowanie, silowne, chłodnie, butle z gazami sprężonymi, spawanie i cięcie metalu), 5. Przepisy sanitarno-porządkowe (wymagania ogólne, zapobieganie stątkom w wodzie, usuwanie ścieków i odpadków, ogrzewanie i wentylacja, ochrona przed działaniem pola elektromagnetycznego, dezynfekcja, dezynsekcja i deratyzacja), wreszcie 6. Odzież i sprzęt ochrony osobistej.

Dział 3, zawierający przepisy przejściowe i końcowe, stanowi m. in., że teksty przepisów o bhp na wspomnianych w wstępie stątkach powinny być dostarczone przez armatorów kapitanom stątek, kierownikom działów, a także delegatom załógowym oraz społecznym inspektorom pracy w celu ich udostępnienia pozostałym członkom załogi.

Opracowała:
STANISŁAWA ZIELIŃSKA

CZWARTY w tym roku numer „Ekonomisty” przynosi szereg interesujących publikacji. M.in. Mieczysław Nasłowski w artykule zatytułowanym „Typy i tendencje wzrostu intensywności; próba modelu” stara się wykazać, że nie tylko podział na wzrost intensywny i ekstensywny ma swoje uzasadnienie teoretyczne, jak i praktyczne, ale również celowe jest wprowadzenie dodatkowego rozróżnienia na typy i tendencje wzrostu intensywnego (tzn. na tempo i charakter tego wzrostu). Trzeba tylko ustalić konsekwentnie kryteria tego podziału (temu właśnie poświęcona jest ta publikacja). Dotychczas bowiem kryteria te nie są stosowane konsekwentnie, co powoduje, że w tym zakresie panuje niejednoznaczność ocen i spora różnorodność poglądów.

Autor, na podstawie szerokiej i dogłębnej analizy, dochodzi do ogólnego wniosku, że im bardziej wzrost gospodarczy ma charakter intensywny i im silniejsza jest tendencja intensywnego wzrostu kapitałozależnego, tym większe są możliwości podniesienia płac realnych. I to nawet wówczas, kiedy z takich lub innych powodów płace realne będą musiały rosnąć wolniej od wzrostu wydajności pracy. Nie jest bowiem obojętne — stwierdza M. Nasłowski — dla tempa wzrostu płac realnych, czy tempo wzrostu wydajności pracy rośnie np. o 3 proc. lub o 6 proc. i czy wykazuje tendencję rosnącą bądź malejącą w stosunku do stopy wzrostu przeciętnego i technicznego wzrostu. W ten sposób tempo i charakter wzrostu intensywnego — pisał autor — wiąże się dość ściśle z tempem wzrostu stopy życiowej społeczeństwa, co znajduje swój wyraz głównie — choć nie wyłącznie — w przeciętnym tempie wzrostu płac realnych. Z tego punktu widzenia istnieje zarówno teoretyczne, jak i praktyczne uzasadnienie dla rozróżnienia nie tylko wzrostu intensywnego od wzrostu ekstensywnego, ale także posługiwania się różnymi typami oraz tendencjami wzrostu intensywnego.

„Dyrektynom alokacyjnym w funkcjonowaniu gospodarki planowej” poświęcona jest praca Jana Mujzela. Po rozpatrzeniu pojęć dotyczących tej klasy narzędzi, autor skupia uwagę na potrzebie i kontrowersyjnym charakterze tych dyrektyw można by złączyć lub przeciwnie. Chodzi tu o ograniczanie dyrektywności i o implikacje tego kierunku, o przewidywanie indywidualizacji, o wydłużanie horyzontu czasowego, a także o racjonalizację form tych dyrektyw.

W zakończeniu artykułu J. Mujzel stwierdza, że z dyrektywami alokacyjnymi wiąże się ważne problemu instytucjonalne centralnego kierowania. W systemie tradycyjnym generowanie tych dyrektyw — pisał J. Mujzel — skupia się w ministerstwach galeziowych, będących szczególnym rodzajem organów administracji państwowej. Jest to w gruncie rzeczy jedna z głównych funkcji tych organów. Decyduje ona m.in. o ich niezbędności i znaczeniu.

Rozwiązanie to ma szereg różnorodnych następstw. Celem stworzenia przesłanek informacyjnych i motywacyjnych generowania dyrektyw, ministerstwa zostają postawione w roli tzw. podmiotów planu centralnego. Tzn. negocjują z organami ogólnosystemowymi (w tym tzw. sztabowymi i funkcjonalnymi) resortowe wycinki NPSG, będące pakietami dyrektywnych zadań limitów i

norm, a następnie są one rozliczane z realizacją tych wskaźników. Naturalnym skutkiem powyższej procedury staje się autonomizacja ministerstw, czyli ich wyobcowywanie się z ogólnopanstwowego układu kierowniczego. Ostatnio coraz częściej i silniej podkreśla się antyefektywność charakteru tego zjawiska. Chodzi o to, że:

(1) W takich stosunkach strategię ministerstw cechuje dążenie do zapewnienia sobie maksymalnych środków eksploatacyjnych i rozwojowych. Stanowi to najsukcesowniej-szy środek realizacji wszystkich za-tonomizowanych celów resortu: bezpiecznej realizacji dyrektyw, wzrostu rangi instytucji, wychodzenia naprzeciw aspiracjom nadzorowanych organizacji. (2) Kierując się takim kryterium (interesem) i dysponując ogromną siłą przetargową ministerstwa mogą wywierać destrukcyjny wpływ na centralne decyzje alokacyjne i cały proces planowania centralnego. (3) Takie usytuowanie ministerstw, połączone z niezwykle wysokim stopniem koncentracji, blokuje wykorzystanie ich potencjału regulacyjnego w centralnym kierowaniu organizacjami gospodarczymi. Jest to tym bardziej ważne, że wkład ministerstw w tę dziedzinę jest pożądanym, bądź niezbędnym. Przykładem jest generowanie dyrektyw względnie trwałych, związanych z państwową gospodarką kadrami kierowniczymi, regulacją cenotwórczości, nadzór nad przestrzeganiem obligatorycznych zasad i wskaźników gospodarki finansowej, planu, handlu zagranicznego, obrotu wewnętrznego. Konstruktywna funkcja wymaga od nich kierowania się celami i korzyściami bądź to reprezentowanymi przez organ ogólnosystemowy, bądź też wyodrębnionymi, ale pozostającymi w pełnej harmonii z warunkami efektywności społecznej.

Niespełnianie przez ministerstwa galeziowe roli wyodrębnionego szczebla w generowaniu dyrektyw alokacyjnych względnie trwałych, wynikających z naturalnej ograniczoności organizacji gospodarczych jako ośrodków decyzyjnych oraz do-raznych wynikających z niezbilansowania gospodarki, słabości rynków i ograniczoności innej infrastruktury, wydaje się więc być zasadniczym instytucjonalnym warunkiem racjonalizacji tych dyrektyw. Ich generowanie musiałoby następować w organach ogólnosystemowych. Dyrektywy względnie trwałe, wynikające z naturalnej ograniczoności organizacji gospodarczych jako ośrodków decyzyjnych — prospektownie grupa podstawowa — z samego założenia wymagają bezpośredniego oparcia na rachunku całłościowym, tzn. umiejscowienia ich w organach ogólnosystemowych. Przekazane ministerstwu galeziowemu nie spełniałyby swoich funkcji i właściwie traciłyby rację bytu. Dyrektywy doraźne (przejsłowne) zbliżone do dominujących obecnie, to relikty niezbilansowanej gospodarki i złych rynków. „Przy założeniu sprzyjającej równowagi polityki alokacyjnej i systemowej, dyrektywy te mogą i powinny wygasnąć. Ich generowanie nie powinno wtedy przekraczać regulacyjnego potencjału organów ogólnosystemowych, w warunkach właściwej ich organizacji i konstruktywnej współdziałania ministerstw galeziowych.

Należy wyrazić przekonanie — pisał J. Mujzel — że w postępie ewolucji dyrektyw alokacyjnych, a nawet całego systemu funkcjonowania gospodarki, zarysowany powyżej

zwrot instytucjonalny jest zapewne jednym z rozwiązań kluczowych”.

Urszula Płowicz jest autorką publikacji pt. „Kierunki usprawniania funkcjonowania handlu zagranicznego Polski”.

„Jeśli uwzględnimy — pisał autorka — że mniej więcej jedna czwarta naszego dochodu narodowego jest związana z wymianą zagraniczną, że niemal wszystkie zjednoczenia przemysłu produkują na eksport i że trudno byłoby znaleźć jednostkę gospodarczą, która nie zużywałaby towarów z importu, oczywiście staje się, że wdrożenie zmian metod kierowania handlem zagranicznym oznacza konieczność zmian w funkcjonowaniu producentów towarów eksportowanych, odbiorców towarów importowanych, eksporterów oraz organów centralnych i niższych szczebli kierujących wymianą, a więc zmian funkcjonowania gospodarki w sferze wymiany z zagranicą. Zależność od importu szeregu surowców i dóbr inwestycyjnych, a także istniejące zadłużenie w wymianie z krajami o wymienialnych walutach sprawiają, że przesądzone jest ważne kierunek rozwoju naszej gospodarki: dynamicznie rozwijany musi być eksport”.

Realizacja tego zadania w latach osiemdziesiątych wymaga wprowadzenia proekspansyjnego systemu kierowania gospodarką. Główną cechą tego systemu powinno być wzmocnienie centralnego kierowania gospodarką w sferze wymiany z zagranicą, wzmocnienie skuteczności i racjonalności kierowania.

W dziedzinie planowania niezbędne jest przede wszystkim zapewnienie spójności, opartej na stosowaniu cen transakcyjnych, między planowaniem wymiany z zagranicą a planowaniem produkcji eksportowej i rozdziałem importowanych dóbr. Niezbędne jest również posługiwanie się rachunkiem ekonomicznym. Po prostu efektywność wymiany z zagranicą służyłoby także wydłużeniu horyzontu decyzji, tzw. wprowadzenie krótszego planowania dwuletniego oraz pięcioletniego.

W dziedzinie zarządzania... „Po pierwsze, przy zachowaniu dyrektywnego charakteru planu wymiany zagranicznej konieczne jest równoległe oddziaływanie na jednostki gospodarcze za pomocą nakazów i parametrów; te ostatnie powinny skłaniać jednostki gospodarcze do działania zgodnego z dyrektywami planu.

Po drugie, wśród parametrów systemu sterowania wymianą zagraniczną istniejące parametry podstawowe (ceny walut obcych i ceny transakcyjne towarów) oraz uzupełniające (normy ochrony czyli subsydia i cla oraz normy podziału). Proporcje zakresów regulowania wymiany za pomocą tych parametrów nie powinny być dowolne; za pomocą parametrów podstawowych powinna być regulowana podstawowa, przeważająca część wymiany. Parametry uzupełniające, w szczególności normy ochrony, powinny być stosowane w zasadzie tylko w sytuacjach szczególnych. Za ich pomocą powinna być regulowana ta część wymiany, która nie jest dokonywana na podstawie rachunku ekonomicznego i wymaga ochrony ze względów społecznych, obronnych, dla przyspieszenia rozwoju wybranych branż czy regionów kraju itp. Jeśli znaczna część wymiany jest regulowana za pomocą norm ochrony, oznacza to, że parametry podstawowe są niewłaściwie ustalone oraz że rachunek efektyw-

ności w danym systemie sterowania ma znaczenie drugorzędne.

Po trzecie, istotne jest, aby parametry działały w stosunku do wszystkich decydentów w sposób automatyczny, wykluczający przetargi i interwencje indywidualne. W tym celu parametry powinny być ustalane przez władzę centralną lub upoważnioną przez nią organ. Powinny one być znane decydentom ex ante, jak również powinny być znane okoliczności, w jakich może nastąpić zmiana parametrów. Jeśli chodzi o normy ochrony, zasadą powinno być stosowanie ich w zależności od faktycznych, a nie planowanych, wyników transakcji. Istotne jest, by maksymalnie ograniczyć wszelkie ewentualne przetargi co do wpływu norm ochrony na wyniki działalności producentów.

Po czwarte, zasady stosowania norm, w szczególności uzupełniających, powinny być długotrwale, natomiast poziom norm powinien być weryfikowany w miarę zmian warunków gospodarowania.

Po piąte, sterowanie za pomocą norm wymaga regulacji prawnych, których przedmiotem jest określenie norm i reguł działania jednostek gospodarczych oraz uprawnień i obowiązków organów państwowych tworzących te normy i reguły. Normy oceny, ochrony i podziału są parametrami instytucjonalnymi i władze mają prawo je zmieniać. Jednakże nieistotność czy błędność norm prawnych, ich nadmierna ilość i zmienność a także brak poszanowania prawa podważają prawowarność w sprawach gospodarczych, która jest podstawowym warunkiem prawidłowego funkcjonowania gospodarki. Przestrzeganie tego warunku, zwłaszcza przy zwiększonym zakresie stosowania parametrów, sprzyjałoby usprawnieniu funkcjonowania gospodarki.

Po szóste wreszcie, nakazy i parametry centralne powinny być kierowane do tych samych szczebli decyzyjnych. Nakazy są bowiem dyrektywami dotyczącymi alokacji zasobów, a parametry — dyrektywami regulacyjnymi. Spełnienie tego postulatu będzie nasuwało wiele trudności, ze względu na istniejące rozwiązania i nie można obecnie przesądzić, jaki szczebel decyzyjny — ministerstwa czy jednostek gospodarczych — będą adresatami tych dyrektyw”.

Znaczną część publikacji poświęca U. Płowicz kierunkom usprawniania parametrów podstawowych i uzupełniających oraz kierunkom usprawniania zachęt materiałnych.

Autorka stwierdza dalej, że równoległe oddziaływanie za pomocą nakazów i parametrów wymaga skierowania obu tych grup narzędzi na te same podmioty, którymi powinny być organizacje gospodarcze, a nie ministerstwa branżowe. Dlatego też pożądanym byłoby umocnienie centralnych organów funkcjonalnych i wprowadzenie zmian w zakresie roli ministerstw branżowych.

*

Prócz tego w omawianym numerze znajdujemy następujące pozycje: Ryszard Cheliński — „Jakościowe przemiany gospodarki Polski”, Jarosław Semkow — „O pojęciu tego co ekonomiczne”, Eugeniusz Drabowski — „Nowe interpretacje teorii pryncypu siły nabywczej”, Ewa Rumieńska — „Ewolucja planowania gospodarczego”, Lech Zacher — „Liberalna wersja socjalnego reformizmu w ujęciu R.L. Heilbrona”.

(K.S.)

z obrad Prezydium Rządu

JAK informuje rzecznik prasowy rządu, 16 bm. Prezydium Rządu rozpatrzyło sprawę wykorzystania nowej hutniczo-słarkowej linii kolejowej Hrubieszów — Huta „Katowice” również do przewozu innych ładunków w relacjach międzynarodowych i wewnątrz krajowych. Linia znajduje się w końcowym stadium budowy i będzie wkrótce oddana do wstępnej eksploatacji.

Biorąc pod uwagę, że nowo zbudowana trasa ułatwi transport towarów pomiędzy ZSRR i PRL, Prezydium Rządu zobowiązało zainteresowane resorty do efektywnego wykorzystania linii przez kierowanie tą drogą przewozu różnych importowanych i eksportowanych produktów w ramach rozwijającej się polsko-radzieckiej wymiany handlowej i kooperacji przemysłowej. Chodzi m. in. o odciążenie innych szlaków kolejowych i przejść granicznych, na których konieczny jest przeładunek towarów. Jednocześnie zalecono wykorzystywanie trasy dla wywozu ze Śląska węgla i innych wyrobów przemysłowych do województwa kieleckiego, tarnobrzskiego i zamojskiego.

Z kolei rozpatrzone aktualny stan i zadania dotyczące przewozu węgla w ostatnich tygodniach bieżącego roku. Wskazano na konieczność zwiększenia w tym okresie odbioru węgla ze Śląska, co wymaga lepszego spływu węglarek. Ustalono w tej mierze dodatkowe obowiązki dla resortów komunikacji i górnictwa oraz innych organizacji gospodarczych.

Prezydium Rządu omówiło sprawę związane z realizacją porozumienia zawartego pomiędzy Polską i ZSRR o współpracy przy budowie na terytorium Związku Radzieckiego mozyrskiego zakładu drożdży paszowych. Dzięki temu przedsięwzięciu poczynając od 1984 roku będziemy otrzymywać z ZSRR dostawy drożdży, co pozwoli na częściowe pokrycie deficytu wysokobiałkowych pasz, które sprowadzamy obecnie z krajów zachodnich.

Na posiedzeniu akceptowano projekt uchwały o rozwoju produkcji i usług w zakresie sprzętu i urządzeń pożarniczych oraz chemicznych środków gaśniczych i ogniochronnych. Zapowiada ona kontynuację — w nowym wymiarze ilościowym i jakościowym — działań podejmowanych na mocy poprzedniej uchwały rządu w tych sprawach z 1974 r. Rozwój kraju i postęp techniki, wprowadzanie nowych technologii, urządzeń i materiałów, stosowanie budownictwa wysokiego, daje w konsekwencji wzrost wartości majątku narodowego i mienia obywateli, ale rodzi nowe wymagania z punktu widzenia przeciwdziałania potencjalnym zagrożeniom pożarowym oraz działań ratowniczych. Sprawy te znalazły odbicie w przyjętym przez rząd dokumencie.

Prezydium Rządu ustosunkowało się pozytywnie do wniosku wojewody tarnobrzskiego w sprawie nadania z dniem 1 stycznia 1980 roku praw miejskich wsi Polaniec. Uzasadnia to zmianą charakteru tej miejscowości związaną z budową wielkiej elektrowni, a w przyszłości również portu węglowego na Wiśle.

nowości wydawnicze

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO EKONOMICZNE

ANDRZEJ CAŁUS — „PRAWO CYWILNE I HANDLOWE PAŃSTW OBCYCH”, s. 412, zł 66, —

Podręcznik przeznaczony dla studentów Wydziału Handlu Zagranicznego jest opracowaniem o charakterze prawnoporównawczym. Ma stworzyć możliwość ogólnego zapoznania się ze specyfiką podstawowych systemów prawnych państw kapitalistycznych regulujących zawody działalności gospodarczej.

ZYGMUNT SZELAGOWSKI — „EKO-
NOMIKA GOSPODARKI WODNEJ”, s. 228, zł 52, —

Jest to książka, z której mogą korzystać zarówno praktycy zatrudnieni w różnych działach gospodarki wodnej oraz studenci wydziałów ochrony wód, techniki sanitarniej, melioracji wodnych i budownictwa wodnego. Zasoby wodne należą do tych dóbr naturalnych, których niewłaściwe użytkowanie może limitować rozwój lub poziom efektywności produkcji niemal wszystkich gałęzi przemysłu, rolnictwa, transportu i usług. Wadliwa gospodarka wodna kraju może również wywierać negatywny wpływ na warunki sanitarne życia ludności w miastach i na wsi. Ekonomia gospodarki wodnej jest więc dziedziną wiedzy, która zalega się z wieloma ekonomikami

branżowymi i z planowaniem przestrzennym kraju. Dlatego ekonomistom zatrudnionym w różnych działach gospodarki należałoby się zalecać systematyczne zapoznanie się z tym tematem.

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

JOANNA KURCZEWSKA — „NARÓD W SOCJOLOGII I IDEOLOGII POLSKIEJ”. Analiza porównawcza wybranych koncepcji z przełomu XIX i XX wieku, s. 218, zł 48, —

Autor określa i analizuje charakter i rolę ideału narodu w polskiej socjologii i myśli społecznej końca XIX i początku XX wieku. Spośród licznych poglądów na temat narodu z przełomu XIX i XX w. autorka wybrała do analizy cztery stanowiska teoretyczne i ideologiczne powołując się na twórczość B. Limanowskiego, Z. Bałuckiego, S. Mendelsona i W. Spasowicza. Ukazała cechy wspólne i różnice w ujmowaniu tej problematyki.

„HISTORIA POZNANIA RADZIECKIEJ AZJI”. Tł. z ros., s. 698, il. + 1 tabl., zł 90, —

Autorzy, uczeni radzieccy, przedstawiają historię odkryć i badań geograficznych tej części Azji, która leży w granicach Kaukazu i na wschód od Uralu aż do Oceanu Spokojnego. Przyjęto zasadę chronologicznego przedstawiania materiałów — dwa pierwsze rozdz. po-

święcono Kaukazowi i Azji Środkowej, obszarami poznanym wcześniej, a następnie opisano historię odkrycia Syberii i radzieckiej Arktyki. Indeks nazwisk i nazw geograficznych.

WITALIS LUDWICZAK — „MIĘDZY-
NARODOWE PRAWO PRYWATNE”.

Wyd. 2, zmienione, s. 238, brosz., zł 26, —

„Nowe wydanie podręcznika jest siódmym z kolei, a trzecim od czasu gdy weszła w życie nowa ustawa z 12.XI.1965 roku. Rozmiar podręcznika został utrzymany w dotychczasowych ramach, a zmiany natury legislacyjnej, jakie się zdarzyły od chwili poprzedniego wydania są bardzo skromne. Są to w zasadzie tylko dwie nowe umowy bilateralne o obrocie prawnym zawarte przez nasze państwo (z Mongolią i Austrią) oraz zmiany i uzupełnienia w ogólnych warunkach dostaw RWPG, dokonane w 1975 roku. Zmiany w treści podręcznika wynikają z dwóch powodów. Pierwszy to wpływ, który wywarły na pewne ujęcia monograficzne, których autorzy opracowali liczne zagadnienia do tej pory w polskiej nauce międzynarodowego prawa prywatnego nie pogłębiały. Drugim powodem zmian w treści podręcznika są nowe sposób rozstrzygnięcia odczuwania prawa” (Z. Przedmowa).

JÓZEF PALIWODA — „PROBLEMY PRAWNE KOOPERACJI PRODUKCYJ-
NEJ W ROLNICTWIE”, s. 216, zł 35, —

Treść: Modele organizacyjno-prawne kooperacji produkcyjnej w rolnictwie europejskich państw socjalistycznych; Modele organizacyjno-prawne kooperacji produkcyjnej w rolnictwie w wybranych państwach kapitalistycznych Europy Zachodniej; Uczestnicy kooperacji produkcyjnej w rolnictwie polskim; Umowy o kooperacji międzysektorowej w rolnictwie polskim.

WYDAWNICTWO MORSKIE

STANISŁAW MIKOS — „WOLNE MIA-
STO GDAŃSK A LIGA NARODÓW”, 1920—1939, s. 364, 16 tabl., zł 120, —
Monografie Pomorskie

Praca napisana w układzie chronologicznym. Autor przedstawia ewolucję w stosunkach pomiędzy Gdańskiem a Ligą Narodów oraz pokazuje, jak stosunki te kształtowały się na tle układów politycznych w Europie. Praca oparta jest na materiałach archiwalnych krajowych i zagranicznych, wspomnieniach i literaturze przedmiotu. Indeks osób.

WYDAWNICTWO MON

MARIUSZ GULCZYŃSKI — „SPÓR O
PRZYSZŁOŚĆ”. Krytyka burżuazyjnych
alternatyw komunizmu. Wyd. 2, s. 600,
zł 50, —
Tytuł przeznaczony dla Klubu „Człowiek i Świat — Polityka”.

„UNIWEKSYTET MARI CURIE-SKŁODOWSKIEJ” 1944—1979 — Praca zbiorowa. Jest to zbiór rozpraw, przedstawiających działalność uniwersytetu, wydany w związku z 35 rocznicą powstania tej uczelni. Publikacja nawiązuje do poprzednich opracowań wydawanych kolejno w latach 1947, 1954, 1964 oraz 1968 poświęconych powstaniu i działalności Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Zawarte w opracowaniu normy rozprawy dzielą się na dwie grupy — w pierwszej jest mowa o działalności Uniwersytetu, w drugiej o organizacjach funkcjonujących w jej ramach. (Ze Wstępu).

PRZY OKAZJI SPISU

Opublikowany niedawno komunikat Centralnego Urzędu Statystycznego ZSRR „O wstępnych wynikach Wszelkiego Spisu Ludności w 1979 roku” dostarczył nowych informacji pozwalających na analizę demograficznych tendencji, zjawisk i problemów. Dane zamieszczone poniżej zaczerpnięto z tygodnika „Literaturnaja Gazieta”, nr 40 z 3 października.

W ciągu ostatnich dziewięciu lat, jakie minęły od poprzedniego spisu, liczba ludności Związku Radzieckiego zwiększyła się o 20,7 mln i wyniosła 262,4 mln osób. Absolutne rozmiary przyrostu są niebagatelne, równe mniej więcej liczbie mieszkańców takich krajów jak Rumunia czy Jugosławia. Istotniejsze są jednak tendencje. Oto jak kształtował się średnioroczny przyrost ludności, absolutny i procentowy, w latach siedemdziesiątych na tle lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych:

Lata	Średnioroczny przyrost w mln osób	w proc.
1951—1958	3,4	1,8
1959—1969	3,0	1,3
1970—1978	2,3	0,9

Widoczne jest wyraźne zwolnienie dynamiki przyrostu naturalnego, na który, jak wiadomo, rzutuje liczba urodzeń i liczba zgonów.

W latach pięćdziesiątych liczba urodzeń systematycznie i szybko rosła, osiągając w roku 1960 poziom 5,3 mln. Jednocześnie liczba zgonów stale spadała.

Lata sześćdziesiąte odznaczały się znacznym zmniejszeniem wielkości urodzeń — do 4,1 mln średniorocznie w okresie 1967—1969. Złożyły się na to dwie przyczyny: stosunkowo mała liczebność roczników wojennych, a z tych głównie rekrutowali się rodzice oraz spadek przeciętnej liczby dzieci w rodzinie. Równocześnie społeczeństwo zastarzało się i zaczęła rosnąć absolutna liczba zgonów.

Począwszy od 1970 roku liczba urodzeń systematycznie rosła. W wieloletniej perspektywie weszły liczne roczniki kobiet, które przyszedły na świat w latach pięćdziesiątych. W roku 1978 wielkość urodzeń wzrosła do 4,8 mln, jednakże zwiększyła się także liczba zgonów.

Zmniejszenie liczby urodzeń w latach sześćdziesiątych stanowiło jedną z przyczyn gwałtownego spadku przyrostu zasobów pracy w nadchodzącej dekadzie. Sytuacja ta poprawiła się w trzynastyletniej perspektywie (1991—1995), kiedy w wiek produkcyjny wejdą liczniejsze zastępy urodzonych w latach siedemdziesiątych. A co będzie się dziać z dynamiką przyrostu naturalnego w latach osiemdziesiątych? W wiek najwyższej płodności zacznie wstępować to samo pokolenie, które skomplikuje sytuację na rynku pracy, a więc pokolenie urodzonych w latach sześćdziesiątych, stosunkowo nieliczne. Oznacza

to, że przy zachowaniu obecnego współczynnika płodności liczba dzieci zmniejszy się. Co za tym idzie, po to, aby utrzymać przyrost liczby ludności na poziomie dekady lat siedemdziesiątych należałoby znacznie zwiększyć liczbę dzieci w rodzinie (tym bardziej, że brzywa zgonów znów pójdzie w górę). Zapobiegłoby to powstaniu nowej „fali” demograficznej, tzn. wyraźnych różnic w liczebności sąsiednich grup wiekowych. Fale te wpłynęły negatywnie zarówno na same procesy demograficzne (tworzą się np. dysproporcje w liczbie kawalerów i panien), jak i na procesy gospodarcze (gwałtowne wahania w przyrostach zasobów pracy).

Z punktu widzenia demografa należałoby mówić nie tyle o przyroście ludności, co o jej reprodukcji, czyli o procesie zastępowania pokolenia rodziców przez pokolenie dzieci. Dla takiej analizy brakuje na razie pełnych podstaw, jako że nie opublikowano jeszcze danych o strukturalnej płci. Jak jednak wynika z informacji zawartych w najnowszym roczniku demograficznym, współczynnik reprodukcji netto wynosił w ZSRR w latach 1975—1976 1,10 wobec 1,13 w latach 1969—1970 i 1,26 w okresie 1958—1959. Utrzymanie na dłuższą metę tego współczynnika na poziomie 1,10 pisał „Literaturnaja Gazieta” oznaczałoby, że ludność kraju wzrosłaby o 10 proc. w ciągu jednego pokolenia, czyli w ciągu 28—30 lat. Jedyna droga prowadząca do poprawy współczynnika reprodukcji wiedzie poprzez aktywną politykę pro-natalistyczną.

Radziecki tygodnik wspomina, że o jednym z narzędzi „efektywnej polityki demograficznej” była mowa w referacie KC KPZR na XXV Zjazd partii — mianowicie o wprowadzeniu przedłużonego, częściowo płatnego urlopu macierzyńskiego, do osiągnięcia przez dziecko 1 roku życia. Autor artykułu W. Pierwiedienec stwierdza, że skuteczność tego instrumentu zależy będzie od rozmiarów owych świadczeń materialnych i dodaje, że pilnie potrzebne są także inne formy popierania rozrodczości, czego dowodzą jasno również wyniki spisu.

Geografia ludności

Od dłuższego już czasu poszczególne republiki Związku charakteryzują się bardzo zróżnicowanym tempem przyrostu naturalnego. W latach siedemdziesiątych ludność Federacji Rosyjskiej, Ukrainy i Białorusi wzrosła o 6 proc., Gruzji i Łotwy — o 7 proc., Estonii — o 8 proc., Litwy — o 9 proc. Przyrost liczby ludności Mołdawii wyniósł 11 proc., Kazachstanu — 13 proc. I wreszcie sześć republik o najwyższym przyroście to: Azerbejdżan — 18 proc., Kirgizja — 20 proc., Armenia — 22 proc., Turkmenia — 28 proc., Uzbekistan — 30 proc. i Tadżykistan — 31 proc.

Gdyby nie migracje między republikami różnice powyższych wskaźników byłyby jeszcze wyższe. Np. w Estonii i na Łotwie większość przyrostu wynika z przepływu z innych republik, podczas gdy np. w Azerbejdżanie zanotowano odpływ ludności. W sumie wyraźnie wzrósł udział republik południowych w ogólnej liczbie ludności Związku Radzieckiego. Ludność sześciu wymienionych wyżej republik o najwyższej dynamice przyrostu naturalnego zwiększyła się z 27,4 do 34,5 mln, czyli o 7,1 mln (przeszło trzecia część całego przyrostu w kraju). Ich udział w liczbie ludności ZSRR wzrósł z 11,3 proc. w 1970 roku do 13,2 proc. w roku bieżącym.

Na republikę tę, zwłaszcza republikę Azji Środkowej, przypada coraz większa część przyrostu zasobów pracy. Jednakże ludność tych republik odznacza się niewielką ruchliwością. Tutejsi wieśniacy stosunkowo rzadko przenoszą się do miast, mieszkańcy miast są mniej skłonni, niż ludność miejska innych rejonów ZSRR do zmiany miejsca zamieszkania. Udział ludności miejskiej w globalnej liczbie ludności republik środkowoazjatyckiej rośnie bardzo powoli, a w Tadżykistanie w ciągu ostatnich dziewięciu lat nawet spadł.

Mała ruchliwość tej ludności sprawia, że większość tutejszego przyrostu zasobów pracy powinna być zatrudniona na miejscu. Dobrze się składa, że tereny te należą do najbardziej gęstych w kraju z punktu widzenia zasobów naturalnych. Stwarza to warunki dla przyspieszenia tempa rozwoju gospodarczego radzieckiej Azji Środkowej. Szybko postępują procesy nawadniania ziem, buduje się duże elektrownie wodne, takie jak np. Hydroelektrownia Nurecka, stanowiąca rdzeń Południowo-Tadżyckiego Kompleksu Terytorialno-Produkcyjnego. Niezbędny jest rozwój na tych terenach pracochłonnych gałęzi przemysłu, takich jak przemysł lekki, spożywczy, narzędziowy. Industrializacja prowadziła by do urbanizacji, ta zaś zdaniem wielu radzieckich ekonomistów i demografów byłaby przesłanką zwiększenia ruchliwości społecznej ludności republik środkowoazjatyckich. Wykwalifikowani mieszkańcy miast są bowiem z reguły bardziej, niż wieśniacy, skłonni do zmiany miejsca zamieszkania, łatwiej adaptują się do nowych warunków.

Miasto — wieś

W latach siedemdziesiątych liczba ludności miejskiej wzrosła w Związku Radzieckim ze 136 do 163,6 mln, zaś wiejskiej, spadła ze 105,7 mln do 98,8 mln. Obecnie w miastach żyje 62 proc. ludności ZSRR; dziewięć lat temu wskaźnik ten wynosił 56 proc.

Republiki o najwyższym stopniu urbanizacji to: Estonia — 70 proc. ludności mieszka w miastach, Rosja

— 69 proc., Łotwa — 68 proc., Armenia — 66 proc. Republiki najmniej zurbanizowane to Tadżykistan — 35 proc., Kirgizja i Mołdawia — po 39 proc.

Jak wynika ze wspomnianych wyżej danych, w minionych dziewięciu latach liczba ludności wiejskiej zmalała o 6,9 mln, podczas gdy w ciągu jedenastu lat, między rokiem 1959 i 1970 ubytek ten wyniósł tylko 3,1 mln. Najwięcej ludzi, w wielkościach absolutnych, ubyło ze wsi rosyjskiej — 6,7 mln. Z drugiej strony na wsiach Tadżykistanu żyje dziś o 38 proc. a na wsi turkmeńskiej o 28 proc. ludzi więcej niż na początku obecnej dekady.

Jak pisał „Literaturnaja Gazieta”, kłopot nie w tym, wbrew obiegowym opiniom, że ze wsi odchodzi zbyt wielu ludzi, lecz w tym, że odchodzą zwykłe z rejonów o deficycie siły roboczej w rolnictwie. Pozostają natomiast często tam, gdzie można mówić nawet o przeludnieniu wsi. Dotychczasowe próby zmiany tego stanu rzeczy nie przyniosły wyraźnych rezultatów.

Z ostatniego opisu wynika także, że po raz pierwszy w historii kraju absolutny przyrost ludności dużych miast (przeszło 100-tysięcznych) był wyższy niż przyrost liczby ludności. W momencie sporządzania spisu w dużych miastach żyło 96,6 mln osób, o 21 mln więcej niż w roku 1970 (przypomnijmy, że ludność całego ZSRR zwiększyła się w tym czasie o 20,7 mln).

W roku 1970 w Związku Radzieckim istniało 222 miast liczących więcej niż 100 tysięcy mieszkańców. W ciągu minionych dziewięciu lat przybyło 50 takich miast. Najszybciej rozwijały się ośrodki o liczbie mieszkańców 200—300 tysięcy, choć w wyrażeniu absolutnym największą liczbą przybyło miastom największym.

Liczba miast „milionerów” wzrosła z 10 do 18 — dołączyły do tego grona: Mińsk, Dniepropietrowsk, Tbilisi, Odessa, Czelabińsk, Donieck, Erewan, Omsk. Od chwili zakończenia spisu doślusowały jeszcze dwa miasta: Kazań i Perm.

Informacja na temat procesu urbanizacji w ZSRR byłaby niekompletna, gdyby nie dostrzec tego, że w ostatnich latach niezwykle szybko rozwijały się dwa ośrodki związane z realizacją dwóch wielkich projektów inwestycyjnych: Wołżańskiej Fabryki Samochodów w Togliatti i Kamaza. W okresie 1970—1979 ludność Togliatti wzrosła z 251 do 502 tysięcy, zaś Nabierieżnyj Cziem — z 38 do 301 tysięcy.

Komentarze prasy radzieckiej na temat wstępnych wyników spisu zwracają uwagę, że jego wyniki potwierdziły niepomysłne tendencje w sytuacji demograficznej kraju, tendencje, o których była mowa na XXV Zjeździe radzieckiej partii.

A.L.



Fot. J. CZERNIAK

AEROBUS ANTE PORTAS

FRANCISZEK KRZYSZTOFIK

DWA lata temu podpisano porozumienie między rządami Polski i Związku Radzieckiego w sprawie współpracy kooperacyjnej przemysłów lotniczych obu państw. Przewidywano w nim, że: „Polska w latach 1977—1980 uruchomi na podstawie dokumentacji radzieckiej produkcję i zapewni dostawę do ZSRR zespołów i agregatów do samolotów komunikacyjnych IL-86 klasy aerobus. W zamian, w czasie trwania porozumienia, ZSRR zapewni dostawę do Polski samolotów IL-86 i innych wyrobów techniki lotniczej”. W rok później podpisano w Warszawie kolejne porozumienie w sprawie podjęcia w Polsce produkcji samolotów pasażerskich do lokalnej komunikacji, An-28.

I oto 15 listopada, a więc niezwykle szybko, zanim dokumenty zdążyły się zastarzać, obie maszyny można było zobaczyć na warszawskim lotnisku Okęcie. Przedstawimy je w kilku zdaniach.

Aerobus IL-86 jest praktycznym odzwierciedleniem tezy, że przy współczesnych przewozach powietrznych powinno się wreszcie zrezygnować z uciążliwego dla podróżujących osób ceremoniału: oddzielenie pasażerów — oddzielenie bagaża — oczekiwanie na walizkę i długie jej odszukiwanie. Podróż samolotem powinna być, że użyję słów generalnego konstruktora aerobusu, G. Nowozyłowa, „zbliżona do jazdy szybkim międzymiastowym autobusem — pasażer kupuje bilet, wsiada na dworcu, zabierając swój bagaż, po dotarciu do celu nie jest kłopotliwym dodatkowym czynnościom”. Idea taka przywieca przewoźnikom powietrznym na całym świecie, a odpowiedź na ich zapotrzebowanie są właśnie aerobusy, wielkie autobusy powietrzne.

IL-86 to samolot mogący przewozić na swoim pokładzie 350 pasażerów na odległość 5 800 km, ze średnią prędkością 900—950 km/godz. O jego wielkości niech świadczyć następujące dane techniczne: maksymalny ciężar startowy 206 ton, rozpiętość skrzydeł 48 m, długość 59 m, wysokość 15 m, cztery silniki turboodrzutowe pod skrzydłami po 13 tys. kg ciągu. Jednym słowem — latający słoń. W chwili obecnej znajduje się w ostatniej fazie prób państwowych w ZSRR. Latają już cztery prototypy, z których pierwszy wykonał już 585 lotów. Jest, jak zapewniają konstruktorzy, maszyną wyjątkowo bezpieczną. Wszelkie układy decydujące o bezpieczeństwie lotu są wielokrotnie. Samolot wyposażony jest np. w potrójny system sterowania i 4-krotne układy hermetycznej klimatyzacji.

Polska — jako że nasze Zjednoczenie Przemysłu Lotniczego i Silnikowego „PZL” bierze udział w produkcji aerobusu, wytwarzając takie zespoły jak usterzenie (czyli, popularnie mówiąc, „ogon” samolotu), mechanizmy skrzydła i podwieszenia silników — będzie krajem, do którego trafi pierwszy IL-86 przeznaczony na eksport. Jak się przewiduje, pierwszy aerobus w barwach PLL „Lot” będzie latał już w roku 1981.

Jak miniatura wygląda przy aerobusie An-28. Zabiera on na pokład zaledwie 17 pasażerów i przeznaczony jest do komunikacji lokalnej. W związku z takim zastosowaniem tę dwusilnikową maszynę skonstruowano tak aby mogła startować z małych lotnisk trawiastych, pozbawionych betonowych pasów. Przy zasięgu 1300 km rozwija prędkość 300—350 km/h. An-28 ma zastąpić popularnego „Antka” (An-2) w ZSRR na trasach krótkich, a w naszym kraju, gdzie będzie produkowany, stanowić podstawę lotniczej ko-

munikacji międzywojewódzkiej. O tym, jak bardzo potrzebna jest nam tego typu maszyna, niech świadczy choćby fakt, że „Antki” w Związku Radzieckim wykonują 40 proc. przewozów pasażerskich, a ta forma podróży jest znacznie powszechniejsza niż w naszym kraju. U nas, na razie, samolot nie może skutecznie rywalizować z koleją, już przynajmniej z tego powodu, że sieć krajowych połączeń lotniczych jest rzadka, brakuje lotnisk i taboru. An-28 ma wszelkie szanse po temu, aby zapewnić połączenia lotnicze nawet z niewielkimi miasteczkami. Wszelkoność tej maszyny (np. fotele pasażerskie składają się ku ścianom, tworząc obszerne pomieszczenie ładunkowe) i jej walory pilotażowe (niezwykłe krótki rozbieg przy starcie, zwrotność) mialem okazję stwierdzić podczas pokazów zorganizowanych na Okęcie. Przewiduje się, że WSK Mielec będzie produkowała około 200 maszyn tego typu rocznie, z przeznaczeniem dla kraju i odbiorcy radzieckiego.

W ramach prezentacji na ziemi i w powietrzu osiągnięć rodzimego przemysłu lotniczego i efektów jego współpracy z przemysłem lotniczym ZSRR, imprezy zorganizowanej przez Zjednoczenie Przemysłu Lotniczego i Silnikowego „PZL” oraz Centralny Zarząd Lotnictwa Cywilnego, przedstawiono całą gamę produkowanych maszyn. Począwszy od An-2, kończąc na zgrabnych małych samolotach PZL-110 „Koliber”, od konstrukcji własnych po ostatnie nabytki licencyjne. Jest czym się pochwalić.

Jesteśmy obecnie znanym w świecie producentem śmigłowców, samolotów lekkich i szybowców. Z ich zbytem najczęściej nie ma kłopotów (mowa oczywiście o sprzedaży na eksport, krajowi odbiorcy — aerokluby — traktowani są, niestety, po macoszemu), nasze maszyny znane są na Wschodzie i Zachodzie. Co nas skłoniło do tego, aby podjąć kooperację w produkcji pasażerskich olbrzymów? Czy tylko możliwość późniejszego zakupu ich dla PLL „Lot”? Na to pytanie odpowiedział minister przemysłu maszynowego Aleksander Kopeć podczas konferencji prasowej na pokładzie IL-86. Chcąc zrobić dobre samoloty małe, musimy opanować technologie stosowane w budowie dużych — tak można najkrócej przedstawić myśl przewodnią jego wypowiedzi. Dla wyprodukowania elementów dostarczanych radzieckiemu partnerowi musieliśmy opanować 80 nowych technologii, m. in. obróbkę tytanu, klejenia metali, przetwarzania laminatów. Wszelkie doświadczenia, jakie zdobyli polscy inżynierowie i technicy, będą procentowały w ich własnych rozwiązaniach konstrukcyjnych. Koszty poniesione na know-how, choć niebagatelne, pozwoliły na zapewnienie polskiemu przemysłowi lotniczemu stabilnego rozwoju na przynajmniej dziesięć lat. A to się bardzo liczy w sytuacji na rynku światowym, gdy znane, z bogatymi tradycjami, firmy zachodnie borykają się z poważnymi kłopotami.

Tyle na temat krzepiącego serce pokazu sprzętu i umiejętności ludzi zasiedlających za sterami. Będąc pełen nieklamanej podziwu dla dorobku polskiego przemysłu lotniczego i owocnej jego współpracy z doświadczonymi partnerami, zastanawiam się jedynie, co się będzie działo na warszawskim Okęcie, czy w Gdańsku — Rębiechowie, gdy zawitają tam 350-osobowe aerobusy? Nie ulega wątpliwości — będzie ciasno!

z krajów socjalistycznych

WYROBY Z „CZEPEL”

Węgierski kombinat metalurgiczny i budowy maszyn w Czepele dostarcza wyroby do 60 krajów. Połowa eksportu przypada na kraje RWPG, wśród nich największym odbiorcą jest Związek Radziecki. W wielu radzieckich fabrykach pracują obrabiarzy skrawające z tego zakładu. Do ZSRR trafiają też obrabiarzy ze sterowaniem automatycznym, oryginalne prasy, półautomaty do wulkanizacji wyrobów gumowych, maszyny do szycia i rowery. Z Czepele pochodzą także różnego rodzaju elektrody i rury. Wszystkie wyroby są najwyższej jakości. W czepelejskich zakładach dynamicznie rozwija się ruch racjonalizatorski; co roku przynosi on około 100 mln forintów oszczędności.

SZLAKI „TAROMU”

Rumuńskie linie lotnicze „Tarom” mają regularne połączenia z 37 miastami Europy, Afryki, Azji i Ameryki. Dobrą opinią cieszą się samoloty radzieckie eksploatowane na tych liniach — TU-154, AN-24, IL-62. Oprócz trzech międzynarodowych portów lotniczych: w Bukareszcie, Konstancji i Aradzie, będzie czynny wkrótce kolejny w Timiszoarze.

755 MLN PAR BUTÓW

W bieżącym roku radziecki przemysł obuwiczny wyprodukuje 755 mln par obuwia, o 15 mln więcej niż w roku ubiegłym. Dużą wagę przywiązuje się do jakości i zwiększenia asortymentu. W ostatnich latach oprócz centralnego biura wzornictwa zorganizowano 11 specjalnych wzorcowni, m. in. w Taszkencie, Alma-Atie, Tbilisi, Leningradzie, Czelabińsku, Nowosybirsku i Rostowie nad Donem. Ich zadaniem jest wprowadzenie na rynek nowych, modnych fasonów oraz kontraktów z zakładami produkcyjnymi. Co roku odnawia się około 60 proc. produkcji. Stałemu podwyższaniu jakości wytwarzanego obuwia sprzyja modernizacja zakładów przemysłowych. W

ciągu ostatnich trzech lat powstało 8 tysięcy jednostek wyposażonych w nowoczesne urządzenia, zamontowano 70 nowych linii produkcyjnych. Wydajność pracy wzrosła w tym czasie o 15 proc.

ZAGOSPODAROWANIE CHALCHIN-GOLA

Mongolscy specjaliści we współpracy z radzieckimi zakończyli opracowywanie pierwszej części generalnego programu zagospodarowania rolniczego wschodniej części Mongolii Chalchin-Gola. Program przewiduje, że na stepach przylegających do legendarnej rzeki powstaną cztery wielkie koczowiska zajmujące się hodowlą. W opracowaniu projektu brało udział 11 ministerstw i instytucji naukowo-badawczych. Na milionach hektarów przeprowadzono prace geodezyjne, hydrologiczne, geologiczne itp., które potwierdziły, że na terenach tych można osiągnąć wysokie plony pszenicy, psaz i owoców. Przewiduje się budowę tysięcy studni artezyjskich i urządzeń nawadniających zagospodarowywane tereny.

WĘGIERSKO-AUSTRIACKIE KONTAKTY GOSPODARZCZE

Wartość węgiersko-austriackich obrotów handlowych wyniosła w ubiegłym roku 587 mln dolarów, podczas gdy w 1969 r. — zaledwie 100 mln dolarów. W I półroczu 1979 r. w obrotach, których wartość przekroczyła 352 mln dolarów, udział węgierskiego eksportu zwiększył się o 22 proc., a importu — o 11 proc. w porównaniu z rokiem ubiegłym. W wyniku rozwoju stosunków gospodarczych w latach siedemdziesiątych Austria stała się drugim pod względem znaczenia partnerem Węgier wśród krajów zajmujących drugie miejsce w handlu Austrii z krajami RWPG. W ostatnich latach w obrotach węgiersko-austriackich, a zwa-

ższa w węgierskim eksporcie, nieustannie rośnie udział towarów powszechnego użytku i wyrobów przemysłu maszynowego.

STOŁÓWKI W CSRS

Ze stołówek i bufetów zakładów pracy korzysta obecnie w CSRS 2 mln osób, co stanowi niemal 40 proc. wszystkich zatrudnionych. Ilość pracowników, którym zapewniono ciepłe posiłki, zwiększyła się w ostatnich pięciu latach ponad dwukrotnie. Do roku 1990 sieć zakładowych punktów żywienia zbiorowego ma objąć 75 proc. wszystkich zatrudnionych.

260 MLN TON WĘGLA BRUNATNEGO

NRD wydobywa rocznie ok. 260 mln ton węgla brunatnego. Nowoczesne urządzenia pozwalają na szybsze niż kiedyś wydobywanie tego surowca. 80 proc. energii elektrycznej produkującej się w NRD dzięki węglowi brunatnemu. Jego produkcja pozwala pokryć 60 proc. zapotrzebowania kraju na energię. Warunki wydobywania tego cennego surowca stają się coraz bardziej skomplikowane, podciągając za sobą coraz wyższe koszty. Mimo wszystko jest to jednak najtańszy nośnik energii, jakim dysponuje przemysł NRD. Podczas gdy ceny ropy od roku 1971 wzrosły dziesięciokrotnie, nakłady na przemysł wydobywczy węgla brunatnego zwiększyły się tylko dwukrotnie. Kopalnie odkrywkowe dają jeszcze stanowić będą dla NRD podstawowe źródło uzyskiwania surowca energetycznego.

RUMUNIA A KRAJE SOCJALISTYCZNE

Od początku 1975 roku do końca III kwartału 1979 r. wzrost obrotów handlowych Rumunii z krajami socjalistycznymi przekroczył 70 proc. Oczekuje się, że do końca 1980 roku wielkość wymiany towarowej Rumunii z tymi państwami

podwoi się w porównaniu z poprzednią pięcioletnią. We wspomnianym okresie Rumunia zawarła z krajami socjalistycznymi 50 porozumień międzyrządowych w dziedzinie współpracy gospodarczej i technicznej. Udział krajów socjalistycznych w globalnej wymianie towarowej Rumunii z zagranicą wynosił w chwili obecnej prawie 47 proc. W okresie 1971—1978 wymiana handlowa ze Związkiem Radzieckim wzrosła o 16 proc. (w 1978 roku jej wartość wynosiła prawie 12 990 mln litów dewizowych), z NRD — o 7,2 proc., z Czechosłowacją — o 5,2 proc., z ChRL — o 4,7 proc. itd.

ROZWÓJ HODOWLI NA WĘGRZACH

W latach 1976—79 średni udój mleka z jednej krowy zwiększył się z 2443 do 3187 litrów. Produkcja mleka pod koniec 1978 r. osiągnęła poziom zaplanowany na rok 1980, a średnie spożycie mleka na jednego mieszkańca WRL przekroczyło w br. 150 kg w porównaniu ze 110 kg w 1976 r. Poglówie krów w 1977 r. wzrosło o 15 tys. sztuk, a w 1978 r. — o 7 tys. Zużycie pasz na produkcję litra mleka wyniosło w 1977 r. — 516 gramów, a w br. — 416 gramów. Mimo iż pogłowie bydła rzeźnego w ostatnich trzech latach zwiększyło się o 14 tys. sztuk (pod koniec I półrocza br. wyniosło 2043 tys. sztuk), produkcja mięsa jest niższa od planowanej. Dzieje się tak dlatego, że w ostatnim czasie wielkie gospodarstwa główną uwagę poświęcają polepszeniu jakości bydła zarodowego, a nie zwiększeniu pogłównia. Pierwszeństwo mają rasy, których hodowla jest najbardziej opłacalna i umożliwia wykorzystywanie tanich pasz. Pod względem eksportu wołowiny Węgry zajmują jedno z przodujących miejsc na świecie: na ten kraj przypada 6 proc. światowego eksportu wołowiny.



Fot. S. ZUBCZEWSKI

REMANENTY WARSZAWSKO- WIEDŃSKIE

ANDRZEJ LUBOWSKI

W stercie materiałów statystycznych, jakimi Federalna Izba Gospodarcza Austrii obdzieliła grupkę polskich dziennikarzy znalazła się tablica, na której nasz kraj plasuje się między Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi. Rodaków skłonnych do narodowej megalomanii otrzeźwia tytuł tabeli. Dotyczy ona mianowicie głównych kierunków eksportu Austrii. Znacznie, niestety, niższą pozycję zajmujemy wśród dostawców towarów na rynek austriacki.

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych handel między naszymi krajami росł bardzo szybko, średniorocznie o około 35 procent. Tyle tylko, że strumienie polskiego importu płynęły o wiele przed, niż eksportu. I choć w ostatnich dwóch latach import został przyhamowany, to i tak skumulowany deficyt w okresie 1976-1978 wyniósł blisko 1,2 miliarda dolarów. Jeszcze w ubiegłym roku rachunek za nasz import z Austrii był prawie trzykrotnie wyższy od wpływów eksportowych.

Nie dostarcza specjalnych powodów do radości także analiza struktury towarowej wzajemnej wymiany. Dane za zeszły rok pokazują, że 40 proc. naszego eksportu przypadło na paliwa i energię (głównie węgiel i koks), a tylko 12,4 proc. na wyroby przemysłu elektromaszynowego. Tymczasem wyroby tego przemysłu stanowiły aż 44 proc. importu. Przeliczając te wskaźniki na pieniądze, okazuje się, że kupowaliśmy 11-krotnie więcej wyrobów przemysłu elektromaszynowego niż sprzedawaliśmy.

Gdzie szukać przyczyn dość anachronicznej struktury naszego eksportu do Austrii? Czy jest nią niewystarczający, jak na wymagania tamtejszego rynku, poziom techniczny naszego przemysłu, czy zbyt anemiczne wysiłki akwizycyjne, niedostateczna ofensywność w walce o klienta, nieterminowość dostaw i kiepski serwis? Zarzuty tego typu wobec naszych producentów i handlowców trudno byłoby uznać za wyssane z palca. Ale kłóciłyby się z prawdą i byłoby wręcz masochizmem, gdyby wina za taką a nie inną strukturę wymiany obciążać tylko stronę polską.

Austria jest, jak wiadomo, członkiem EFTA — w handlu wyrobami przemysłowymi wewnątrz tego ugrupowania cła zniesiono. Na mocy porozumienia EFTA-EWG również w obrocie towarami przemysłowymi z „dziewiątką” cło nie obowiązuje. Austriacy przyznali także znaczne preferencje celne krajom rozwijającym się. W rezultacie Polska znalazła się w nielicznym gronie państw członkowskich GATT, z któ-

rych przywóz władze austriackie obciążają pełną stawką celną. Rzecz jasna obniża to konkurencyjność naszych ofert, stawia nas w mocno niekorzystnej sytuacji, zwłaszcza w konfrontacji z potencjalnymi dostawcami zachodnioeuropejskimi. Trudno się np. dziwić, że fabryka w Opocznie ma mizerne szanse sprzedaży Austriakom płytek ceramicznych skoro cło na import naszej glazury przekracza 30 proc., a w przypadku włoskiej stawka celną wynosi zero. Nie bez powodu narzekamy na własną biurokrację, ale długa i skomplikowana procedura uzyskiwania pozwoleń importowych odebrała niejednej firmie austriackiej ochotę na zakupy w Polsce. Jest to nie innego jak przeniesienie restrykcji importowych w inny kanał. Sporo na te tematy mogłoby powiedzieć np. nasz ELEKTRIM, który znalazł chętnych i próbował sprzedawać polskie silniczki małej mocy. W przypadku tzw. towarów wrażliwych (są nimi np. rozmaite artykuły gospodarstwa domowego) cło wynosi 20-25 a bywa, że i więcej procent. Takie bariery ciężko przekraczać.

Austriacy powiadają, że cła, o których wyżej mowa, dotyczą tylko niewielkiej części polskiego eksportu, o czym najlepiej świadczy rzut oka na jego strukturę. Zdaniem naszych handlowców jest to argument, delikatnie mówiąc, przewrotny. Nasi twierdzą bowiem, że gdyby nie te cła i uciążliwa procedura wizowania faktur, struktura polskiego eksportu wyglądałaby inaczej. Nie ulega niestety wątpliwości, że byłbyśmy zainteresowani zawarciem umowy o znieszeniu przeszkód celnych, na wzór porozumienia zawartego wiosną ubiegłego roku z Finlandią.

Zważywszy możliwości obu stron nie będzie przesadą w twierdzeniu, że wciąż w powijakach znajduje się kooperacja przemysłowa. Pytanie, wcale nie śmieszne, co pod tym pojęciem rozumiemy. W niejednym bowiem przypadku oferty kooperacyjne zgłaszane nam przez Austriaków są faktycznie propozycjami dostaw do Polski. Dziś funkcjonuje kilkanaście porozumień kooperacyjnych, z których największa to kontrakt licencyjno-kooperacyjny Pol-Motu z firmą Steyr-Daimler-Puch sprzed czterech lat na produkcję samochodów ciężarowych i 12-cylindrowych silników wysokoprężnych. Realizacja tego kontraktu, nie bez naszej pomocy, wina, odbiega nieco od harmonogramu, co wynika głównie z opóźnień inwestycji w Jelezańskich Zakładach Samochodowych.

Bez komplikacji współpracują producenci maszyn górniczych obu krajów. Kopex podpisał przed dwoma laty umowę licencyjną z Voest-Alpine na produkcję kombajnu górniczego AM-50. W bieżącym roku kombajn te montować będziemy w Polsce z części wykonanych w Polsce, zaś po roku 1981 Kopex ma uzyskać całość dokumentacji i pełne prawa produkcyjne. W kopalni „Piast” przechodzi obecnie próby kombajnu węglowego typu AM-100. W kopalni „Siersza” natomiast sprawdza się współdziałanie austriackich urzą-

dzeń górniczych z maszynami polskimi. Jeśli te przyzwyczajenia wypadną pomyślnie, otwieraliby się szanse wspólnego działania w innych krajach.

Współpraca na rynkach trzecich to zresztą dziedzina, w której Polacy i Austriacy mają już pewne doświadczenia i sukcesy. Np. Polimex-Cekop współdziałał z Voest-Alpine przy budowie rafinerii ropy naftowej w Kamerunie. Zarówno w Warszawie, jak i w Linzu, siedzibie władz Voest-Alpine, poważnie rozważa się możliwość kooperacji przy budowie kompletnych obiektów chemicznych, energetycznych czy hutniczych.

Poszukiwania dróg urozmaicenia polskiej oferty nie oznaczają rezygnacji z dotychczasowych dziedzin współpracy. Węgiel pozostanie zapewne w najbliższej przyszłości, jedną z głównych, jeśli nie pierwszą pozycją na liście naszego eksportu do Austrii. Porozumienie na dostawę polskiego węgla dla elektrowni austriackich, przez okres 20 lat po ok. 1,2 mln ton rocznie byłoby powiązane z kredytem finansowym na rozbudowę naszej bazy wydobywczej.

Kłopoty, jakie wiążą się z transportem tego węgla na południe, zrodziły ideę budowy rurociągu węglowego. Biegiły on trasą Rybnik-Ostrawa-Linz, z ewentualnym przedłużeniem do innych krajów, odbiorców naszego węgla, a więc do Włoch lub południowych rejonów RFN. Jest to jednak melodia przyszłości, tym bardziej, że strona austriacka w połowie bieżącego roku zawiesiła niestety na 2-3 lata prace studialne na ten temat.

W 1971 r. Węglokoks podpisał z Österreichischen Elektrizitätswerk kontrakt na dostawę do Austrii niewielkich ilości energii elektrycznej. Austriacy chętnieby w drugiej połowie lat osiemdziesiątych otrzymać więcej. Dziś tych spraw się jednak nie dyskutuje — wprawdzie musimy zapłacić własne plany energetyczne. A wówczas byłibyśmy także gotowi uczestniczyć w budowie nowych lub rozbudowie już istniejących austriackich elektrowni ciepłych.

Ostatnio dobrą marką na tamtejszym rynku zdobyły nasze wagony towarowe, głównie, ale nie tylko do przewozu rudy. Gdybyśmy mieli ich więcej... Licząc się pozycją po stronie zakupów stało się natomiast zboże, zwłaszcza pszenica konsumpcyjna.

Z danych za trzy kwartały bieżącego roku wynika, że nasz eksport do Austrii wzrósł o 22 proc., zaś import spadł o 3 proc. Wygląda więc na to, że wysoki ubiegłoroczny deficyt (wyższy mieliśmy tylko w handlu z W. Brytanią) wyraźnie się obniży. Zrozumiałe jest dziś nasze dążenie do stopniowego równoważenia obrotów. Droga szybkiego i mechanicznego redukcjonowania importu byłaby drogą równie prostą, co dla obu stron niekorzystną. Rzecz więc w tym, aby w Warszawie i Wiedniu szukać i znajdować bardziej niż dotąd skuteczne metody zwiększania sprzedaży w jednym i drugim kierunku.

„NOWY ŁĄD”

„Bomba zegarowa”, jak nazywają obecną sytuację w Trzecim Świecie urzędnicy ONZ, cyka coraz szybciej. Na 70 proc. ludności świata w krajach rozwijających się przypada nadal tylko 8 proc. produkcji przemysłowej i nic nie wskazuje na możliwość osiągnięcia w roku 2000 założonego na konferencji w Limie, w 1975 roku, poziomu 25 proc.

PODOBNE zjawisko ma miejsce w światowym handlu artykułami przemysłowymi. Udział Trzeciego Świata wynosi niespełna 10 proc. Silna koncentracja wywozu tych towarów — 75 proc. przypada na Brazylię, Meksyk, Hongkong, Tajwan i Koreę Południową — świadczy o postępującym rozwarstwieniu krajów rozwijających się na zaawansowane przemysłowo i najmniej rozwinięte.

Poważnym problemem jest zadłużenie Trzeciego Świata, które sięga 200 mld dolarów (dług publiczny długoterminowy i kredyty prywatne łącznie) i wzrasta rocznie o 20-25 proc.

Stopa wzrostu krajów najmniej rozwiniętych sięgała w latach 1975-1977 tylko 0,7 proc. Nadal 215 mln obywateli USA produkuje więcej towarów i usług niż 2 mld mieszkańców krajów rozwijających się.

Pokoju — posłużył się stwierdzeniem III Raportu Klubu Rzymskiego — na imię dziś rozwój.

Pięć lat temu biedniejsza część świata głośno i z nadzieją ogłosiła wynalezienie remedium na swe dotychczasowe gospodarcze. Formalnie przybrało to postać rezolucji o „Nowym Międzynarodowym Ładzie Ekonomicznym” (NMŁE), uchwalonej przez VI Sesję Specjalną ONZ w 1974 roku. Cele tego dokumentu, częściowo oryginalne, częściowo przenieśliśmy z pierwszych dwóch oenietowskich programów Dekad Rozwoju czy ruchu niezawisłości, sprowadzić można do reformy systemu dystrybucji dochodów między państwami rozwiniętymi a rozwijającymi się, swobodnego dysponowania zasobami naturalnymi (z prawem do nacjonalizacji włącznie) oraz do przekształcenia zasad i struktury handlu międzynarodowego w kierunku stworzenia mechanizmów przeciwdziałających pogorszeniu się „terms of trade” dla krajów rozwijających się a jednocześnie sprzyjających łatwiejszemu dostępowi tych państw do nowoczesnej techniki i technologii.

Interesujące przemiany zachodzą w strategii rozwoju Trzeciego Świata. Forsowana przez państwa OECD koncepcja współzależności, dowodząca jednoci interesów krajów uprzemysłowionych i rozwijających się jest zastępowana coraz powszechniej strategią kolektywnych samowystarczalności. Myśl ta, począta na kolejnych konferencjach Grupy 77 i ruchu niezawisłości w latach 1975-1977 uznaje za motor postępu w Trzecim Świecie intensyfikację współpracy krajów rozwijających się na różnych płaszczyznach stosunków gospodarczych i społecznych. Nie oznaczają rezygnacji z pomocy krajów uprzemysłowionych, nowa strategia kładzie nacisk na konieczność oparcia rozwoju na własnych zasobach materialnych i intelektualnych.

Strategia kolektywnej samowystarczalności łączy się w sferze koncepcyjnej z żądaniem zmiany w traktowaniu krajów rozwijających się przez uprzemysłowiony Zachód. Coraz mniej we wzajemnych kontaktach euro- czy amerykańskich jest moralizatorstwa, domaganie się od Trzeciego Świata „zmiany mentalności”, „doskonalenia się do wymagań współczesnego świata”, innymi słowami mniej nakłaniania tych państw do rozwoju opartego na obcych wzorach.

Zaczyna się dostrzegać wewnętrzne, czasami tradycyjne, wartości narodów Południa, które powinny stać się podstawą samodzielnego i oryginalnego koncepcji rozwoju endogenego.

CZYNNIKI ROZWOJU

Od 1975 roku działa pod auspicjami Polskiej Akademii Nauk i Akademii Nauk ZSRR Polsko-Radziecka Komisja Nauk Ekonomicznych. Przewodniczącym strony radzieckiej komisji jest akademik T.S. Chaczatur, a strony polskiej — prof. dr H. Chojak, członek korespondent PAN.

Główną formą pracy komisji są konferencje naukowe. Pierwsza taka konferencja została zorganizowana w Moskwie w 1976 roku i poświęcona była teoretycznej problematyce planowania i budownictwa socjalistycznego. W 1977 roku przedmiotem dyskusji były zagadnienia rozwoju socjalistycznych stosunków własności i doskonalenia zarządzania gospodarką narodową. W 1978 roku w Tallinie miało miejsce trzecie konferencja naukowa poświęcona teoretycznym problemom efektywności produkcji społecznej w ustroju socjalistycznym.

W dniach 12-13.XI.1979 r. odbyła się czwarta z kolei konferencja nau-

BOLESNY PORÓD

MARCIN SAR

Kraje kapitalistyczne wyrażają, co prawda, formalną aprobatę zasad NMŁE i chęć do dialogu, ale stało się to, jak stwierdził sekretarz generalny ministerstwa spraw zagranicznych Algierii Idriss Jazairy, „dopiero wtedy, gdy Trzeci Świat przejdzie kontrolę nad własnymi zasobami surowcowymi”. W sferze teoretycznej przybrało to postać konkurencyjnych propozycji USA i EWG, które oprócz efektywnego opakowania nie zawierały istotnych koncesji na rzecz krajów rozwijających się. W sferze praktycznej najbogatsze kraje kapitalistyczne przeznaczają na pomoc rozwojową trzy razy mniej środków niż zadeklarowały: USA — 0,23 proc. dochodu narodowego brutto, RFN — 0,27 proc., Japonia — 0,22 proc. Nie wypominając słynnego jednego procentu GNP Pierwszej Dekady Rozwoju, można przypnieć przeczki wezwaniu Zgromadzenia Ogólnego ONZ z 1970 roku domagające się 0,75 proc.

Trudno dopatrzeć się także postępu w dziedzinie transferu technologii i kierowanej świadomie restrukturalizacji międzynarodowego podziału pracy. Zachód broni zaczeście swych tradycyjnych a niekonkurencyjnych dziś gałęzi przemysłu — odzieżowego, skórzanego czy stalowego, szermując oskarżeniami o dumping czy tłumacząc się niskimi cenami wewnętrznymi central związkowych obawiających się wzrostu bezrobocia.

Zapytany na sierpniowej konferencji ONZ „Nauka i Technika dla Rozwoju” o to, jaki wkład jego kraj gotów jest wnieść do funduszu na rzecz rozwoju technologii w Trzecim Świecie brytyjski minister ds. stosunków z krajami zamorskimi, odpowiedział krótko: „Zadnego”.

Kraje socjalistyczne interesują się i zasadniczo popierają NMŁE. Polska w pełni rozumie i odnosi się z sympatią — stwierdził na XXXIV Sesji Zgromadzenia Ogólnego Emil Wojtaszek — do oczekiwań krajów rozwijających się związanych z NMŁE.

Kraje socjalistyczne popierają zasady i cele NMŁE, ale protestują stanowczo przeciw traktowaniu ich na równi z krajami kapitalistycznymi. Polski minister uznał za „zrozumiałe, że wkład (w pomoc dla krajów rozwijających się — przyp. M.S.) powinien być inny dla tych, którzy przez stulecia czerpali nadszyczące korzyści z eksploatacji i niepełnowartościwych stosunków gospodarczych lub których dorobek gospodarczy był wojnami, których biologiczne i gospodarcze skutki są odczuwane niejednokrotnie po dzień dzisiejszy”. Stanowisko to nie oznacza uciekania Polski od wkładu na rzecz ekonomicznego rozwoju krajów Trzeciego Świata. Wręcz przeciwnie, w miarę naszych możliwości, tworzymy różne mechanizmy współpracy i pomocy. Jednakże wydaje się, że obecny stan stosunków gospodarczych Polski z krajami rozwijającymi się nie zadowala w pełni żadnej ze stron i jest niewspółmiernie niski w porównaniu z potencjalnymi możliwościami.

Okazało do zbilansowania osiągnięć i porażek w walce o NMŁE, a jednocześnie do konfrontacji stanowisk trójkąta Wschód-Zachód-Południe stała się V konferencja UNCTAD w Manili. W maju br. 1500 delegatów ze 159 krajów obradowało nad trzema zasadniczymi blokami problemów: utworzenie zintegrowanego programu surowcowego

i Wspólnego Funduszu Surowcowego; zwalczanie protekcjonizmu; doprowadzenie do rzeczywistego transferu zasobów i redystrybucji dochodów na rzecz krajów rozwijających się.

Charakterystyczne stanowisko krajów rozwijających się, wszyscy komentatorzy zgodnym chórem podkreślali liczniesze i głębsze niż oczekiwano linie podziałów. Wspólny był tylko program negatywny, zarzucający krajom uprzemysłowionym protekcjonizm, niedostateczną pomoc rozwojową oraz praktycznie brak transferu technologii.

Rozbieżności dotyczyły natomiast większości programów szczegółowych, a zwłaszcza stabilizacji cen surowców, transportu morskiego, generalnych preferencji handlowych, finansowania zadłużenia czy też strategii rozwoju i wzajemnej współpracy krajów rozwijających się.

Inne interesy miały kraje OPEC, które nie zgodziły się na rozpatrywanie problemów energetycznych; inne — kraje zaawansowane, opowiadające się silnie za instrumentami wolnorynkowymi; inne jeszcze — kraje najbiedniejsze, podkreślające rolę planowania oraz pomocy rządowej. Były sekretarz UNCTAD, Manuel Perez Guero, stwierdził: „Najwyraźniej nie jest możliwe zgodne ustalenie stanu zdrowia świata z wyjątkiem tego, że jest on bardzo zły. Nie mogliśmy jednak zgodzić się co do diagnozy lub terapii”.

Główne ostrze krytyki wymierzono przeciw najsilniejszym państwom kapitalistycznym. Ogromne rozczarowanie i zniecierpliwienie wywołała ich obojętna reakcja na postulaty NMŁE. Po wystąpieniu Andrew Younga, w którym podobnie jak w postaniu prezydenta Cartera nie zaproponowano krajom rozwijającym się żadnych koncesji, wicepremier Jamajki, Percival Patterson, stwierdził: „To nie było tylko zwykłe rozczarowanie, to była bardzo złowieszcza wróżba”.

Nieliczne osiągnięcia V sesji sprowadzają się do: potępienia protekcjonizmu, zobowiązania się krajów kapitalistycznych do wycofania 87 mln dol. dla tzw. „drugiego okna” Wspólnego Funduszu Surowcowego (mechanizm finansowy mający za zadanie pomoc krajom najbiedniejszym w zwiększeniu ich dochodów surowcowych) — kraje najbiedniejsze spodziewały się ok. 200 mln; zobowiązanie się krajów rozwiniętych do „wzięcia pod uwagę” postulatów krajów rozwijających się odnośnie transferu patentów i znaków handlowych; zobowiązanie się krajów europejskich do ratyfikacji układu gwarantującego krajom rozwijającym się odpowiedni udział w przewozach morskich (bez ładunków masowych) oraz do wyrażenia wspólnej woli krajów rozwijających się dla intensyfikacji wysiłków w celu stworzenia mechanizmu „zbiorowej niezależności”.

Decyzji o zasadniczym znaczeniu nie podjęto. Podsumowując wyniki sesji jej gospodarz, prezydent Marcos stwierdził: „Dorobek pierwszych czterech konferencji (UNCTAD) sprawia, że trudno nie dojść do wniosku, iż po 20 latach zmierzamy do nikąd. Zapanało wśród nas jakieś przygnębienie, nastroj niemożności”.

Niewątpliwie, dostrzegane przez wszystkich efekty walki o NMŁE, to dewaluacja i inflacja dokumentów międzynarodowych i oświadczeń. Dobitnie zaznacza się przedzielną między retoryką międzynarodową a sferą działań praktycznych. Realizacja NMŁE znajduje się wciąż w bardzo początkowym stadium.

prof. dr K. Secomski, członek rzeczywisty PAN — „Ekonomiczne i społeczne aspekty postępu naukowo-technicznego i organizacyjnego w procesie budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego”;

prof. dr A. Melich, członek korespondent PAN — „Koncepcja makroregionu i lokalne czynniki wzrostu ekonomicznego a nauka”;

prof. dr J. Pajestka, członek korespondent PAN — „Postęp naukowo-techniczny a doskonalenie funkcjonowania gospodarki narodowej”;

prof. dr H. Chojak, członek korespondent PAN — „Integracja i zbliżenie krajów członkowskich RWPG jako czynnik rozwoju Polski Ludowej”.

W obradach konferencji uczestniczyli również przedstawiciele katowickiego środowiska ekonomistów.

Członkowie polsko-radzieckiej komisji zostali przyjęci przez Z. Grudnia, członka Biura Politycznego KC PZPR, i sekretarza KW PZPR w Katowicach. Podczas spotkania Z. Grudzień wręczył członkom delegacji radzieckiej złote odznaki TPFR.

NASZA DACZA Z KRAJA

W przedświątecznej dyskusji zaczęła się wyrażać powoli nuda, „mieszkańcy”. W bieżącym numerze „Z.G.” Teresa Górnicka zastanawia się nad tym, czy można zbudować więcej mieszkań, a ostatni numer „Nowych Drog” zawiera dwa materiały na temat dwóch niezwykle ważnych aspektów budownictwa mieszkaniowego.

Witold Bień stawia wniosek o zwiększenie pomocy kredytowej dla budownictwa jednorodzinnego w miastach, ścisłej współpracy, dla ludności pozarolniczej, która podejmuje próbę rozwiązania swych problemów mieszkaniowych tą własną drogą. Przy okazji podaje ciekawe dane na temat, ile się buduje, kto buduje i jakim kosztem.

W roku 1978 w ramach budownictwa jednorodzinnego zbudowano 74,3 tys. mieszkań, w tym 41,9 tys. dla ludności nierolniczej. Wśród korzystających z kredytów bankowych — a korzystali prawie wszyscy, którzy podjęli trud budowy domków — 55,8 proc. stanowili robotnicy, a tylko 7,6 proc. — rzemieślnicy i pracownicy gospodarki niepospolitej. Przeciętny koszt budowy domu wzrósł z 344 300 zł w roku 1975 do 519 213 zł w roku 1978 (według kosztorysów). Autor uważa, że w rzeczywistości koszt ten kształtuje się o 10 do 20 proc. wyżej. Kosztorysowo 1 m kw. powierzchni kosztował 5364 zł, faktycznie — ok. 6000 zł. Koszt 1 m kw. był więc niższy niż w budownictwie wielorodzinnym (6200 zł koszt tzw. inwestorski, do czego trzeba dodać 10-12 proc. dotacji).

Maksymalny kredyt, jaki można obecnie uzyskać wynosi 198 tys. zł, z czego 150 tys. oprocentowane w wysokości 3,3 proc. rocznie i 48 tys. zł z oprocentowaniem 6,3 proc. rocznie. Kredyt jest rozłożony na 30 lat z dwuletnią karencją. Obecnie 1 zł kredytu angażuje 2,91 zł środków własnych kredytobiorcy. Autor uważa, że w związku ze wzrostem kosztów budownictwa jednorodzinnego maksymalna kwota kredytu powinna zostać podwyższona do 250 tys. zł, z tego 200 tys. zł z oprocentowaniem podstawowym. Aby ten wzrost nie odbił się niekorzystnie na sytuacji rynkowej, można ewentualnie zastanowić się nad skróceniem okresu spłaty do 25 lat. Takie bowiem skrócenie okresu spłaty pozwala zwiększyć indywidualny kredyt o ponad 15 proc., bez wzrostu globalnego zadłużenia ludności z tego tytułu. Przy tym warto podkreślić, że miesieczna rata spłaty kredytu przypadająca na 1 m kw. powierzchni mieszkania byłaby w tym wypadku zbliżona do raty we własnościowym budownictwie spółdzielczym (10-11 zł za metr kw. miesięcznie).

Taka zmiana zasad kredytowania na pewno zachęcałaby do zwiększenia rozmiarów budownictwa jednorodzinnego — pod jednym warunkiem — zwiększenia puli materiałów budowlanych dostępnych na rynku. Problemowi materiałów dla budownictwa mieszkaniowego poświęcony jest następny materiał w „Nowych Drogach” — pióra Wacława Kulczyńskiego.

Autor podkreśla, że nawet bez istotnego zwiększenia rozmiarów budownictwa mieszkaniowego — zapotrzebowanie na wiele materiałów będzie rosło w związku z rosnącym naciskiem społecznym na poprawę standardu, przede wszystkim na wyposażenie i wykonanie mieszkań. Również konieczność nadrobienia opóźnień w budownictwie infrastruktury miast i osiedli działać będzie w tym samym kierunku.

Nie będę tu omawiał szczegółowo wyliczonych potrzeb i braków w poszczególnych rodzajach materiałów budowlanych. Natomiast mówię o drogach przezwyciężania deficytów autor prezentuje, moim zdaniem, realistyczne koncepcje. Np. zastanawiając się nad technologią i wyliczając plusy i minusy wielkiej płyty stwierdza, że obecnie trzeba się skoncentrować na eliminacji tych deficytów — i przy pełnym wykorzystaniu potencjału wytwórni szukać nowych technologii, które by pozwalały wykorzystać surowce lokalne — odcinając transport, a tym samym zmniejszając coraz ostrzejszą wyściełającą przed budownictwem barierę transportową. Zwraca również uwagę — podobnie jak T. Górnicka w bieżącym numerze „Z.G.” — na ogromne rezerwy materiałów kryjących się w poprawie jakości budownictwa.

Następna rezerwa widzi autor w projektach urbanistycznych i architektonicznych, przede wszystkim w obniżeniu wysokości budynków. Dla oszczędności terenów uzbrojonych proponuje odejść od kanonu zabudowy rozproszonej, tzw. punktowej, na rzecz zabudowy zwartej. Są to, oczywiście, propozycje dyskusyjne — ale warto nad nimi dyskutować, by znaleźć sposoby, które pozwolą — zgodnie z tym co mówił tow. Edward Gierek w Szczecinie — na III Krajowej Konferencji Partyjnej — postawić sprawę zwiększenia rozmiarów budownictwa mieszkaniowego na lata 1981-85.

S.C.

WIĘTA racje mają ci, którzy

powiadają, że ludzka inwencja i pomysłowość w postaci najrozmaitszych wynalazków i innych osiągnięć są najcenniejszym towarem w naszym szybko zmieniającym się świecie. Oczywiście. I w ogóle to wierzcie, nieprawda, że z tymi wynalazkami, to bywa u nas różnie i że zdarzają się tu i ówdzie jakieś tam bariery „od pomysłu do przemysłu”, albo że nasi genialni wynalazcy bywają tepieni przez nie rozumiejących postępu szefów. Są to wierzcie, które opowiadają latwo-wiernym redaktorom co poniektórzy nieudani innowatorzy, którym się akurat nie powiedziało na tej niwie z powodu zwyczajnego braku predyspozycji intelektualnych oraz znajomości realiów życia.

Rzeczywiście jest bowiem zupełnie inna niż ta, która opisywana bywa w nudnych i uciążliwych powtarzających reportażach o „jakichś tam „cierpieniach wynalazcy”, w rzeczywistości nasza inwencja nie zna granic, a życiowe otoczenie czeka tylko, jak rzadzące się pomysły chwycić i upowszechnić. Przeto nieustraszeni są nam kryzysy, progi i bariery z energetycznymi względnie: już my sobie z nimi poradzimy wymyślając rzeczy, o których się filozofom nie śniło, a już na pewno nie profesorom habilitowanym.

Ostatnio, na przykład, wielkim powodzeniem cieszą się zwoływane parniki elektryczne, w których indywidualny rolnik polski zwykł był w drugiej połowie XX wieku przygo-

towywać karmę dla swoich świń. Parnikowy dynamizm panuje jednak bynajmniej nie w sferach związanych z hodowlą czokołówek i bynajmniej nie zezwala na snucie jakichś rewelacyjnych prognoz dotyczących przyszłego zapewnienia podstawowych haków w wiadomych sklepach. Wykupują parniki z GS-owskich składów dzientelmeni zajeżdżający tam „Fiatami”, „Wartburgami”, a nieraz i „Mirafiorami”, których ze sobą łączy tylko fakt posiadania tam daczki zwanej czasem dla niepoznaki i uspokojenia odnośnych władz „domkiem kempingowym”. Nikt rozsądny nie kzerobi przecież willi na oborę, ani garażu na chlew, natomiast zaprzyjaźniony wynalazca, pan Henio, przerobił za rozsądną opłatą taki parnik na elektryczny boiler do centralnego ogrzewania daczki na ok. 100 m², nadciągających chłódów. Posiadając zaś ów boiler — formalnie wciąż będący zwozającym i popieranym w interesie rozwoju hodowli parnikiem — łatwo uzyskać (przy odrobinie wynalazczej inwencji) ze zwoleń na dwustarytowy licznik, dla innych celów nieosiągalny. Ową zaś licznik przy dalszej skierowaniu na Henia i dalszych skierowaniach do bodźców materialnych... Chwilowo wystarczy, bo jeszcze ktoś mało pojętny i niewyrobiony wynalazca napisze do nas z prośbą o dokładny opis patentowy i rysunki techniczne. W ten sposób zwozający rolnik ze swymi zwozającymi świńkami nie może ostatnio doprosić się parnika, ale wynalazczość pięknie

się nam rozwija, choć niekoniecznie w dziedzinach, które dająby się patentować i przekazywać do upowszechnienia przez „Polservice”. Niemniej jednak choć w prasie coś tam piszą o trudnościach w energetyce, to nasza daczka z kraja.

Powie ktoś — że dynamiczne reakcje takiej wynalazczości pływają jedynie po wodach zastrzeżonych jako wyłączna strefa polewów inicjatyw prywatnej, chałupniczej, a przynajmniej willowej. Wcale nie prawda! Wynalazczość nie do opatentowania rozwija się też na jednym państwowym etapie, a nawet posługuje niejedną pieczęcią służbową. Niedawno zaopatrzeniowcy krakowskiego MPK przybyli do pewnej wielkiej firmy działającej również w branży transportowej, gdzie spodziewali się zdobyć trochę części dla „Berlietów”, które beznadziejnie ugrzęzły w zajeźdni albo nawet i na jakimś zapomnianym polu.

O, reflektory! — zawołali radośnie zaopatrzeniowcy, zapoznając się z zawartością magazynowych półek. — O, części do silnika!

— Dostaniecie 30 reflektorów i trochę części do silnika, jak kupicie załączając w nas od lat części do „Starów” — powiedzieli chłodno wynalazcy na państwowej posadzie.

— Ale my nie mamy „Starów”, tylko „Berliety” i „Jelce” — jęknęli prostoduszni zaopatrzeniowcy.

— To kupcie inne buble — wynalazcy wykazywali niezbędną w handlu elastyczność. — Od lat mamy kło-

poty z nadmiernymi zaspasami w magazynach.

Wykazana tu inwencja nie jest naprawdę w pełni nowatorską, bowiem podobny zabieg stosują już od dawna panienki za ladą w sto-sunku do krnąbrnych klientów indywidualnych, ale tutaj została twórczo zastosowana w stosunkach między instytucjami państwowymi i poparta autorytetem odnośnego kierownika.

— Nie kupicie buble, to wynocha z magazynu. Niech wam autobusy stoją i niech was kto trzeba weźmie za twarz!

W ten sposób mało wyrobieni życiowo zaopatrzeniowcy zostali skłonieni do przedłużenia pobytu o jeszcze jeden dzień poświęcony zapewne na wnikiwe przedyskutowanie społecznej roli twórczo zastosowanej wiedzy. Dyskusja musiała być konstruktywna, skoro transakcja odbyła się po myśli — wynalazczej, oczywiście. Pomogło nie tylko krakowskim autobusom, ale i bilansowi za-trudniającego wynalazców przedsiębiorstwa; dwie pieczenie na jednym ogniu, dwie ważne sprawy załatwione w wyniku jednej transakcji — czegoż chcieć więcej? Metoda na pewno warta jest szerokiego upowszechnienia jako uniwersalny i szybki działający środek na upłynnienie niezbędnych zapasów. Wynalazcy zaś wari są odznaczania, choć na pewno nie będzie to „order uśmiechu”.

Niedawno byłem w pewnym wielkim zakładzie wytwarzającym ważne produkty rynkowe. Zakład ów, bo tak jest w zwozaju i tego wymaga resortowa władza, pozawierał z handlem umowy na dostawę towa-

arów w roku przyszłym już na tego-rocznych jesiennych targach w Poznaniu. Zakład ów jednakże nie tylko sam jest dostawcą, ale ma również wielu dostawców różnych części i podzespołów, ale ci potwierdzają dopiero swoje dostawy w grudniu albo i w styczniu. Co będzie, nie trudno przewidzieć, tymczasem toczy się rozmowa na średnio-wysokim szczeblu w kwestii nie zrealizowanych dostaw jakichś tam części, uszczeltek czy śrubek za rok mijający.

— Przecież nie daliśmy nam nawet tego coście potwierdzili — perswaduje przedstawiciel owego wielkiego rynkowego producenta.

— Jak to! — oburza się przedstawiciel kooperanta. — Daliśmy wam o połowę więcej śrubek i uszczeltek niż zamawialiście.

— Ale nie tych co trzeba.

— Wykonaliśmy zadania w 150 procentach!

— Ale myśmy zawalili dostawy rynkowe!

— Dla nas te śrubki i uszczelki, to przecież nie rynek, więc nie macie nas co szarpać, bo limity mamy tylko na rynek.

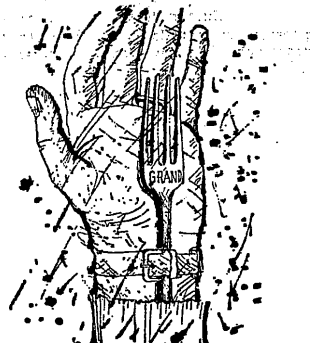
— Ale my na rynek mamy umowy!

Dialogi wynalazcze trwały jeszcze jakiś czas w gustownie urządzonej pomieszczeniu, gdzie ściany zdobiły hasła i cytaty nawołujące do gospodarności i wspólnego wysiłku. Zgadzały się jednak tylko procenty. Dla orientacji podaje, że taśma produkcyjna w tym czasie stała, pogoda była wyczoława, jesienna, warunki klimatologiczne dobre, widzialność średnia.

JERZY SURDYKOWSKI

żywocik gospodarczy

Przeznaczony do odnowienia hotel „Grand” w Krakowie przed rokiem ostatecznie zamknięto, ale zamiast remontu zaczęło się dewastowanie tego zabytku. Porozbijano belgijskie lustra i witraż w Sali Łustranej. Z apartamentów poginęły zabytkowe detale: drzwi, klamki, armatura, nawet marmurowa wanna. Ze ścian wycięto nożem obrazy zawieszone na milion zł. Skradziony strop z polichromowanych belek odzyskano i pojechał na wystawę do Paryża, przepadła tylko jedna belka, z której zrobiono koryto dla świń. Wyciekająca z kanalizacji woda podmywa fundamenty, więc może ostatecznie zniszczyć całość się zawali. MO jest zdania, że w krakowskich bruli udział fachowcy od staroci.



Hotel nie jest pilnowany, gdyż przedsiębiorstwu „Wawel-Tourist” szkoda pieniędzy na stróża, skoro hotel już nie przynosi dochodu. Lepiej wydać o dziesiątki milionów więcej na remont niż obciążać o dziesiątki tysięcy fundusz plac, to jasne, ale czy administratorami zabytków powinni być w ogóle ludzie o czysto rachunkowym podejściu do sprawy?

„Głos Wybrzeża” opisuje, jak zarabiała pracownica działu socjalnego organizacja kolonij dla dzieci w sopockim przedsiębiorstwie Hodowli Zwierząt Zarodkowych. Kolonia urządziła się na Węgrzech. Dzieciom kazano wymieniać na dwa tygodnie 2200 zł kieszonkowego, co stanowi, jak na dzieci, luksusowe opatanie. Jest za to 1300 forintów. Socjalna wypłacała po 900, a resztę zabierała. Poza tym z własnych pieniędzy dopłacała do pełnej kwoty, jaką wolno wymienić i różnicę sobie zabierała. Poza tym ubierała dzieci w swoje własne ubranka z teksasu, które im potem zdejmowała i tym sposobem szmuglowała odzież na handel. Dyrektor przedsiębiorstwa zwołał pracowników dyscyplinarnie wbrew opinii rady zakładowej, która uważała, że zwolnienie z wypowiedzeniem wystarczy. Sprawą zajął się prokurator. W prywatnej przedsiębiorczości pomysłowość bywa imponująca.

Urząd telefoniczny w Poznaniu ogłosił, że oddał oprócz dwóch dotychczasowych sygnałów, jakie sty-



szy się w słuchawce — wolny i zajęty — będzie jeszcze trzeci, sygnał nieosiągalności „oznaczający nieistniejący kierunek lub numer abonenta”. Teraz jak go rozpoznać? Urząd informuje: „... ton 400 Hz o rytmie 0,25 sekund emisja 0,25 sek. cisza lub sygnał tonowy trzech kolejnych częstotliwości 950, 1400, 1800 Hz o rytmie 3 razy 0,33 sekundy emisja, 1 sek. cisza”. Wszelkie instytucje fachowe uwielbiają udzielać informacji ścisłych, więc kompletnie niezrozumiałych. Czym więcej się umie, tym mniej się myśli i potrafi myśleć. Wiedza zastępuje wyobraźnię. Bo niby nie można powiedzieć ludzkiimi słowami, jak rozpoznać sygnał. A jednak można, bo wszystko moż-

na: „jeśli usłyszysz sygnał, który nie będzie oznaczał ani, że numer wolny, ani, że zajęty to będzie to nowy sygnał informujący, że numer jest nieosiągalny”.

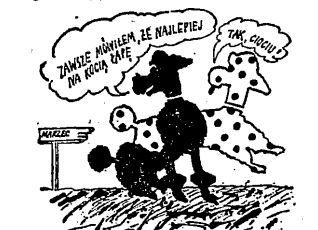
Ministerstwo Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska rozstrzygnąć ma spór między strażą prezydencką a przedsiębiorstwem komunikacyjnym w Olsztynie, kto ma sprzątać na przystankach, które w związku z zaistniałą różnicą zdań są od dawna nie sprzątane. Wnoszenie o arbitraż jest najdoskonalszym sposobem legalnego wymigiwania się od prac nieprzyjemnych.

„Sanepid” we Wrocławiu zakwestionował dziesiątki produktów wcale nie żywnościowych, a szkodliwych dla zdrowia. Wytwarza je chętnie przemysł. Są to zabawki dla dzieci: zrobione z cienkiego szkła lub polikrytu trzująca farba oraz szminka do ust zawierająca 40 razy więcej ołowiu — który się liże — niż na to zezwalają normy. Ołów jest trujący.



Uwaga mężczyźni, którzy całują! Organizm kobiet przyspyłki zapewne do truciźnie, ale my jesteśmy delikatni.

Sporzędzona w Gdańsku statystyka wykazuje, że najmniej trwale



są małżeństwa zawarte w marcu, gdyż najczęściej kończą się rozwodem. Dotyczy to ludzi — nie kotów. Statystyka staje się jakby użyteczna wręcz.

Pod dwupiętrowym kolorowym nagłownikiem „Głos Robotniczy” domniósł, że rozpoczęto zawieszanie balustrad na balkonach domu zbudowanego przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Zwirki. Drugie co do wielkości miasto w Polsce, a umocowywanie balustrad na balkonach jednego domu — to już wiadomość dla gazety... Przy okazji gazeta informuje, że do skonstruowania każdego balkonu zużyto 250 kg stali, toteż do montażu używać trzeba specjalnego dźwigu „Coles”. A pewno, co nam, mamy już Hute „Katowice”.

Rys. A. PIWŃSKI

giełda samochodowa

Z obszernego listu, jaki nadesłał do redakcji p. Bolesław Filipiak (Warszawa, Pawińskiego 18 m 10) przytaczam niektóre fragmenty. Myślę, że zwrócić one uwagę nie tylko Polskiego Związku Motorowego:

„W dniu 26.X. br. — pisze p. B. Filipiak — po długim czekaniu w kolejkę (obowiązuje zapis na kilka tygodni naprzód) oddałem samochód „Wartburg” nr rej. 48-24-WB do warsztatu PZMot. przy ulicy Rydygiera w Warszawie, celem zabrania przed korozją. Na zleceniu zaznaczono, że usługa trwa 4 dni i skierowano mnie do mistrza Chraszczkowskiego... W dniu 2.XI. zgłosiłem się po odbiór wozu i stwierdziłem, że samochód jest brudny, warsztat dysponuje tylko zimną wodą, a on, mistrz w fachu nie będzie kładł bitexu na warstwę brudu. Dyrektor stacji zdziwił się, że zwracam mu głowę, bo on przecież ma kierownika warsztatu, zaś kierownik warsztatu starał się mi wmówić, że moje nadwozie jest skorodowane i nie można go zabezpieczyć (nową karoserię zakładałem we wrześniu 1977 roku i od

razu położona została powłoka antykorozyjna) (...)

(...) Opisane wyżej potraktowanie mnie przez pracowników związkowej stacji usług motoryzacyjnych świadczy, że nie muszą się oni z niczym i z nikim liczyć, i że każdy jest dla nich śmieciem, którego można zbyć byle czym. (...)

(...) A może w tym jest metoda? Usługa w stacji PZMot kosztuje przecież kilkakrotnie taniej, niż w warsztatach prywatnych. (...)

Dlaczego wobec powyższego nie wywieś się w biurze stacji odpowiedniej instrukcji informującej klientów o „trybie” załatwiania spraw? (...)

(...) Uprzejmie proszę, aby odpowiednie władze PZMot wejrzały w stosunki panujące na stacji przy ul. Rydygiera z punktu widzenia potencjalnych klientów (...)

Nie jest to pierwszy sygnał o sposobach traktowania klientów w opisanej stacji. Zdecydowaliśmy się więc opublikować zarzuty p. B. Filipiaka, ponieważ potwierdzają one wcześniej zgłaszane uwagi o lekceważeniu obowiązków i sobiepa-

skim traktowaniu klientów w warsztatach przy ul. Rydygiera.

Na warszawskiej giełdzie notowano (ceny wywoławcze):

FIAT 126p (650) z 1979 roku — 151 tys. zł; z 1977 roku — 118 tys. zł; z połowy 1977 roku — 123 tys. zł; dwuletni, po 20 tys. km — 120 tys. zł; z 1976 roku, po 32 tys. km — 107 tys. zł;

FIAT 125p (1500) nowy — 300 tys. zł; z początku 1978 roku — 260 tys. zł; z 1977 roku — 220 tys. zł; z 1976 roku — 198 tys. zł; z 1975 roku, model 1300 — 155 tys. zł;

WARTBURG 353W z 1979 roku, po 1600 km — 300 tys. zł; ZAPOROŻEC z 1979 roku, po 7,5 tys. km — 176 tys. zł;

ZASTAWA 1109PZ, fabrycznie nowa — 295 tys. zł; z początku 1979 roku — 265 tys. zł;

SYRENA 105 z 1979 roku — 116 tys. zł;

LADA 1500S z 1978 roku — 302 tys. zł;

POLONEZ 1500 z końca 1973 roku — 435 tys. zł;

TRABANT 601 z 1972 roku — 87 tys. zł;

SKODA S-100 z 1973 roku — 125 tys. zł;

(jod)



Fot. S. ZURCZEWSKI

ŻYCIE GOSPODARCZE

tygodnik społeczno-gospodarczy

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stefan Ancerewicz, Jacek Boldak, Stanisław Chelstowski (I zastępca redaktora nacz.), Andrzej Chmielewski, Zofia Długosz, Władysław Dudziński, Jerzy Dzięciołowski (zastępca redaktora nacz.), Lech Froelich, Maria Gawronska (redaktor techniczny), Jan Głowczyński (redaktor nacz.), Anna Kuszo, Joanna Kwiek, Andrzej Lubowski, Marcin Makowiecki, Eugeniusz Możejko, Andrzej Nalecz-Jawicki, Grzegorz Pisarski, Andrzej Piwoński (red. graficzny), Zdzisław Regiel, Marian Sikora, Karol Szware (zastępca redaktora nacz.), Elżbieta Tadeusik (zaślepca sekretarza redakcji), Stefan Zubelewski (fotoreporter).

ADRES REDAKCJI: 00-681 Warszawa, ul. Hoża 35 (skrytka pocztowa nr 1 — 00-650 Warszawa). Telefony: redaktor naczelný i sekretarz redakcji 23-66-28, zastępca redaktora naczelný 21-55-57, sekretarz redakcji 23-83-82, redaktorzy: 23-83-42, 23-84-54. Nie zamówionych artykułów redakcja nie zwraca, a w razie opublikowania zastrzega sobie prawo ich skracania.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 23-24-11.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJE: Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 23-24-11 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” w miastach wojewódzkich. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumerata na kraj przyjmująca oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe 1 doręczyciele w terminach: do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następný; do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie — 52 zł, półrocznie — 104 zł, rocznie — 208 zł. Jeannotki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych. Czytelnicy indywidualni i w urzędach pocztowych i w doręczycielach. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwo 00-680 Warszawa, ul. Towarowa 23, konto PKO nr 1531-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji.

Sprzedż egzemplarzy numerów zdeaktualizowanych na uprzednie zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwo RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 23.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” — 00-624 Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5, Numer Indeksów 38306.